

ZA PIĘĆ DNI PO CIEBIE PRZYJDZIE

A woman's face is pressed against a window covered in condensation. Her hands are pressed against the glass on either side of her face. The scene is dimly lit, with a warm glow from below.

WYPOWIEDZ  
JEJ IMIĘ

An altar is set up on a table covered with a white cloth. In the center is a silver crown. On either side of the crown are two lit red candles. A human skull is placed on the table in front of the crown. The background wall is covered in condensation and has red liquid dripping down from the top edge.

JAMES DAWSON

James Dawson  
**WYPOWIEDZ JEJ IMIĘ**  
przełożył Marcin Sieduszewski



*Był środek nocy ciemnej sam,  
Chciał młody William spać,  
Lecz Mary duch pojawił się,  
Przy łóżku przyszedł stać.  
Williamie mój! Williamie mój!  
Spoczynek mój przerwano;  
Spokoju mego nadszedł kres,  
Wieczności trwać nie dano.  
Sądziłam, że wszelakich trosk  
Po śmierci się wyzbyłam;  
Jednakże w nowym domu swym  
Niedługo zabawiłam<sup>1</sup>.*

Thomas Hood

## Trzydzieści lat wcześniej

Kap, kap, kap.

Kap, kap, kap.

Kap, kap, kap.

Zaczynało jej to działać na nerwy. Taylor Keane dokręciła kran z całych sił, a nawet użyła ścierki do naczyń, żeby móc mocniej zacisnąć na nim dłoń, ale denerwujący dźwięk kapania nie ustał. Skąd w takim razie dobiegał? Pochyliła się nad zlewem, przekręciła klamkę i uchyliła okno, a następnie zanurzyła ramię w kojącym nocnym powietrzu. Otworzyła dłoń. Nawet nie mżyło.

Najdziwniejsze było jednak to, że gdziekolwiek by poszła, odgłos kapania w każdym punkcie domu był jednakowo głośny, zupełnie jakby za nią podążał. Może i przespała większość zajęć z fizyki, ale była prawie pewna, że coś takiego nie powinno się wydarzyć.

Otworzyła szafkę pod zlewem, po czym – precyzyjnie przesuńmy się obok niezliczonych butelek z wybielaczem oraz środkami do dezynfekcji i pielęgnacji mebli – odnalazła kolanko rury. Szybko przesunęła po nim palcem, żeby upewnić się, że jest suche. Po przecieku nie było ani śladu.

Kap, kap, kap.

Typowe. Rodzice, jak co tydzień, pojechali na swoje nedorzeczne zajęcia z salsy, więc sama musiała stawić czoło awarii hydraulicznej. Dzwoniła do nich raz za razem, ale nie odbierali telefonów.

Co. Za. Noc. Jakby nieobecność Jonny'ego, który obiecał ją odwiedzić, nie była wystarczająco dużym rozczarowaniem. Mieli w planie obejrzenie filmu na DVD połączone z całowaniem, ale on się wycofał, twierdząc, że coś go łapie. Parszywy łgarz poszedł pewnie grać z koleżkami na automatach. Taylor przeklęła w myśli swoją zgubną słabość do umiejętnionych ramion i błękitnych oczu.

Kap, kap, kap.

– Boże, jakie to irytujące.

Zacisnęła obie pięści na zmierzwiionych włosach karmelowej barwy, po czym wyszła z kuchni do salonu, tupiąc głośno ze złości. Odnalazła pilota, którym ściszyła telewizor.

Kap, kap, kap.

Dźwięk wydawał się dochodzić gdzieś z góry, być może z pustej przestrzeni oddzielającej oba piętra. Omiotła wzrokiem sufit w poszukiwaniu wybrzuszeń. Może powinna po prostu zadzwonić po hydraulika... Była pewna, że tak właśnie należało postąpić w przypadku przecieku. Z pewnością rodzice byliby jej wdzięczni za

ocalenie sufitu przed zawaleniem. Dochodziła już jednak dziewiąta wieczorem i Taylor zadrżała, gdy wyobraziła sobie, ile musiało kosztować wezwanie całodobowego pogotowia hydraulicznego. W torebce nie miała nawet dziesięciu funtów.

Boso przeszła po beżowym dywanie z pluszu do holu, gdzie przesunęła wzrokiem po krętych schodach prowadzących na górę. Może dźwięk dochodził gdzieś z piętra? Tamtejsza łazienka wydawała się jego najbardziej prawdopodobnym źródłem. Warto to było sprawdzić.

Kap, kap, kap.

Głośniej i wyraźniej niż wcześniej: odgłos tłustych, lepkich kropli spadających na twardą powierzchnię. Tylko gdzie? Mieszkała tu od urodzenia (do momentu, gdy wyjechała do szkoły), ale nagle dom zaczął sprawiać dziwne, obce wrażenie. Nie chciała wyjść na cykora, ale naprawdę żałowała, że jest w tej chwili sama.

Taylor zdobyła się na odwagę i postawiła czubek stopy na pierwszym stopniu. Wygięła szyję, żeby zajrzeć na piętro. Droga była wolna. Światło kinkietu zawieszzonego wysoko nad nią rzucało na sufit cień przypominający kształtem szpon. Zawahała się. Jakiś głos w jej głowie szepnął: „Nie idź na górę”.

– Weź się w garść, Tay – mruknęła sama do

siebie.

Zaczęła wspinać się po schodach po dwa stopnie naraz, żeby pokazać domowi, że w ogóle się go nie boi. To nie był jakiś durnowaty horror przyniesiony przez Jonny'ego, żeby ją nastraszyć, tylko prawdziwe życie, a problem stanowiła zwykła cieknąca rura.

Gdy była już prawie na górze, wyjrzała zza balustrady. Niczego tu nie ma. Zbiornik na wodę znajdował się na strychu, ale – nawet gdyby przymknęła oko na podobieństwo sytuacji do scen ze znanych jej horrorów – nie było mowy, żeby weszła na niego sama, bo kręciły się tam pająki dorównujące rozmiarami małym kotkom. Jednak dźwięk kapania nie ustawał. Wręcz przeciwnie: krople opadały teraz z jeszcze większą częstotliwością, wybijając coraz szybszy rytm.

Na piętrze znajdowały się dwa możliwe źródła kapania: główna łazienka oraz łazienka przylegająca do sypialni rodziców. Zacisnąwszy pięści, weszła najpierw do pokoju rodziców. Nikłe światło sączące się przez żaluzje pozwoliło jej stwierdzić, że pomieszczenie jak zwykle było nieskazitelnie czyste i nie było tu śladów powodzi. Ruszyła w kierunku maleńkiej łazienki. Gdy włączyła światło, od razu dostrzegła przez szklane drzwi, że sucha jak papier kabina prysznicowa nie

mogła być odpowiedzialna za kapanie. Ubikacji również nic nie dolegało – na płytkach nie było ani śladu wody.

Pozostała tylko jedna możliwość. Wróciła na korytarz i zakłęła. Przeciek wydawał się coraz większy. Dźwięk pojedynczych kropli brzmiał teraz jak nieprzerwany strumień, jakby ciecz lała się prosto na podłogę.

Pospiesznie przeszła do głównej łazienki i pociągnęła za sznureczek od lampy. Żarówka zapaliła się z wahaniem, bzycząc i mrugając, po czym wypełniła pomieszczenie bladym, niepewnym światłem o zielonkawej poświacie. Taylor zaczęła się zastanawiać, czy przeciek może mieć wpływ na instalację elektryczną. Poza żarówką wszystko wyglądało normalnie, ale dźwięk wody był tu najgłośniejszy. Zasłonka prysznicowa została rozciągnięta na całą długość wanny. Taylor poczuła się jak kompletna blondynka. Tyle zamieszania, a to tylko woda kapała z prysznica do wanny.

Światło znowu zamigotało. I zbladło. Nie opuszczało jej klucie w żołądku. „To tylko prysznic” – przekonywała sama siebie. Powoli przesunęła stopy po płytkach podłogi, następnie wsparła się o umywalkę i w wiszącym nad nią bogato zdobionym lustrze ujrzała własną pobladałą



twarz. Wyciągnęła dłoń w kierunku zasłonki i musnęła palcami krawędź plastiku. „Zrób to tak, jakbyś zrywała plaster...”.

Szarpnęła kotarką, strącając przy tym kilka butelek szamponu do pustej białej wanny. Głowica prysznicowa wisiała nad jej głową wyczekująco, a z jej otworów nie wydobywała się ani kropla wody.

– Co, do...? – stęknęła Taylor, odsuwając się od wanny. – To jakieś szaleństwo!

Kap, kap, kap. Dźwięk rozbrzmiewał bardzo głośno. Skąd mógł dochodzić?

I wtedy się zorientowała. Kątem oka dostrzegła, że coś porusza się w lustrze. Coś, co nie było nią. Gdy obracała się ku szkłu, całkiem zaschło jej w gardle. To było niemożliwe, ale jej odbicie miało towarzystwo – w obrębie ramy czaiło się coś jeszcze. Taylor wrzasnęła.

Szkło utraciło stały stan skupienia i przypominało teraz pokrytą zmarszczkami powierzchnię zbiornika z płynnym srebrem. Z jego głębi wyłoniła się szczupła, biała jak marmur, ociekająca krwią ręka. Dłoń chwyciła się umywalki, a za nią zaczęła wysuwać się reszta ciała. Z martwych paznokci ściekały czerwone strumyczki, które następnie spływały pomiędzy rozłożonymi palcami. Krew zaczęła gromadzić się

wokół kranu i wewnątrz umywalki. Gdy dłoń wyciągnęła się w kierunku Taylor, na ułożone w mozaikę płytki podłogi chlapnęło kilka tłustych czerwonych kropel.

Kap, kap, kap.

Obecnie

## Rozdział 1. Halloween

Piper's Hall, czyli szkoła dla dziewcząt w wieku od jedenastu do osiemnastu lat, położona była na samym szczycie klifu, co wystawiało ją na działanie nie tylko silnych wiatrów, lecz także wysokich fal. Szkoła siedziała wysoko nad brzegiem morza niczym gargulec i nic w architekturze budynku nie świadczyło o jego pedagogicznej funkcji. Wieże i wieżyczki zakończone były wrednie wyglądającymi metalowymi szpikulcami, a chłostane deszczem rozległe boisko miało kolor skały łupkowej. Za dnia szkoła stanowiła iście koszmarny widok, a nocą robiło się jeszcze gorzej.

Miejscowi używali do jej określenia wielu różnych wyrażeń konkurujących ze sobą pod względem wulgarności, a mieszkańcy pobliskiego Oxsley po prostu trzymali się od niej z daleka. Mieli ku temu dobre powody, gdyż budynek przypominał nawiedzony zamek z dziecięcych koszmarów. Nawet będąc na morzu, z odległości wielu kilometrów można było obserwować, jak rozwidlone języki błyskawic wyciągają się, by lizać okiennice szkoły.

Jednak od złowieszczego wyglądu jeszcze gorsze było to, że w Piper's Hall znajdowała się banda zadzierających nosa bachorów z bogatych rodzin. A przynajmniej taki werdykt wydała Bobbie Rowe, według której każdy, kto miał w głowie choć szczyptę zdrowego rozsądku, powinien unikać tej szkoły.

Chłód przenikał kości Bobbie na wylot, a żarząca się niemrawo zawartość kubła na śmieci w żaden sposób nie była w stanie ogrzać ich siedmioosobowej grupy. Tłoczyli się wewnątrz szopy ze sprzętem sportowym położonej na końcu boiska do hokeja, a zawodzący wiatr stukotał okiennicami. Jedynym sposobem na powstrzymanie się przed szczękaniem zębami jak dzięcioł z kreskówki było ich mocne zaciśnięcie.

Wieczór okazał się słaby. Tak słaby, że miała ochotę się poryczeć. Tak naprawdę Bobbie nawet nie lubiła większości tych osób, a już na pewno nie ruszało jej samo Halloween.

– Dźwięk robił się coraz głośniejszy... kap, kap, kap... – Zabawkowych rozmiarów palenisko oświetlało rumianą twarzą Sadie Walsh demonicznym blaskiem. – Opiekunka do dzieci sięgnęła po zasłonkę prysznicową tak wolno, jak tylko się dało, zrobiła głęboki wdech, a potem ją odsunęła!

– O Boże! I co tam było? – zapiszczała Lottie Wiseman, żując z nerwów kosmyk włosów.

Sadie zmrużyła oczy w zachwycie, bo stworzone przez nią napięcie sprawiło, że jej słuchacze nie mogli doczekać się finału opowieści.

– Na drążku zasłonki wisiał pudel z poderżniętym gardłem, a jego krew kapiała do wanny!

Dwaj siedzący naprzeciwko Bobbie chłopcy, których obecność w szkole dla dziewcząt nie była w żaden sposób uzasadniona – zwłaszcza w środku nocy – wymienili spojrzenia i zarechotali.

– A na lustrze... – Sadie kontynuowała opowieść z szaleńczym błyskiem w oku – ...ktoś napisał krwią: „Ludzie też potrafią lizać ręce!”

Lottie, Grace i Naya wydały z siebie udawany pisk przerażenia ku uciechu wprowadzonych na teren szkoły chłopców. Bobbie zmieniła tylko pozycję ciała, żeby pobudzić do życia zdrętwiałe od siedzenia na twardej ławce pośladki. Szkoła z internatem była w stanie przemienić niektóre dziewczęta w tykające bomby hormonalne, ale w jej przypadku wywołała jedynie obezwładniającą nieśmiałość w towarzystwie przedstawicieli płci przeciwnej.

– Niech ci będzie, Sadie – odezwała się siedząca obok Bobbie jej najlepsza przyjaciółka. – Słyszałam

tę historyjkę już z milion razy, tyle że główną bohaterką powinna być starsza pani, a nie opiekunka do dzieci... Po co opiekunka miałaby kłaść się do łóżka w cudzym domu?

Bobbie zachichotała, a następnie poprawiła modne – ale i niezbędne ze względu na wadę wzroku – okulary w grubych oprawkach na swoim zgrabnym nosku. Bogu niech będą dzięki za Nayę, która sprawiała, że w Piper’s Hall prawie dało się wytrzymać. Zauważyła, że jeden z chłopców (ten ładniejszy, mieszanej rasy młodzieniec o krótko ostrzyżonych włosach) także szczerzy zęby w uśmiechu, ale Sadie nie sprawiała wrażenia zachwyconej negatywną recenzją.

– Wybacz, Nayu, zapomniałam, że jesteś ekspertką w dziedzinie wszystkiego, co ma związek z Halloween, mój błąd.

Naya wydeła pełne wargi.

– Wcale tak nie twierdzę, ale obiecałaś nam prawdziwą historię o duchach. Halo, Rzecznik Praw Konsumenta? Opis produktu różnił się od tego, co znalazłam w opakowaniu...

Bobbie ponownie parsknęła śmiechem. Sadie uwielbiała ściemniać, a w instytucji, w której źródła światła były równie pożądane, co papierosy w więzieniu, skłonność ta nabierała dodatkowego znaczenia.

– No dobra. Chcecie usłyszeć prawdziwą historię o duchach?

Siedzące w kręgu osoby przytaknęły. Wszyscy oprócz Bobbie. Pod wpływem nacisków ze strony Nai zamiast czytać *Dumę i uprzedzenie i zombi*, wzięła udział w tej dziecinadzie. „Przecież jest Halloween – błagała Naya. – Taka noc zdarza się tylko raz w roku... Pozwól sobie na odrobinę szaleństwa!”

Naya jeszcze za to zapłaci. Bobbie nie wiedziała wprawdzie jak, ale była pewna, że tak właśnie się stanie.

– Tylko nie mówcie potem, że was nie ostrzegałam...

– Jezu święty, Sadie! – odezwała się w końcu Grace Brewer-Fay, ostatnia na liście uczestniczka ich nielegalnej imprezy oraz miłośniczką im panująca królowa. Jej mina nie mogłaby wyrażać większego znudzenia. – Możesz się streszczać? Nie mam zamiaru spędzić tu całej nocy.

Przewodnicząca szkoły wymówiła te słowa pedantycznym, uwodzicielskim tonem rodem z telenoweli, głaszcząc jednocześnie chłopca, w którego się wtulała – przystojniaka o urodzie modela z reklam firmy Hollister, który podobał się Bobbie. Gdy Grace przesunęła palcami po gładkiej i jędrnej brązowej skórze jego przedramienia,



Bobbie zaczęła się zastanawiać, jakie to musi być uczucie. Chłopak był śliczny i nawet przyznanie tego w zaciszu własnej głowy sprawiło, że jej policzki spłonęły rumieńcem. Było to głupie, bo on pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Bobbie od zawsze wcielała się w rolę kameleona, który nie miał nic przeciwko temu, by zlać się w jedno z tapetą.

Sadie nadeła się jak wyjątkowo dumny z siebie paw.

– Ta historia wydarzyła się naprawdę, i to tu, w Piper’s Hall. – Grace i Naya momentalnie wydały z siebie pełne niedowierzania odgłosy. – Serio! Moja najstarsza siostra tu wtedy chodziła! Jak nie wierzycie, mogę do niej zadzwonić!

Bobbie zrezygnowanym ruchem opuściła głowę na bark Nai.

– Możemy już iść? – spytała szeptem, żeby nie usłyszał jej nikt poza przyjaciółką. – Do końca książki zostały mi dosłownie dwa rozdziały, a właśnie zbliżałam się do wielkiego finału.

– Chyba żartujesz? Zabawa dopiero się zaczyna! – Nowojorski akcent Nai, lekko rozcieńczony trzema latami pobytu w Anglii, zawsze odzyskiwał wyrazistość w chwilach wzmożonej ekscytacji.

– Kto z was zna opowieść o Krwawej Mary?

Sadie ponownie pochyliła się w kierunku ognia.

Gdyby zbliżyła się do niego jeszcze trochę, z pewnością zaczęłaby topić się jej twarz. Bobbie niechętnie podniosła bezwładną dłoń, a w jej ślady poszło kilka innych osób.

– Może wam się wydawać, że znacie tę historię, ale przez lata jej treść łagodniała i ulegała zmianom. Jej prawdziwa, oryginalna wersja ma swój początek tutaj, w Piper’s Hall...

– Jasne! – mruknął drugi chłopak, którego ten seksowny nazywał Markiem.

Bobbie zawsze było szkoda chłopców o tym imieniu. Co za rodzice nadają dziecku imię kojarzące się z pokutującą duszą? Cóż za podłość! Mark też mieszkał w Oxsley, był muskularny i krępy, na lewym uchu nosił złoty kolczyk. Bobbie wyobrażała sobie, że był pomocnikiem na farmie albo kominiarzem, ale zdawała sobie sprawę, że więcej w tym było jej snobizmu niż prawdy.

– Słyszałem tę historię setki razy! – narzekał dalej chłopak. – Był o niej film!

– Tak, Marku, a to dlatego, że została rozpowszechniona przez wychowanki Piper’s Hall... Prawdziwa opowieść zaczyna się dwieście lat temu samobójczą śmiercią uczennicy o nazwisku Mary Worthington. Stało się to w noc taką jak ta... niebo rozświetlały błyskawice, a ziemię wstrząsały grzmoty!

Jak na zawołanie obskurna szopa zatrzęsa się od grzmotu. Bobbie wbrew sobie chwyciła Nayę za ramię.

Sadie rozkoszowała się przypadkowo osiągniętym dramatyзмом.

– W Halloween poszła do swojego ukochanego, miejscowego chłopca, którego chciała poprosić o wzięcie z nią potajemnego ślubu. W tamtych czasach wywołałoby to ogromny skandal – romans bez ślubu był dla dziewcząt z Piper’s Hall czymś nie do pomyślenia. Gdy chłopak odmówił, zaczęła go błagać, ale tylko zaśmiał się jej w twarz. Dostał już przecież to, na czym mu zależało. Mary pobiegła więc do szkoły w strugach deszczu, znalazła kawałek liny i powiesiła się w łazience. Ostatnią rzeczą, którą widziała, było własne odbicie w lustrze...

– Wszyscy słyszeliśmy już tę historię! – zawołała Grace z grymasem niezadowolenia na twarzy i potrząsnęła blond włosami jak modelka w reklamie szamponu.

– Czy określenie Krwawa Mary nie odnosi się przypadkiem do królowej Marii I, która wymordowała setki protestantów? – szepnęła Bobbie do ucha Nai, przypominając sobie jak przez mgłę lekcję historii z szóstej klasy.

Naya obdarzyła ją szerokim uśmiechem.

– Kotku, wydaje mi się, że Sadie ma na ten temat własne informacje!

Siedząca po drugiej stronie kręgu Grace wstała i chwyciła za rękę usidlonego przez siebie przystojniaka.

– Caine i ja będziemy spadać. Mam ciekawsze rzeczy do roboty...

„Aha, czyli miał na imię Caine. Caine. Fajne imię. Bobbie i Caine też niezłe brzmiało. Tak, jasne, możesz sobie pomarzyć” – zbeształa się.

– Poczekajcie chwilę! – Sadie uśmiechnęła się niewinnie i oblizała wargi. – To było dopiero tło...

– Chcę posłuchać do końca.

Caine ponownie klapnął na ławkę ku nieskrywanemu niezadowoleniu Grace. Biedny chłopak musiał przegapić numer biuletynu Piper's Hall, w którym wyraźnie stwierdzano, że każdego, kto sprzeciwi się woli Grace Brewer-Fay, spotka ponury los.

Upiorny wiatr groził zerwaniem dachu szopy i Bobbie oplotła się mocno ramionami. Sadie na nowo zaczęła snuć opowieść:

– Istnieje wiele różnych wersji dotyczących tego, co się potem stało, ale wszystkie one zgadzają się co do tego, że możliwe jest wywołanie ducha Krwawej Mary... i to właśnie wydarzyło się w naszej szkole. Parę lat temu, gdy do Piper's Hall

chodziła moja siostra, udało się to pewnej dziewczynie. Są z tym związane pewne reguły. Należy się do tego zabrać, gdy wybije godzina duchów, czyli o północy. Konieczne jest zapalenie świecy, żeby pomóc Mary trafić na drugą stronę lustra, które, nawiasem mówiąc, też jest potrzebne, bo jej dusza została uwięziona w jednym z nich i nigdy nie dotarła do zaświatów. Potem wystarczy wymówić jej imię pięć razy...

– I co się stanie? – zapytał Caine z szeroko otwartymi oczami.

– Nikt żywy tego nie wie. Nigdy nie znaleziono ciała. One po prostu znikają... a przynajmniej tak głosi plotka.

W pomieszczeniu zapadła cisza wywołana wizją konsekwencji opisanych przez Sadie. W końcu Naya zaczęła klaskać w zwolnionym tempie. Chwilę później dołączył do niej Caine, którego białe zęby lśniły w półmroku. Szeroki uśmiech dodatkowo rozjaśniał mu twarz, a Bobbie nie była w stanie oderwać od niego wzroku. W policzkach robiły mu się dołeczki. Wyglądał jak żywcem wycięty z wiszącego w pokoju nastolatki plakatu.

Dziwna sprawa. Bobbie nie była zazwyczaj zainteresowana rówieśnikami: nastoletni chłopcy przypominali jej dzieci. Natomiast „nastoletni” młodzieńcy z programów telewizyjnych, którzy

wpadli jej w oko, tak naprawdę przekroczyli już dwudziestkę. Caine był inny niż reszta: nie miał trądziku i nie nosił aparatu ortodontycznego ani zbyt luźnych sportowych ciuchów, czym przypominał raczej serialowych chłopców. W liceum w Radley bez dwóch zdań musiał opędzać się od dziewcząt, więc dziwne było, że zwrócił uwagę na Grace. Co prawda była ładna, ale tak samo określić można było wiele trujących roślin...

– Nie znaleziono ciał? Cóż za dogodny zbieg okoliczności! – zawołała radośnie Naya. – Rozpłynęły się w powietrzu!

Grace skrzywiła się z równie nieporuszoną miną.

– Stra-a-asznie się cieszę, że zostaliśmy, żeby posłuchać zakończenia. Kiedy premiera filmu?

Sadie skrzyżowała ramiona na piersi i wyduła wargi. Bobbie była w stanie przewidzieć jej słowa, jeszcze zanim dziewczyna otworzyła usta.

– Dobra, rozumiem. Skoro tak, to może macie ochotę sami spróbować?

To właśnie było prawdziwe crescendo wieńczące jej opowieść, a poprzednie zakończenie pełniło jedynie funkcję zmyłki, która miała popchnąć ich ku tej nieuniknionej konkluzji. Zaległa cisza tak głucha, że dałoby się usłyszeć, jak

na drugim końcu boiska do hokeja spada na ziemię szpilka.

– Co? Chyba nie mówisz poważnie? – spytała Naya, a Lottie obserwowała całą scenę oczami wielkimi jak ślepia galago.

– Ja to zrobię! – zgłosił się na ochotnika Caine, pocierając dłonie.

– Nie! – Mina biednej Lottie sugerowała, że dziewczyna była na skraju załamania nerwowego.

Sadie wstała, rzucając tym samym obecnym niewidoczną rękawicę.

– Skoro moja historia jest słaba, to wywołanie jej ducha nie powinno was przerażać.

– Lepiej wywołaj sobie trochę rozumu w głowie – warknęła Naya.

Boże. Bobbie nieraz już była tego świadkiem... Naya Sanchez nie wiedziała, kiedy odpuścić. Należało przygotować się na wybuch.

– Jak jesteś taka twarda, to dlaczego sama tego nie zrobisz?

– Ziew. Bo już raz to zrobiłam! – odparła Sadie z dłonią wspartą o biodro, równie uparta co jej oponentka.

– To jakim cudem jeszcze żyjesz? – odezwała się Bobbie w nadziei, że może uda jej się przygasić zapalczliwość Nai.

Naciągnęła na dłonie rękawy grubego swetra

z warkoczami, żeby trochę je ogrzać.

Stojąca pośrodku kręgu Sadie wyglądała na zbitą z pantałyku.

– Nie mam pojęcia! Po prostu nic się nie stało. Ale biorę Lottie na świadka, bo wszystko widziała!

Każda para oczu w zadymionym pomieszczeniu zwróciła się ku delikatnej twarzy Lottie gotowej przytaknąć dowolnemu słowu, które wyszło z ust jej najlepszej przyjaciółki.

– To prawda. Zrobiła to trzy dni temu... wykonała wszystko, jak należy, ale nic się nie stało. Ale i tak było strasznie!

– Serio? Nie pojawił się wymyślony duch? Cóż za zaskoczenie. – Wargi Grace wygięły się w dobrze im znany złośliwy uśmiezek.

Jednak Sadie nie miała zamiaru dać za wygraną.

– Okej. W takim razie spróbujcie same. Chyba że się boicie.

Grace zanosła się piskliwym śmiechem.

– Sadie, kotku, naprawdę myślisz, że to na mnie podziała? Presja rówieśnicza to mój wynalazek.

Sadie ugięła się pod mocarnym naciskiem prawdziwej Krwawej Mary trzęsącej Piper's Hall. Tak właśnie działała Grace. Przypominała kobrę, która może tańczyć całą noc, ale jedno jej ukąszenie wystarczy, by było po sprawie. Bobbie



nie miała pojęcia, skąd w Grace było tyle wredności – musiała być bardzo niepewna siebie, skoro bez przerwy czepiała się innych. Jednak jej motywy nie obchodziły Bobbie aż tak bardzo, żeby chcieć nawiązać kontakt z tym chodzącym kaktusem, była bowiem pewna, że jej wysiłki zostałyby nagrodzone wyłącznie bolesnymi ukłuciami.

– W każdym razie ja mam zamiar spróbować!

Caine zakasał rękawy bluzy z kapturem i zaczął imitować podskoki boksera szykującego się do walki.

– Co takiego? – trysnęła jadem Grace.

– Spróbuję! – powtórzył. – W końcu jest Halloween. A ja nie boję się duchów.

– Ja też. – Naya wstała z miejsca i podeszła do Caine’a. – Jak to mówią, każdy zasługuje na to, aby chociaż raz porządnie wystraszyć się w Halloween.

– Witaj w klubie! – Caine przybił z Nayą piątkę.

To nie mogło się dziać naprawdę. Noc zmieniała się w powtórkę z wiosennego balu, który okazał się kompletnym fiaskiem (faux pas w postaci identycznych sukienek) i Bobbie wiedziała, co się będzie działo w następnej kolejności. Pojedynek między Grace a Nayą.

– Chyba jaja sobie robisz! – warknęła Grace,

rozszerzając nozdrza. – Jeśli myślisz, że pozwolę ci szlajać się po nocy z moim chłopakiem, to chyba te kilka pozostałych w twoim mózgu komórek całkiem straciło chęć do życia.

Kolega Caine'a Mark parsknął śmiechem i zaczął przedrzeźniać ją pod nosem, powtarzając określenie „mój chłopak”. Caine też nie wyglądał na zachwyconego ową etykietką, ale zbył ją uśmiechem, w który ułożyły się jego ponętne wargi, czemu towarzyszyło ponowne pojawienie się dołeczków w policzkach.

– No cóż, Grace, w takim razie musisz nam towarzyszyć! – Naya posłała jej uśmiech stewardesy na amfetaminowym haju.

Bobbie podźwignęła się z ławki, czując, jak strzela jej w kolanach, i dowlokła się do Nai.

– Chodźmy po prostu spać. Jest późno – zasugerowała.

– Tak, tak, lepiej posłuchaj Blobbi, Naju...

Bobbie już otwierała usta, żeby wyrzucić z nich jakąś cwana pyskówkę, ale jak zwykle uprzedziła ją Naya.

– Nie nazywaj jej tak! Będę robić, co mi się spodoba. No dalej, Sadie, która to była łazienka? Idziemy. Krwawą Mary z lodem, proszę.

## Rozdział 2. Wywoływanie

Piskliwe i zgodnie przez wszystkich ignorowane prośby o ciszę wygłaszane przez panią Craddock, wychowawczynię internatu, odbijały się echem od ścian długich wysokich korytarzy. Z racji Halloween znerwicowana opiekunka postanowiła dać dziewczętom z Piper's Hall trochę luzu, ale wraz z nadejściem północy jej cierpliwość się wyczerpała.

– Dziewczęta! Proszę natychmiast wracać do swoich pokoi! – Kobiecie niewiele brakowało do załamania nerwowego, ale któż nie doświadczyłby podobnego losu po ćwierćwieczu spędzonym na opiece nad nastoletnimi pannami?

Jej głos dobiegł Bobbie, Naye, Grace, Sadie, Lottie, Marka oraz Caine'a zaraz po tym, jak cała grupa wślizgnęła się do szkoły przez znajdujące się na parterze wyjście ewakuacyjne. Dłonie oraz twarze mieli zaczerwienione i przemarznięte, mimo że musieli pokonać jedynie krótki dystans przez chłostane deszczem boisko do hokeja. Naya zaczęła szarpać się z drzwiami, żeby zamknąć je za sobą na przekór wściekłym podmuchom wiatru.

Upewniwszy się, że droga jest wolna, Sadie

nacisnęła dębowy panel umiejscowiony między kuchnią a jadalnią.

– Nie wierzę! Macie tu prawdziwe tajne przejścia! – zawołał ogarnięty chłopięcym entuzjazmem Caine.

– Nie podnoś głosu – zbesztła go Grace. – Masz pojęcie, w jak poważne wpadłybyśmy tarapaty, gdyby nas przyłapano?

– Sorry.

Te tak zwane tajne przejścia były jedynym powodem, dla którego Bobbie zgodziła się zapisać do tej szkoły – co jak co, ale obietnica obracających się wokół własnej osi regałów na książki jak ze *Scooby Doo* oraz pieczary pełne robactwa jak z filmu *Indiana Jones i Świątynia Zagłady* były w stanie przemówić do wyobraźni jedenastoletki, którą wtedy była.

Okazało się jednak, że tajne przejścia to korytarze dla służby z czasów, gdy główna część szkoły pełniła funkcję rezydencji. Podobno w budynku znajdowały się też kryjówki dla duchownych pochodzące z jeszcze bardziej zamierzchłej przeszłości, ale Bobbie żadnej z nich nigdy nie widziała. Korytarze i klatki schodowe nie były tajne, ale młodsze dziewczynki – określane mianem junierek – unikały ich od momentu, gdy seniorki z przesadnym przywiązaniem do

szczegółów nakreśliły im konsekwencje przyłapania ich w owych miejscach. No i wszystkie były rzecz jasna „nawiedzone”.

– Dalej, za mną – poinstruowała ich Sadie.

Wślizgnęli się do wnętrza wąskiego, pozbawionego wykładziny korytarza, którego szerokość nieznacznie tylko przekraczała rozpiętość masywnych ramion Marka.

Na końcu korytarza wiły się chwiejnie do góry skrzypiące drewniane schody, za których pośrednictwem można się było dostać na każde z pięter. Podążali za Sadie gęsiego, aż dotarli do prowadzącego na drugie piętro wyjścia położonego z dala od pokoi uczennic. Bobbie szła na samym końcu pochodu. Miała wątpliwości, czy ktokolwiek poza Nayą zdawał sobie w ogóle sprawę z jej obecności.

Zza panelu wyjściowego – drzwiczek ukrytych w oknie wykuszowym znajdującym się pomiędzy skrzydłami szkoły dedykowanymi Jane Austen i Emily Brontë – dobiegły Bobbie dziewczęcy chichot oraz odgłosy świadczące o coraz większym znużeniu pani Craddock. Przy odrobinie szczęścia truchtające w tę i w tę dziewczęta sprawią, że starsza kobieta nie zauważy nieobecności pięciu uczennic. Zresztą pani Craddock i tak nie chciałoby się tego sprawdzać, skoro za pięć minut miał

rozpocząć się najnowszy odcinek *CSI: Kryminalne zagadki Miami*.

– Poczekamy, aż zrobi się cicho. Craddock zaraz się położy i za kilka minut będzie już spać jak suseł – szepnęła Sadie z uchem przyciśniętym do panelu.

– Jak chcesz – jęknęła Grace.

Jak na ironię, obowiązkiem przewodniczącej szkoły było pilnowanie, aby wszystkie dziewczęta znalazły się w swoich pokojach najpóźniej o dziewiątej wieczorem, oraz donoszenie o pojawieniu się na terenie szkoły intruzów. Bobbie nie była w stanie pozbyć się złośliwej satysfakcji wywołanej myślą, że Grace nie będzie miała okazji zabawiać się z Caine'em – przynajmniej nie tej nocy. Naturalnie przy założeniu, że uda im się przetrwać spotkanie z Krwawą Mary. Bobbie nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Z drugiej strony ciekawiło ją, czy plan dojdzie do skutku, nie wspominając o tym, jak bardzo cieszył jej oko widok Caine'a.

Sypialnie należące do oryginalnej części budynku zostały podzielone na cztery skrzydła, z których każde opatrzono nazwiskiem słynnej pisarki – Austen, Brontë, Christie oraz Dickinson. To, że nie określono ich po prostu przy użyciu liter A, B, C i D, było dodatkowym dowodem – jakby i tak nie było ich wystarczająco wiele – że szkoła,

do której uczęszczała Bobbie, była potwornie pretensjonalna. Skrzydła imienia Austen i Brontë znajdowały się na przeciwległych krańcach drugiego piętra, a skrzydła Christie i Dickinson położone były piętro wyżej.

I faktycznie – w ciągu kwadransa odgłosy stóp oraz głosy zaczęły milknąć. Szkołę wypełniał teraz tylko elektryczny pomruk jarzeniówek oraz towarzyszące mu potępieńcze jęki burzy.

– Dobra, do dzieła! – Sadie wyprowadziła całą brygadę z kryjówek.

Lottie opuściła ich i podreptała na paluszkach w kierunku skrzydła Christie znajdującego się piętro wyżej. Trzymająca się z tyłu Bobbie pociągnęła Nayę za rękę.

– Po co właściwie to robimy?

– Daj spokój, Bob! – Naya ujęła jej dłoń. – Bawiłam się w to setki razy na pizamowych imprezach. Podpuszczam tylko Grace i Sadie! Zobaczysz, będzie śmiesznie!

– Naprawdę? Wyjaśnij, w jaki sposób, jeśli łaska. – Bobbie wzruszyła ramionami z powątpiewaniem.

– No jak to? Jak będzie po wszystkim, cały kolejny tydzień będę wypisywać po kryjomu różne rzeczy na lustrach i rozwieszać wszędzie stryczki! Posikają się ze strachu, a ja mam wielką ochotę

zobaczyć, jak Grace Brewer-Fay moczy łóżko!

Bobbie patrzyła, jak Grace uwiesza się na ramieniu Caine'a niczym bohaterka filmu klasy B. Co za ściema – Grace miała w sobie więcej testosteronu niż obaj chłopcy razem wzięci. Czy utarcie jej nosa mogło okazać się zabawne? No raczej.

Idący na czele pochodu Sadie i Mark dotarli do skrzydła dedykowanego Emily Brontë. Korytarz prowadzący do pogrążonych w ciszy pokoi uczennic oświetlało jedynie drżące światło lampek, których blady blask miał wskazywać dziewczętom drogę ku wyjściu ewakuacyjnemu. Droga była wolna, a uchylone drzwi do łazienki zdawały się na nich czekać. Bobbie nie mogła pozbyć się myśli, że w mroku, w Halloween, podczas szalejącej burzy sprawiały dosyć złowieszcze wrażenie...

W wyobraźni wylała sobie na głowę kubek chłodnej rzeczywistości. Chyba zgłupiała. Durne dzieciaki na całym świecie powtarzają słowa „Krwawa Mary”, stojąc przed lustrem, i gdyby w tej historii było choć źdźbło prawdy, już dawno w gazetach pojawiłyby się artykuły na ten temat.

– Chodźcie!

Sadie weszła na palcach do łazienki. Bobbie wzięła głęboki oddech i pozwoliła Nai przeprowadzić się przez próg.



Przesycone wilgocią pomieszczenie jak zwykle wypełnione było dobywającym się z zatkanych włosami odpływów jajecznym smrodkiem, który mieszał się z wonią mydła i szamponu. Z pordzewiałych głowic pryszniców wiszących za porwanymi zasłonkami nieustannie ciekła woda, kapiąc na glazurę. Bobbie miała wątpliwości, czy nawet najbardziej zdesperowany duch chciałby zostać wywołany w równie obskurnym miejscu.

– Zamknij drzwi – rozkazała Sadie, a Bobbie posłuchała.

Sadie otworzyła kosmetyczkę, do której włożyła wcześniej zabrane z sypialni świece i zapalki, i zaczęła ustawiać je na umywalkach zainstalowanych pod lustrem. Cała operacja została przemyślana w najdrobniejszych szczegółach i Bobbie zastanawiała się, kiedy właściwie w głowie Sadie zrodził się ów pomysł. Między Grace a Sadie dało się wyczuć niemożliwe do rozładowania napięcie: obie należały do tak zwanych elitek – samodzielnej instytucji od dawien dawna funkcjonującej w obrębie murów Piper's Hall. Co roku jedna lub dwie dziewczyny z bogatych, wpływowych lub słynnych rodów poddawane były inicjacji umożliwiającej im wejście w skład klubu wtajemniczonych, którego celem istnienia były organizacja tajnych spotkań

oraz ogólnie rozumiana podłość – coś na kształt Rodziny Charliego Mansona, tyle że z dodatkiem błyszczyku do ust. Nawet z punktu widzenia osoby niewtajemniczonej Bobbie była w stanie stwierdzić, że Grace i Sadie nieustannie konkurowały o tytuł Królowej Matki łamanej przez Przywódczynię Stada.

Klub był kompletną bzdurą. Bobbie została zaproszona do wzięcia udziału w inicjacji na pierwszym roku z racji tego, że jej mama cieszy się pewną sławą. Odmówiła jednak, bo odniosła wrażenie, że to nic innego jak napędzana cukrem sekta dla anorektyczek strojących się w minispódniczki, i od tamtej pory ponosiła konsekwencje swojej decyzji. Nie żeby ją to bardzo obchodziło, ale jej życie towarzyskie praktycznie obumarło. Naya swego czasu bardzo chciała zostać członkinią klubu. Jednak Grace z miejsca znieubiła zmysłową Amerykankę, która pojawiła się w Piper's Hall od razu na drugim roku, i dopilnowała, żeby jej marzenie nigdy się nie ziściło.

Bobbie przelotnie zerknęła na swoje odbicie w lustrze, przystając na chwilę, żeby poprawić proste jak strzała włosy, po czym przeniosła wzrok na nieskończenie bardziej interesujący widok w postaci Caine'a – chłopaka o brązowej skórze

i jedwabistych włosach. Gdy jej wzrok napotkał w lustrze oczy Caine'a, błyskawicznie opuściła głowę, mając nadzieję, że nie dostrzegł, iż się na niego gapiła. Ani – co byłoby o wiele gorsze – że nie została przyłapana na gorącym uczynku przez Grace. Musiała wziąć się w garść.

– Okej, już prawie północ. Kto zacznie?

Grace wyprostowała plecy, spojrzała z podziwem na swoje odbicie i przyglądała idealnie ułożone pasemka blond włosów.

– Ja się w to nie bawię, koniec, kropka. To zwykła dziecinada.

– To po co tu przyszedłeś? – spytała Naya.

– Bo zbyt dobrze cię znam – odparła Grace oskarżycielskim głosem.

Caine musiał wyczuć wzbierające między dziewczętami napięcie, bo zrobił krok w kierunku lustra, ciągnąc ze sobą krępego Marka.

– My zaczniemy! – oświadczył.

Niższy chłopak odtrącił jego rękę.

– Ja odpadam. Co jeśli to prawda? Ale będę wszystko nagrywał, żeby się potem z ciebie nabijać do końca życia!

– Ludzie, co z wami nie tak? – Na ustach Caine'a znowu pojawił się pełen uroku uśmiech. – Straszne z was mięczaki!

Naya stanęła obok niego przed lustrem i oparła

dłonie na biodrach.

– Kotku, nie ma miękkich nowojorczyków.

Bobbie uniosła brew, nie będąc pewna, czy Naya próbuje sprawiać ponętne wrażenie. Bo jeśli tak, to kiepsko jej to wychodziło. I wtedy poczuła, że jej stopy robią coś bardzo dziwnego – przesuwają się do przodu. Zupełnie jakby Caine był wirusem komputerowym, który zainfekował jej dysk twardy... Jej zdolności heurystyczne zostały zablokowane, a sterowane zdrowym rozsądkiem mechanizmy obronne, oparte na niewidzialności, padły ofiarą pragnienia, żeby zaimponować chłopakowi, którego poznała kilka godzin wcześniej i z którym nie zamieniła do tej pory ani słowa.

Naya spojrzała na nią wzrokiem, w którym szok mieszał się z dumą.

– Bobbie?

– No co? – spytała. – Nie boję się. To głupie.

Wściekało ją, że Naya miała ją za mięczaka, mimo że dobrze ją znała. Grace posłała jej pełne współczucia spojrzenie zazwyczaj zarezerwowane dla psów bez jednej nogi.

– Brawo, Bobbie! Uwielbiam dziewczyny z jajami! – Caine się zająknął. – To znaczy, nie w tym sensie... Oj, wiesz, o co mi chodzi.

Bobbie na chwilę rozplynęła się w jego oczach,

bo po raz pierwszy chłopak poświęcił jej więcej niż chwilę uwagi. „Wie, jak mam na imię...” – zauważyła, a potem się wyprostowała. Chłopcy przypominali groźne psy – jeśli okaże im się strach, mogą odgryźć człowiekowi twarz.

– No dobrze, załatwmy to w końcu, zanim wyrzucą nas ze szkoły.

– O tak – zgodziła się Grace. – W porównaniu ze szkołą państwową gniew Krwawej Mary to bułka z masłem...

Sadie cofnęła się do miejsca, gdzie dąsała się Grace, a Mark otworzył telefon komórkowy i zaczął kręcić własny niskobudżetowy horror.

– Możecie zaczynać. Jest już po północy. Jeśli się odważycie. – Sadie wyszeptała ostatnie słowo zniewieściałą wersją głosu narratora *Opowieści z krypty*.

Cała trójka spojrzała w lustro. Jak można się było spodziewać, widoczne w nim odbicia odpowiedziały im dokładnie tym samym. Bobbie: drobna i delikatna, kryjąca się za okularami w grubych oprawkach; Caine: wysoki, barczysty, o budowie pływaka; Amazonka Naya, której ciężkie czarne loki spływały z ramion. Trio, którego obecność w damskiej łazience o północy była co najmniej dziwna.

Caine spojrział po kolei na obie dziewczyny,

oddychając głośno przez nos, po czym spytał:

– Gotowe?

– Tak.

Na tym etapie Naya wydawała się mniej pewna siebie. Bobbie odpowiedziała lekkim skinieniem głowy.

– Okej. To na trzy... Raz, dwa... trzy...

Zawahali się, bo żadne z nich nie chciało zacząć pierwsze.

– No dalej! – Zaśmiał się. – Tym razem...

– K... Krwawa Mary – odezwała się Naya, a potem posłusznie dołączyła do niej pozostała dwójka.

Bobbie poczuła, jak z pomieszczenia ucieka powietrze. Nawet noc usłyszała ich słowa i wstrzymała oddech w oczekiwaniu.

– Krwawa Mary...

Napięcie stawało się nieznośne. Gdy Caine i Naya zaczęli chichotać, Bobbie dołączyła do nich tylko dlatego, że nie chciała być jedyną osobą, która się nie cieszy.

– No dalej – dopingowała ich z bezpiecznej odległości Sadie. – Dopiero dwa.

Stłumili śmiech.

– Krwawa Mary...

A potem raz jeszcze:

– Krwawa Mary.

Do łazienki wniknął mroźny podmuch wiatru, sprawiając, że świece zamigotały i zaczęły się dławić, a na ścianach oraz trzech widocznych w lustrze obliczach zatańczyły cienie nasuwające na myśl rytuały wudu. Nisko położone źródła światła upodabniały ich twarze do czaszek.

– Jeszcze tylko raz.

Bobbie spojrzała Naya głęboko w oczy i dostrzegła w nich smętną resztkę uprzedniej brawury.

– Wszyscy razem – zarządził Caine.

Wziął Nayę za prawą rękę, a ją za lewą. Serce Bobbie tłukło się o żebra i z trudem oddychała, nie mówiąc już o wypowiedzeniu ostatnich dwóch słów. Spojrzała na najodleglejszy widoczny w lustrze punkt. Dziwna sprawa, ale wydało się, że odsuwa się od niej, zupełnie jakby zerknęła w głąb długiego czarnego tunelu. Odbicia zniknęły i widać było tylko ów mroczny korytarz. W jego odległym końcu coś się poruszyło.

Caine rozchylił wargi. Naya dyskretnie skinęła do niej głową, a Bobbie wzięła głęboki oddech i przymknęła powieki.

– Krwawa Mary – powiedzieli jednocześnie.

Światło w pomieszczeniu poblądło, jakby świece miały zamiar zgasnąć. A potem nie wydarzyło się nic. W łazience panowała cisza

przetykana tylko monotonnym kapaniem dobiegającym spod pryszniców. Bobbie spojrzała na swoich towarzyszy. Ciało Nai było tak mocno napięte, że mogła dostrzec ścięgna w jej szyi. Caine nerwowo przygryzał dolną wargę.

Nic.

Bobbie rozluźniła się pierwsza. Parsknęła śmiechem, a chwilę później w jej ślady poszła pozostała dwójka. Z ich gardeł wydobył się dziki śmiech, w którym pobrzmiwało dziwaczne połączenie ulgi, hysterii i zażenowania. Na ułamek sekundy każde z nich dało się dokumentnie wkręcić.

– Jakby w ogóle trzeba było coś udowodniać... Frajerka ze mnie! – Bobbie zachichotała.

– Ale miałaś minę! – Zgięty wpół ze śmiechu Caine wskazał na Nayę.

– Ja? Stary, sam kiepsko wyglądałeś!

Sadie była w podobnym do nich stanie. Opierała się ręką o ścianę obok Grace, która w dalszym ciągu udawała, że jest zimną, niewzruszoną rybą.

– To było kapitalne! Wyglądaliście, jakbyście mieli za chwilę posikać się w majtki!

– Wielkie dzięki, Sadie! – Bobbie wyciągnęła do niej dłoń, którą Sadie uścisnęła. – Przyznaję, że jak na Halloween, to był całkiem rozrywkowy wieczór.



Gratuluje napędzenia nam pierwszorzędnego stracha. Nie wiem jak wy, ale ja pójdę się już położyć.

– Dzięki Bogu – rzuciła Grace z szyderczym uśmiechem. – Caine?

– Kotku, musimy już spadać. Dzisiaj nocuję u Marka.

Wargi Grace na moment wykrzywiły się w grymasie rozczarowania, ale chwilę później ich właścicielka przypomniała sobie, kim jest: damą z Piper’s Hall, której nikt nie będzie w kaszę dmuchać.

– W porządku. To do zobaczenia.

Grace wyszła z łazienki w towarzystwie depczącej jej po piętach Sadie.

Caine spojrzał na Marka, kuląc się w sobie.

– Co tam Krwawa Mary, mam poważniejsze problemy na głowie!

– Przejdzie jej – stwierdziła Naya ze słodkim uśmiechem. – Nie bierz tego do siebie, ale ona co weekend sprowadza tu sobie innego chłoptasia z miasteczka. Traficie sami do wyjścia?

– Tą samą drogą, którą się tu dostaliśmy? – spytał Mark.

– Tak, szybko się uczysz.

– Miło było, dziewczynki.

W ustach Caine’a to ostatnie słowo zabrzmiało

jak „dziwczinki” i Bobbie bardzo się to spodobało. Zaczęła się zastanawiać nad pochodzeniem chłopaka, bo jego akcent nie był stąd.

Caine uściśnął Nayę po przyjacielsku.

– Do zobaczenia wkrótce, co?

Podszedł do Bobbie, żeby wykonać identyczny gest, któremu się niezdarnie poddała. Jej serce na moment przestało bić i zapomniała o konieczności oddychania, wsysając przez usta olbrzymie hausty chłopięcej woni, na którą składał się zapach proszku do prania i dezodorantu dla macho. Dla niego to było nic takiego – ot, gest, który wykonał od niechcienia i któremu nigdy więcej nie poświęci nawet jednej myśli – podczas gdy ona zapamięta go na wieczność. Typowe.

– Miło cię było poznać, Bobbie. Przy okazji: fajne imię.

– Tak. Dzięki. – Język zasupłał się jej w grubym węzle.

Po upewnieniu się, że droga jest wolna, chłopcy ruszyli w kierunku wyjścia, a Bobbie raz jeszcze obróciła się ku ciemnemu prostokątowi lustra i zdmuchnęła świeczki. Może i nie udało im się wywołać ducha, ale bez dwóch zdań coś przebudziło się w jej wnętrzu. Pokręciła głową, po czym posłała mieszkającego w niej mizdrzącego się podlotka za karę do kąta, bo nie miała zamiaru

stać się jedną z postaci stworzonych przez Judy Blume.

Bobbie wyszła za Nayą z łazienki, nie zwracając uwagi na monotonne kapanie, którego echo odbijało się od kafelków.

Dzień pierwszy

## Rozdział 3. Wiadomość

Bobbie – jak co rano – zbudził dźwięk śpiewającej na całe gardło Nai, i to po hiszpańsku.

– Boże święty – jęknęła Bobbie, przewracając się na drugi bok. – Możesz dać sobie spokój? Jest niedziela, dzień specjalnie stworzony do wypoczynku!

Wsunęła głowę pod poduszę, którą Naya chwilę później uniosła i zaśpiewała jej kilka słów do ucha.

– Pobudka. Jest tyle miejsc do zobaczenia, tylu ludzi do odwiedzenia!

– Nawąchałaś się czegoś czy co? Jesteśmy w Piper’s Hall. Tu dosłownie nie ma gdzie iść.

– Daj spokój, jest niedziela. Chodźmy do kościółka!

Bobbie błyskawicznie usiadła i odgarnęła włosy z twarzy.

– Co takiego?

– Nabrałam cię! – Naya zachichotała. – Ale przynajmniej już nie śpisz. Wstawaj, bo spóźnimy się na śniadanie.

Teraz, gdy były już seniorkami, Bobbie i Naya mogły cieszyć się własnym dwuosobowym pokojem – juniorki musiały się czasami gnieździć po cztery

w pomieszczeniu wielkości puszek sardynek. W porównaniu z czymś takim ich pokój wydawał się luksusowym apartamentem.

– Myślisz, że wyglądam grubo?

Naya stanęła przed lustrem i zaczęła trącać palcem prawie nieistniejący brzuch.

Bobbie ponownie przykryła się kołdrą.

– Jesteś szalona, wiesz?

– Ślubuję odstawić wszelkie węgielno...

Rozległo się pukanie i do pokoju wsunęła się głowa pani Craddock.

– Roberta, kochanie, jest do ciebie telefon.

To mogło oznaczać tylko jedno: nadszedł czas na cotygodniową pogawędkę z mamą. Bobbie owinęła się szlafrokiem.

– Naya, odłóżysz dla mnie coś ze śniadania?

– Pewnie, kotku.

Naya towarzyszyła jej aż do drzwi gabinetu sąsiadującego z kwaterą pani Craddock, z niewiadomych przyczyn nazywaną przez wychowanki szkoły Łożą. Bobbie cieszyła się reputacją „grzecznej dziewczynki” (jeśli nie liczyć wydarzeń zeszłej nocy), więc pozwolono jej zostać samej w ciasnym pokoiku.

– Witaj, mamó. – Bobbie zaskoczyła samą siebie poważnym tonem powitania, które wyszło z jej ust.

– Bobbie? Wszystko w porządku, kochanie?! –

zawołała jej mama, która nigdy nie ściszała głosu poniżej poziomu krzyku.

– Tak, wszystko okej. Dopiero wstałam.

– To dobrze, bo już zaczynałam się martwić! Nie powinnaś tak straszyć starej matki, kochanie!

– Przepraszam. Co słyhać w Nowym Jorku?

– Skarbie, od wyjścia z samolotu nie miałam okazji zaczerpnąć świeżego powietrza, nawet nie zajrzałam do Barney's. Przesłuchania ciągną się bez końca. Nie mam nawet czasu, żeby podrapać się po tyłku!

Bobbie naprawdę nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Na tym etapie rozmowy mama jak zwykle zaczynała narzekać na reżysera, scenariusz, teatr, rozkoszując się każdą chwilą swojego wariackiego życia.

– ...ale przylecisz na premierę, prawda, kochanie? – spytała na koniec.

– Może – odparła Bobbie. – Po świętach mam egzaminy, muszę się przygotować.

– Och, kochanie, przestań dramatyzować. – W jej ustach ów komentarz mocno trącił hipokryzją. – Z Heathrow doleczysz tu w niecałe osiem godzin, a materiał możesz powtarzać w samolocie! Załatwię kierowcę, który odbierze cię ze szkoły.

– Dobrze, mam, jak chcesz. Chętnie zobaczę tę

sztukę.

– Pewnie, że tak, w końcu to najlepsza rzecz, w jakiej kiedykolwiek wystąpiłam! – Mówiła tak o każdej ze swoich sztuk. – Jak właściwie leci ci w szkole, skarbie?

Bobbie wzruszyła ramionami, a zaraz potem uświadomiła sobie, że wzruszenia ramion nie słyhać przez telefon.

– Może być.

– Bobbie, nie płacę astronomicznego czesnego za „może być”!

– Och, tu jest cudownie, mamó, dosłownie nie mogę się nasycić tym miejscem, a jak skończę osiemnaście lat, będą mnie chyba musieli chirurgicznie stąd wycinać!

– Nie bądź sarkastyczna, Roberto, bo porobią ci się zmarszczki.

– Myślałam, że robią się od marszczenia brwi.

– Nie wymądrzaj się! Wiesz, że mama cię kocha, prawda?

– Też cię kocham, mamó.

I taka była prawda. Nie każdemu odpowiadałaby matka w osobie trochę jeszcze sławnej, a trochę już przebrzmiałej aktorki, ale Bobbie miała tylko jedną mamę i kochała to, co zostało jej dane. Była wariatką, ale zawsze można było pogadać z nią przez telefon. Niektóre



z wychowanek Piper's Hall miały szczęście, jeśli raz na rok odwiedziła je niania.

– A teraz poproszę o ekstraduże transatlantyczne buziaki! – zażądała mama.

Bobbie posłała do wnętrza słuchawki donośne cmoknięcie przekonana, że nikogo nie ma w okolicy. Myliła się jednak. Zza drzwi wychyliła się zwiędzona zadbaną fryzurą głowa doktor Price, dyrektorki szkoły.

– Mamo, muszę kończyć. Kocham cię.

– Ja ciebie też, skarbenku.

Gdy Bobbie odłożyła słuchawkę, do pomieszczenia wkroczyła reszta ciała doktor Price, nawet w niedzielę odzianej w drogi, szyty na miarę kostium. Dyrektorka była piękną, zbliżającą się do pięćdziesiątki kobietą – może tylko odrobinę zbyt kanciastej budowy. Przypominała Bobbie lakoniczne, zimne jak lód kobiety z obrazów de Lempickiej, które analizowali na zajęciach z malarstwa. Jej blond włosy o różowawym odcieniu były schludnie obcięte na pazia. Kobieta spojrzała na Bobbie spod zmrużonych powiek.

– Wybacz, że przeszkodziłam ci w rozmowie... yyy...

– Mam na imię Roberta, proszę pani.

– Roberta, zgadza się. Pospiesz się lepiej, bo ominie cię śniadanie.

– Przepraszam, doktor Price. Lepiej pójdę wziąć szybki prysznic.

Z jakiegoś powodu Bobbie zawsze czuła się zawstydzona, gdy rozmawiała z nauczycielkami, mimo że większość z nich znała już od prawie pięciu lat. Jej oceny były *na poziomie*, zachowanie *dobre*, a frekwencja *idealna*, dzięki czemu od momentu pojawienia się w Piper’s Hall Bobbie była w stanie nie rzucać się w oczy. Zapominała języka w gębie zwłaszcza w obecności doktor Price. Kobieta nie tylko rządziła szkołą, lecz także emanowała pewnością siebie i urokiem osobistym, podczas gdy Bobbie nawet w szkolnym mundurku przypominała raczej bezdomną sierotkę.

Nie musiała się długo zastanawiać, co dyrektorka robi na terenie szkoły w niedzielę. Bobbie wyczuwała w niej skłonność do pracoholizmu, a co więcej, chodziły plotki, że kobieta przechodzi obecnie przez trudny rozwód. Spuściwszy głowę, Bobbie szybko wyminęła dyrektorkę i podreptała do pokoju po kosmetyczkę.

Wizja przerażających zwęglonych resztek, które mogły ostać się w stołówce o dziewiątej rano w niedzielę, zmotywowały Bobbie do szybszego działania. Odkręciła prysznic, a potem przypomniała sobie zesłonocną eskapadę. W świetle dnia łazienka sprawiała wrażenie

całkiem innego pomieszczenia. Stała przed lustrem upakowanym pastą do zębów, ropą z pryszcy i błyszczkiem do ust należącymi przynajmniej do tuzina różnych dziewcząt, po czym uśmiechnęła się szeroko sama do siebie. Co też strzeliło im do głowy? Ależ to było słabe.

Chwilę później przypomniała sobie Caine'a i jej wnętrzości przemieniły się w watę cukrową. Bobbie położyła okulary na umywalce i zaczęła przyglądać się odbiciu swojej twarzy w lustrze, w którym nie dało się już dostrzec mrocznego korytarza zagłady. Nikt nie mógłby nazwać jej brzydką, ale daleko jej było do urody Grace czy Nai. Z pewnością nie spełniała oczekiwań chłopców pokroju Caine'a. Bobbie doszła do wniosku, że wszystkie dziewczęta świata da się podzielić na dwie kategorie: te, które noszą rajstopy nawet w trzydziestostopniowym upale, i te, które bez oporów prezentują gołe nogi. Sama zaliczała się do pierwszej grupy, podczas gdy dziewczyny takie jak Grace czy Naya należały do tej drugiej. Bogu niech będą dzięki, że nie wygadała się nikomu na temat swojego zadurzenia w Caine, bo elitki chyba ją ukrzyżowały.

Lustro zaczynało pokrywać się parą, więc zdjęła szlafrok. Nie mogła się już doczekać przerwy świątecznej, kiedy możliwe będzie wzięcie

prysznic bez konieczności brodzenia w próbkach DNA dwudziestu innych dziewcząt. Przynajmniej miała gorącą wodę. Ciśnienie też było niczego sobie, więc pozwoliła, aby strumień przez kilka minut biczował jej plecy, a potem umyła włosy. Przynajmniej raz miała całą łazienkę tylko dla siebie, co było rzadko spotykanym luksusem, i chętnie zostałaby tu dłużej, gdyby nie burczało jej w brzuchu.

Zakręciła prysznic, a potem – nie chcąc, żeby mydliny dostały się jej do oczu – po omacku zaczęła szukać pozostawionego na wieszaku ręcznika. Wychyliła rękę zza zasłonki i pomachała nią w obie strony, ale nie była w stanie namierzyć wieszaka, który powinien znajdować się tuż przed kabiną prysznicową.

Jej dłoń otarła się o kogoś – a konkretnie mówiąc, o czyjeś włosy.

Cofnęła rękę. Bobbie była pewna, że jest sama.

– Przepraszam! Nie wiedziałam, że jest tu ktoś jeszcze...

Otarła oczy i ostrożnie odsunęła zapleśniałą zasłonkę. Łazienka była pusta.

Bobbie owinęła ociekające wodą ciało ręcznikiem i zaczęła nasłuchiwać. W pomieszczeniu było gęsto od pary i dało się słyszeć nieprzerwane kapanie z prysznic, ale nikogo tu nie było.

– Hm – mruknęła Bobbie, wychodząc z kabiny na chłodne płytki podłogi. – Dziwne.

Być może jej dłoń tak naprawdę otarła się o ręcznik, a nie o czyjeś włosy?

Gdy skrzypiącemu wentylatorowi udało się usunąć z łazienki nadmiar wilgoci, oczom Bobbie ukazała się powierzchnia lustra. Na zaparowanej tafli ktoś zostawił napis, a z liter ściekały przypominające żyły strumyczki wody.

Bobbie nic z tego nie rozumiała. Złożona z dwóch słów wiadomość brzmiała:

PIĘĆ DNI

## Rozdział 4. Niedziela

Bobbie nie zastanawiała się zbyt długo nad ociekającymi wodą słowami, bo ważniejsze okazało się dla niej burczenie w brzuchu. Zignorowała napis, myśląc, że to pewnie nazwa nowego boysbandu, któremu jakaś napalona fanka zadedykowała powierzchnię lustra. Gdy para zaczęła znikać ze szkła, zdążyła już o nim zapomnieć.

Położona w starej części budynku stołówka była salą o wysokim sklepieniu tworzonym przez wielkie, wygięte w łuk belki łączące się ze sobą w jednym punkcie. Przebywając tam, Bobbie wyobrażała sobie zawsze, że znajduje się wewnątrz arki Noego. Wąskie okna w ołowianych ramach nawet w słoneczne dni wpuszczały do środka niewielką ilość światła, a tego dnia pomieszczenie sprawiało wyjątkowo ponure i przytłaczające wrażenie. Wydawanie posiłków dobiegało właśnie końca, więc stołówka wypełniona była mniej więcej w połowie, a obecność skłonnych do rywalizacji bulimiczek rekompensowała nieobecność cierpiących na przerost ambicji anorektyczek. Bez względu na to, czego miałyby

dotyczyć rywalizacja, szkoła z internatem bez dwóch zdań potrafiła wyzwolić w ambitnych nastoletnich dziewczętach mordercze instynkty.

Gdy Bobbie mijiała Grace i resztę elitek siedzących jak co dzień przy stole nieoficjalnie określanym jako główny stół, dobiegły ją szepty dotyczące jej stroju czy czegoś równie trywialnego. Bobbie wyróciła oczami. Nie wiedziała, co napawa ją większym wstrętem: istnienie w szkole rażącej hierarchii, na którą nauczyciele przymykali oko, czy też to, że wszyscy wydawali się zapominać o fakcie, iż słowo elitka nie istnieje. Bobbie nawet nie chciało się wysilać – i tak nigdy by jej się nie udało zdobyć tytułu najmądrzejszej, najładniejszej czy najszybszej. Była jednak jedną z najlepszych pisarek. Na tym polegał jej talent.

Pomachała do niej Naya.

– Wzięłam ci wszystkiego po trochu.

– Jesteś super.

Jajecznicą z torebki nie wyglądała na jadalną, więc Bobbie zabrała się do plasterka boczku.

– Co dzisiaj porobimy? – zapytała Naya.

– Nie wiem – przyznała Bobbie, wkładając do ust widelec pełen krzepnącej fasolki po bretońsku.

– Miałam zamiar popracować nad tym nowym opowiadaniem, o którym ci mówiłam.

– Nie, to nudne! Pojedźmy do Oxsley! No, zgódź

się, co innego mamy do roboty? – spytała, reagując krytycznie na brak entuzjazmu ze strony Bobbie. – Mamy tu siedzieć i patrzeć, jak farba zasycha na ścianach?

W Piper's Hall nawet farba nudzi się, schnąc – stwierdziła w myśli Bobbie. W weekendy wychowanki szkoły miały za zadanie pracować nad rozwojem osobistym z myślą o wzbogaceniu swoich podań o przejęcie do Cambridge czy Oksfordu. W sobotnie poranki Bobbie chodziła na zajęcia z twórczego pisania, ale niedziele poświęcone były sportom, które niezbyt ją interesowały.

– No dobrze. Możemy zahaczyć o bibliotekę.

Propozycja nie była wcale tak nudna, jak mogłoby się wydawać, bo bibliotekarka odkładała dla niej powieści Susan Hill, a poza tym można tam było za darmo wypożyczać filmy na DVD.

– Ty to wiesz, jak zaszaleć, mała!

– Albo możemy kręcić się przed monopolowym, namawiając facetów na postawienie nam drinka w zamian za usługi seksualne, jak jakieś puszczalskie alkoholiczki. – Głos Bobbie ociekał sarkazmem.

– Bardzo zabawne. Ale nie miałabym nic przeciwko temu, żebyśmy spędziły trochę czasu z chłopakami z zeszłej nocy. Byli fajni, co nie?



Na wspomnienie twarzy Caine'a policzki Bobbie stały się tak gorące, że wiedziała, iż musiały pokryć się rumieńcem głębokiej karmazynowej barwy.

– Tak, wydawali się mili.

Naya wbiła wzrok w jej zaczerwienioną twarz.

– Roberto Rowe, ty mała ladacznico! Czyżby któryś z nich wpadł ci w oko? Który?

Bobbie nie była w stanie skłamać, patrząc przyjaciółce prosto w oczy.

– Nie! Znasz mnie przecież.

– Lalu, musimy coś poradzić na twoje problemy z chłopcami, bo ludzie dojdą do wniosku, że wolisz dziewczęta, co swoją drogą nie byłoby niczym złym. Stoję za tobą murem w kwestii twoich wyborów życiowych. A skoro już mowa o...

W tym momencie do stołówki weszła Sadie Walsh wyglądająca jak blada imitacja swojej niezwykle reprezentatywnej zazwyczaj osoby.

– Sadie nie jest lesbijką.

Bobbie nie miała pojęcia, dlaczego staje w jej obronie.

– Właśnie że jest! Ja tam jej nie osądzam, ale wszyscy mówią, że ma w Nowej Zelandii dziewczynę, którą poznała przez internet!

Bobbie przewróciła oczami.

– No cóż, w takim razie to musi być prawda!

Sadie, pod której oczami dostrzec można było ciemne kręgi, powlokła się do lady, gdzie wydawano posiłki, nałożyła sobie skromnych rozmiarów śniadanie, a następnie ruszyła w ich kierunku krokiem zombi.

– Kiepsko dziś wygląda – szepnęła Naya. – Myślisz, że coś jej dolega?

– Cicho! Idzie tu!

Sadie położyła tacę na stole.

– Mogę z wami usiąść? Nie mam dzisiaj siły na towarzystwo elitek – wyjaśniła znużonym tonem.

– Spoko – odparła Naya.

– Wszystko w porządku, Sadie? Nie wyglądasz najlepiej.

Sadie przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę odgryźć jej głowę, ale wyraźnie brakowało jej do tego energii.

– Ostatnio źle sypiam.

– Czemu?

– Śnią mi się dziwne rzeczy.

– Pamiętasz jakie? Moja mama twierdzi, że każdy sen ma jakieś znaczenie – oznajmiła Naya.

– Tak, ale twoja mama jest scjentolożką, prawda? – Bobbie nie mogła powstrzymać się od złośliwości.

– Dzięki, Bob.

– Nie, nie pamiętam, ale od dwóch nocy budzę

się cała spocona, jakbym miała gorączkę. Może łapie mnie grypa czy coś.

– To musiał być niezły koszmar... albo coś dokładnie odwrotnego. Był w nim ktoś konkretny, Sadie? – Naya wyszczerzyła zęby w sprośnym uśmiechu.

– Ha, ha, bardzo śmieszne. Nie wiem. Do tego z rury w pobliżu naszej sypialni od paru dni kapie woda. Oszaleć można. – Sadie odsunęła od siebie miskę pełną rozmiękłych płatków śniadaniowych. – Nawet nie chce mi się jeść, a ja przecież jestem wiecznie głodna.

– Słuchaj – odezwała się Bobbie, stawiając miskę Sadie na swojej tacy. – Może wrócisz po prostu do łóżka? W końcu jest niedziela.

– Nie mogę. Prowadzę trening hokeja dla dziewczyn do lat szesnastu, matole.

– Nie wyżywaj się na niej – warknęła Naya.

Bobbie uniosła tacę gotowa do odejścia. Pora była zbyt wczesna, aby stać się świadkiem gniewu Nai.

– Idę się zbierać. Przyjdź po mnie, jak będziesz chciała jechać do miasta.

Naya od razu się uspokoiła.

– Idę z tobą.

Wyśmienicie, udało się zapobiec scysji. Gdy zmierzały do wyjścia, Bobbie obejrzała się przez

ramię. Sadie naprawdę była blada i wychudzona, a zmysł pisarski podsunął Bobbie myśl, że dziewczyna sprawiała wrażenie wystraszonej.

\*\*\*

Jednopiętrowy autobus toczył się przez wietrzne odludne wrzosowisko rozciągające się za Piper's Hall. Kolor nieba i szosy stanowił ten sam pełen melancholii odcień szarości, a powietrze przesycone było przypominającą zapach ropy naftowej wonią, która pojawia się po burzy. Unoszące się tego dnia nad wrzosowiskiem opary składały się w równej mierze z mgły co z mżawki.

Za to we wnętrzu autobusu można było piec ziemniaki, a to przez znajdujące się na poziomie stóp grzejniki, które zdawały się raczej odgrywać rolę suszarek do kostek u nóg. Bobbie zastanawiała się, czy z jej wilgotnej budrysówki też unosi się para, skoro wszystkie okna były nią pokryte. Korzystały z Naya z jednego iPoda, którego słuchawki zwisały między nimi niczym kable telefoniczne. W zgodnym milczeniu przez całą drogę do miasta przeskakiwały nudne kawałki oraz wracały do tych ulubionych.

Po przyjeździe do Oxsley udały się prosto do biblioteki, a Naya wmówiła bibliotekarce, że mają osiemnaście lat, dzięki czemu były w stanie wypożyczyć filmy takie jak *Psycho Killer*, *Krzyk*

*mody* oraz *Hatchling 3: The Spawn*. W Oxsley znajdowała się herbaciarnia – i to taka prawdziwa, w której zamiast czekoladowego *frappuccino* podawano earl grey i bułeczki z masłem – nie pozostało im więc nic innego, jak rozkoszować się wolnością.

Gdy schodziły z mokrych schodów prowadzących do biblioteki, Naya zerknęła na telefon.

– Caitlin pisze, że są na cmentarzu. Chcesz tam skoczyć?

– Zdawało mi się, że wyraźnie opisałam ci swoje odczucia w tej kwestii.

Zdaniem Bobbie szwendanie się po cmentarzu było przejawem braku szacunku.

– Tak, wiem, ale Mark tam będzie. Był dosyć przystojny. Spodobały mi się jego ramiona. Były takie... no, męskie.

Oto prawdziwy powód, dla którego dziewczęta z Piper's Hall przyjeżdżały do Oxsley: przelotna szansa na kontakty z chromosomami typu XY.

Bobbie nastawiła uszu. Skoro miał tam być Mark...

– Czy Caitlin jest z Grace?

– Masz chyba na myśli, czy Mark jest z Caine'em?

Minęły pomnik wojenny i ruszyły w kierunku

kościół.

– Wcale nie o to mi chodziło.

Naya obdarzyła ją szerokim uśmiechem.

– Wiesz przecież, że moja *abuelita* mawiała, że powinnam zostać medium...

– Caine jest niczego sobie. – Bobbie poprawiła szalik na szyi. – Ale Caine chodzi z Grace. I to by było na tyle. Nie zamierzam wchodzić im w drogę.

– Stara, przed nimi nie ma żadnej drogi. Doszły mnie słuchy, że Caine chodził z jakąś dziewczyną z Radley, ale mózg mu się zaczął lasować od jej marudzenia, więc ją rzucił. Obecnie jest wolny. To, że podoba się Grace, nic nie znaczy.

W reakcji na tę informację serce Bobbie wykonało jakiś intrygujący podryg.

– Znaczy mniej więcej tyle, że Grace wydrapałaby mi oczy, a potem zrobiła sobie z nich kolczyki.

– Nie powinnaś się bać Grace Brewer-Fay. Ona potrafi tylko gadać.

– Nadziane na włócznie ludzkie głowy przy wejściu do skrzydła Christie nie pozwalają mi w to wierzyć.

Naya zaniósł się cudownie bezwstydnym rechotem.

– No chodź, Bob. Przez godzinę pogapimy się na chłopców. Nasz los jest uwarunkowany

biologicznie, więc po co z nim walczyć?

– Tak jakby Caine w ogóle zdawał sobie sprawę z mojego istnienia. Nawet za milion lat nie zdecydowałby się na chodzenie z kimś takim jak ja.

Naya popatrzyła na nią takim wzrokiem, jakby przed chwilą wgrzyła się w cytrynę.

– Zmuszasz mnie do wygłaszania tekstów w stylu Tyry Banks, Rowe. Jesteś niepowtarzalną piękną perłą!

– A ty gadasz niepowtarzalne głupoty! Ale dobrze, chodźmy tam.

Bobbie ustąpiła, a w zamian Naya kupiła jej w herbaciarni drożdżówkę z lukrem. Niby drobiazg, ale ją ucieszył.

Nadgryziony zębem czasu kościół Świętego Pawła znajdował się przy drodze wylotowej z Oxley. Była to mała pękata budowla z porośniętym mchem spadzistym dachem oraz wieżyczką, której rogi w zastępstwie iglicy zaopatrzone zostały w cztery wrednie wyglądające szpikulce. Zapuszczony, należący do kościoła teren zarośnięty był dziką trawą i chwastami, a tam, gdzie ziemia zaczęła się zapadać, nagrobki odchylały się od pionu jak znużeni pijaczkowie. Chociaż miejsce to wcale nie było opuszczone, takie właśnie sprawiało wrażenie. Panowała tu apokaliptyczna atmosfera, która działała na

Bobbie rozstrajająco. Rozległy cmentarz rozciągał się między Piper's Hall a Oxsley, nadając terminowi „pole martwe” całkiem nowe znaczenie. Bobbie była w stanie dostrzec pierwsze nagrobki z okna własnego pokoju.

Odziana w bluzy z kapturem we wszystkich kolorach tęczy oraz fluorescencyjne adidasów grupka rozwrzeszczanych nastolatków – „młokosów”, jak określał ich kościelny – mocno kontrastowała z otoczeniem. Grace i Caitlin (jej prawa ręka) siedziały na kamiennym grobowcu, majtając nogami. Towarzyszyło im czterech chłopców – dwóch nieznanym oraz Mark i Caine. Gdy przechodziły przez zadaszoną bramę, Bobbie dostrzegła Caine'a, który z dala od reszty grupy ćwiczył akrobacje na małym rowerku z prętami w tylnym kole.

– Hej, hej! – obwieściła ich przybycie Naya.

– Cześć! – zawołała Caitlin i machnęła ręką, żeby podeszły.

Pod grubą warstwą makijażu noszonego przez Caitlin kryła się przemiła dziewczyna, której rodzice zmuszeni byli płacić pełną wysokość czesnego, co było grzecznym sposobem, w jaki szkoła dawała im do zrozumienia, że wyniki egzaminów wstępnych ich córki pozostawiały wiele do życzenia. Dobrze chociaż, że dziewczyna



była śliczna jak disnejowska księżniczka. Olśniewająca uroda oraz to, że miała nadzianych rodziców, gwarantowały jej miejsce w kręgach elitek.

– Siema! To Charlie i Tom... Caine’a i Marka już znacie, prawda? To Naya i Bobbie. Chodzą z nami do szkoły – przedstawiła je Caitlin swoim powabnym głosem.

– Bobbie – powiedział rudowłosy Tom. – To skrót od czegoś?

– Tak. – Bobbie z miejsca zaczęła się nudzić. Najwyraźniej zostały tu zaproszone z myślą o swataniu. Ohyda. – To skrót od Bobbilina.

Za jej plecami Caine parsknął śmiechem i zeskoczył z rowerku.

– Wow. – Tom nie zorientował się, że Bobbie zażartowała. – Ale masz surowych rodziców.

– Tom, ale z ciebie młot, przecież ona cię podpuszcza. – Dołączył do nich Caine. – Chodzi o Robertę?

Bobbie skinęła głową z uśmiechem. Nagle noszone przez nią w sposób „ironiczny” rękawiczki z jednym palcem dyndające z rękawów kurtki straciły swój szyderczy potencjał i zaczęła się obawiać, że przypomina raczej osobę wyprowadzaną na spacer przez prawną opiekunkę.

Grace upiła łyk taniego białego wina kupionego nielegalnie w Oxsley, a potem powiedziała:

– Zresztą Bobbie nie ma rodziców, bo jest dzieckiem z próbówki.

O Boże. Bobbie zapragnęła zapaść się w tej chwili pod ziemię. A jeszcze bardziej chciała skorzystać z wehikułu czasu, który pozwoliłby jej powstrzymać samą siebie przed wyjawieniem Nai tajemnicy swojego pochodzenia, tym samym wymazując z historii ten nieszczęsny wieczór, gdy Naya upiła się malibu i powtórzyła wszystko Grace.

– Jak to? – spytał Mark, starając się nie dopuścić, aby odbijana przez niego piłka opadła na ziemię.

– Grace, nie bądź suką – warknęła Naya.

– Nie ma sprawy. – Bobbie wyprostowała się, ale mimo to w dalszym ciągu sięgała Nai czy Caine’owi zaledwie do ramienia. Już dawno temu zorientowała się, że ludzie wykorzystają każdą szczelinę w pancerzu drugiej osoby, jeśli się im na to pozwoli. – Zostałam poczęta metodą in vitro.

– Co? – zapytał Tom, który najwyraźniej nie był zbyt bystry.

Bobbie odetchnęła głęboko.

– Mój tato to właściwie anonimowy plemnik – kontynuowała. – W myślach nazywam go Spermus.

Lubię sobie też wyobrazić gigantycznego plemnika, który wraca do domu po ciężkim dniu w pracy z melonikiem na głowie i aktówką w ręce.

W tym momencie Naya i Caine ryknęli śmiechem. Caitlin albo zrozumiała żart, albo śmiała się tylko dlatego, żeby nie odstawać od reszty grupy. Nawet milcząca Grace wydawała się pod wrażeniem.

– Dziwna jesteś. Ale zabawna. Podobasz mi się – oznajmił Charlie.

Włosy opadały mu na przypominającą budyń pulchną twarz wesołka.

– Nie ma w tym nic dziwnego. – Caine usiadł i oparł się plecami o nagrobek, a następnie zanurzył dłoń w dużym opakowaniu żelków Haribo. – Wszystkie rodziny są popaprane. Moja mama zostawiła tatę dla mojego wujka, a potem ojciec próbował ich oboje zadźgać nożem.

Bobbie wbrew sobie parsknęła śmiechem. Caine obwieścił te rewelacje tonem, którym większość osób wypowiedziałyby zdanie: „Mam dwie siostry i kota”.

– Serio? – dopytywała.

– Tak. W ten właśnie sposób trafiliśmy do tej dziury. Pochodzę z Croydon.

– Wow – odezwała się Naya. – Ależ porąbani ci nasi rodzice.

– Moi są tak nudni, że nie ma w tym nawet nic zabawnego – stwierdziła Grace.

– Niemożliwe. – Caine przegryzł okrągłego żelka. – Ci normalni są tak naprawdę największymi dziwakami.

Naya zwróciła się ku swojej blond nemezis.

– Grace, zastanawiam się, jakie zboczone sekrety skrywają twoi...

Przerwała jednak, bo z nosa pociekła jej krew.

## Rozdział 5. Zbieg okoliczności

Kilka rzeczy wydarzyło się potem jednocześnie. Caitlin zareagowała, mówiąc „fuj” i wciągając stopy na kamienny grobowiec. W przeciwieństwie do niej Grace rzuciła się do przodu nieporuszona widokiem krwi, żeby udzielić Nai pomocy. Caine zerwał się na równe nogi. Upłynęła sekunda, zanim Bobbie otrząsnęła się i wyciągnęła ręce w kierunku przyjaciółki.

– O Jezu... – zagulgotała Naya.

– Siedź cicho. Przechyl głowę do tyłu i zaciśnij nos.

W obliczu kryzysu Grace radziła sobie zaskakująco dobrze.

– Jesteś pewna, że to dobra metoda?

Bobbie zaczęła grzebać w teczce w poszukiwaniu chusteczek.

Grace spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jej obecności.

– Oczywiście, że tak.

– To nic takiego. – Naya przypadkowo rozmazała grudkowatą krew po policzku. – Jak byłam mała, bez przerwy dostawałam krwotoków z nosa.

Charlie ukradkiem odłączył się od grupy, pobladłszy na widok krwi ciekącej z nozdrzy Nai i skapującej na ścieżkę sporych rozmiarów kroplami, które wkrótce zaczęły łączyć się ze sobą na ziemi. Naya wzięła od Bobbie garść chusteczek higienicznych, przycisnęła je do nosa i wznosiła twarz ku niebu.

Bobbie dostrzegła na swoim szaliku dwie plamki krwi, którą musiała ochlapać ją Naya. Gdy na szarej wełnie znalazła się trzecia kropla, zorientowała się, że pochodzi z jej nosa.

– Co, do...?

Obróciła się i zobaczyła, że Caine również ociera nos. Na jego pełną górną wargę spływała z lewego nozdrza strużka krwi. Bobbie przyłożyła palce do nosa, ale ciepła lepka ciecz zaczęła sączyć się między nimi.

– O, mój Boże. – Twarz Grace wykrzywiła się w grymasie przerażenia. – Wciągaliście coś? Co wzięliście?

– Nic! – krzyknęła Bobbie, unosząc swój i tak już zrujnowany szalik do nosa. Krew zaczęła szybko wsiąkać w wełnę, malując na niej karmazynową ciemną plamę.

– Niech to się już skończy – warknął Caine, ścierając krew grzbietem dłoni. Jego krwotok nie wyglądał na zbyt intensywny.

– To wynik skoku ciśnienia – wyjaśnił Tom. – Wielu ludziom leci krew z nosa, gdy zanosi się na burzę.

Naya odsunęła chusteczki od twarzy i zbadła sytuację. Jej twarz była umazana krwią.

– Chyba już koniec – stwierdziła.

Bobbie dotknęła nosa i pociągnęła nim na próbę. Jej krwotok także się skończył.

– Często miewacie krwotoki z nosa? – zapytała Naya.

– Nigdy – odparła Bobbie. – Nigdy wcześniej nic podobnego mi się nie zdarzyło.

– Mi też nie – dodał Caine. – Tylko raz, gdy dostałem w twarz piłką do kosza.

– Nic wam nie jest? – spytała Caitlin z przerażoną miną, przyciągając kolana do brody i mrużąc oblepione tuszem do rzęs powieki.

– Chyba nie – odpowiedziała Naya. – Rany. Dziwne to było.

Grace zmierzyła ich pełnym podejrzliwości wzrokiem.

– To była najdziwaczniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Nigdy nie słyszałam o krwawieniu synchronicznym.

– Mówię wam, że to przez pogodę.

Mark parsknął śmiechem, a potem zaczął klaskać w zwolnionym tempie.

– Okej, już czaję. Bardzo śmieszne.

– Co? – zapytał Caine, patrząc na kolegę.

– Wkręcacie nas, tak? W związku z zesłą nocą? Stary... naprawdę mnie nabrałeś. Jak to zrobiliście? Wstrzyknęliście sobie sztuczną krew do nosów czy użyliście kapsułek, jak to robią w telewizji?

Do Bobbie w końcu dotarło. Chodziło o tamto wyzwanie.

– Krwawa Mary – powiedziała i krew znowu pociekła jej do ust. Smaku krwi nie da się z niczym pomylić – jest metaliczny i w jakiś pokrętny sposób kojarzy się z bogactwem.

– Aha, rozumiem. – Grace wyduła wargi. – Bardzo nieśmieszne.

Najwyraźniej nie była pod wrażeniem.

Na przystojnej twarzy Caine'a pojawił się grymas niezadowolenia.

– Stary, przysięgam, że to nie żart.

To częściowo starło uśmiech z ust Marka, ale z jego oczu można było wyczytać, że w dalszym ciągu spodziewa się, że ktoś zaraz wrzaśnie: „Dałeś się nabrać!”.

Bobbie musiała przyznać, że to nie mógł być zbieg okoliczności. Gdyby chodziło tylko o nią samą i Naye, zbyt nie przejęła, ale krwotoku doznała cała trójka, która recytowała



imię przed lustrem. Zapiękły ją oczy.

Zbeształa się w myślach. Na tym właśnie polegają zbiegi okoliczności – uznaje się ich istnienie, bo zdarzają się bez przerwy. Kiedyś wpadła na swoją kuzynkę przed Topshopem na Oxford Street, chociaż żadna z nich nie wiedziała, że ta druga będzie tamtego dnia w Londynie. Był to czysty zbieg okoliczności i nie obwiniały o niego demonicznej klątwy.

Jednak na twarzy każdego z nich odmalowywała się identyczna mieszanina strachu, niedowierzania oraz rozmazanej krwi, i nawet Grace sprawiała wrażenie lekko wstrząśniętej.

– To musiał być krwotok solidarności. – Bobbie spróbowała obrócić wszystko w żart przy użyciu beztroskiego tonu głosu.

– Kochana jesteś – uznała Naya, na próżno próbując wyczyścić twarz. Przypominała obecnie krwiożercze zombi z jednej z książek czytanych przez Bobbie. – Nie mogłaś pozwolić, żebym choć na chwilę znalazła się w blasku jupiterów, co?

Naya mrugnęła do niej, również dostrzegając ironię sytuacji.

– Chodźmy. – Bobbie wzięła przyjaciółkę za rękę. – Domyjemy się w herbaciarni.

Gdy zaczęły odchodzić, Bobbie dostrzegła wzrok, jakim patrzył na nie Caine. Miał ponurą

minę i najwyraźniej sam nie potrafił obrócić tego, co zaszło, w żart. Bez słowa śledził je spojrzeniem i Bobbie czuła na sobie jego wzrok, dopóki nie dotarły do końca ścieżki.

\*\*\*

W niedzielne wieczory dziewczęta z Piper's Hall musiały wystroić się na kolację w głównej sali jadalnej, na której pojawiał się też szkolny kapelan. Co tydzień przewodniczył modlitwie, a uczennice albo poruszały bezdźwięcznie ustami, albo po prostu ją ignorowały. Ksiądz siedział w towarzystwie doktor Price, pani Craddock oraz Grace przy głównym stole. Doktor Price uśmiechała się uprzejmie i kiwała głową, gdy głądził na temat kryzysu wiary we współczesnym społeczeństwie.

Bobbie jak zwykle siedziała w towarzystwie Nai oraz kilku przyjemniejszych dziewczyn ze skrzydła Brontë. Miała na sobie sukienkę w kropki w starym stylu oraz swój ulubiony rozpinany sweter – masywną wełnianą bestię należącą kiedyś do jej zmarłego dziadka.

– Naprawdę się wystraszyłam – stwierdziła Naya, wracając pamięcią do wydarzeń na cmentarzu. – Myślałam, że wyciągnę kopyta.

– A co, ujrzałaś przed sobą świetlisty tunel? – Bobbie wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Ale

z ciebie histeryczka. To był zwykły krwotok z nosa.

Bobbie dołała sobie wody z poobijanego metalowego dzbanka. Po tym, jak udało im się przekonać starszą panią prowadzącą herbaciarnię, że nie brały udziału w wojnie gangów (ani nie miały zamiaru pożreć jej mózgu), zmyły z siebie krew i wróciły do Piper's Hall, żeby wypindrzyć się przed kolacją.

– I tak najadłam się strachu. Do tej pory mam mdłości.

Naya obróciła się do Bobbie, zapominając na chwilę o biszkopcie w sosie budyniowym. Spojrzała na nią wielkimi oczami czekoladowej barwy.

– Bobbie, jeśli umrę, dopilnujesz, żeby na mój pogrzeb przyszło mnóstwo osób?

Bobbie zachichotała.

– Pewnie. Od czego są przyjaciółki?

– Najbardziej na świecie boję się, że gdybym umarła, nikt by nawet nie zauważył.

W oczach Nai błysnął autentyczny smutek. Raz na jakiś czas poprzez fanfaronadę dało się dostrzec, jak niska jest tak naprawdę samoocena Nai.

– Przyjdę bez względu na wszystko, okej? I zadbam o to, żeby puszczono wszystkie twoje ulubione piosenki, nawet te żenujące.

– Jesteś nieoceniona.

Uwagę Bobbie przyciągnęła ubrana w najkrótszą spódniczkę, jaką kiedykolwiek widziała, Kellie Huang zmierzająca w kierunku głównego stołu. Dopóki siedzące tam osoby nie skończyły posiłku, przeszkadzanie im było nie do pomyślenia. Co do spódniczki, jej długość była nie do pomyślenia w jakiegokolwiek sytuacji.

– Co jest nie tak z Kellie? – spytała Naya.

– Cicho, podsłuchuję. Pewnie zmarła w tyłek.

Naya zaczęła chichotać, a Bobbie nastawiła ucha. Kellie zwróciła się jednocześnie do pani Craddock i doktor Price.

– ...chyba jest naprawdę chora.

– A co jej dolega? – zapytała pani Craddock.

Bobbie domyśliła się, że mowa o Sadie, która dzieliła z Kellie pokój.

– Nie wiem. Trochę zaczęła świrować.

– „Zaczęła świrować”? – Doktor Price uśmiechnęła się półgębkiem. – Możesz wyrażać się jaśniej?

Bobbie już przy śniadaniu widziała, że Sadie nie czuje się dobrze. Kellie mówiła dalej:

– No, nie wiem. Boi się wychodzić z pokoju.

Doktor Price spojrzała na wychowawczynię internatu.

– Zajrzę do niej po obiedzie – powiedziała pani Craddock.

Bobbie doszła do wniosku, że gdy się ma umysł pisarki, zaczyna się dostrzegać regularności i związki pomiędzy nieciekawymi na pozór faktami. Sadie źle się czuła, im pociekła krew z nosów. Zeszłej nocy wszyscy znajdowali się o północy w łazience. Nagle jej żołądek skurczył się do rozmiarów rodzyнки i nie była w stanie przełknąć deseru.

Coraz więcej zbiegów okoliczności. Gdy nadchodzi gołoledź, ludzie zaczynają się wywracać. To jednak nie znaczy, że lód jest zły sam w sobie. Ich kiepskie samopoczucie tłumaczyło pewnie to, że zamiast spać, szwendali się wczoraj po nocy. Bobbie wyklinała swoją nadpobudliwą wyobraźnię za podsuniecie wyjaśnienia jako nawiedzonego lustra zamiast czegoś w pełni logicznego. Zawsze jest jakieś logiczne wytłumaczenie.

\*\*\*

Po kolacji Bobbie przebrała się w piżamę i wyciągnęła notatnik spod łóżka. Mama przywiozła jej notes oprawiony w wielbłądziej barwy zamsz z Norwegii, gdzie kręcono jeden z odcinków serialu BBC z jej udziałem. Wystarczyło, że Bobbie musnęła palcami okładkę, żeby nabrać ochoty na pisanie.

Naya poszła zobaczyć się z Sadie, więc Bobbie miała pokój tylko dla siebie. Najlepiej jej się pisało

przy akompaniamencie melancholijnych kompozycji Danny'ego Elfmana, których właśnie słuchała. Ponure, pełne dramatyizmu suity przypominały nastrojem jej prozę.

„Odczuwane przeze mnie wcześniej ciepłe, gąbczaste zadowolenie zastąpiła pustka. Otchłań. Właśnie tak – próżnia przypominająca czarną dziurę gdzieś w najzimniejszych zakątkach Kosmosu – napisała. – Zupełnie jakby pewnej nocy, gdy spałam, czyjaś niewidzialna ręka wyciągnęła z mojego wnętrza zatyczkę, sprawiając, że wyciekła ze mnie cała radość, a na jej miejscu pojawiło się uczucie pustki, która miała mi towarzyszyć już zawsze”.

Bobbie przygryzła długopis. Zawsze zaczynała pisać odręcznie, a dopiero potem przenosiła na komputer fragmenty, z których była zadowolona. Kiedyś na forum pisarskim w internecie zamieściła jedno ze swoich opowiadań i przeczytało je aż sześć tysięcy osób. Gdy tylko ukończy Piper's Hall, gdzie zmuszona była pisać zbyt wiele bezużytecznych wypracowań, rozpocznie prace nad powieścią. Jedyne problem polegał na tym, że jej notatnik zawierał tyle pomysłów, że nigdy nie udałoby się jej ich wszystkich przekształcić w książki.

Do pokoju weszła Naya – ze spodenek od

piżamy wyłaniały się jej zgrabne, pokryte oliwkową skórą nogi. Długie czarne włosy związała na czubku głowy w koczek.

– Co robisz? – spytała Naya.

– Piszę...

– To o tym mi opowiadałaś?

– Tak, to to o samobójstwie.

– Dziewczyno, zostaniesz drugą Sylvią Plath.

Bobbie się zaśmiała.

– Taki właśnie mam zamiar. Co u Sadie?

Włożyła długopis do notatnika, który następnie zamknęła. Wolałaby skończyć niż pokazać komuś swój tekst na etapie szkicu. Co więcej, wścibstwo było w ich szkole na porządku dziennym.

– Tak między nami dziewczynami to wygląda mi to na najgorszy przypadek napięcia przedmiesiączkowego, z jakim się kiedykolwiek spotkałam. Ona tylko szlocha i powtarza, że chce do domu, i myślę, że potrzebny jej po prostu termofor i końska dawka nurofenu.

Bobbie zsunęła się z łóżka.

– Twoje zasoby współczucia w końcu się wyczerpały, co? Idę umyć zęby.

Bobbie chwyciła leżącą na komodzie kosmetyczkę i wyszła z pokoju, stąpając bosymi stopami po lodowatych płytkach na podłodze.

Korytarz opustoszał. Pani Craddock zdążyła już

wyłączyć lampy, więc jedynym źródłem światła był nikły blask docierający z niektórych sypialni. W niedzielę po kolacji dziewczęta udawały się do swoich pokojów. W pośpiechu odrabiały ostatnie partie pracy domowej, a potem internat wypełniał się marazmem związanym z nieuchronnym nadejściem niedzielnej nocy poprzedzającej poniedziałkowy poranek. Gdy Bobbie szła korytarzem, jej ciepłe stopy lgnęły do chłodnej podłogi, czemu towarzyszył dźwięk zasysania powietrza.

Łazienka była pusta, ale w dalszym ciągu unosił się w niej świeży miętowy zapach pasty do zębów oraz perfumowana woń żelu pod prysznic. Pomieszczenie nigdy nie mogło do końca wyschnąć, więc i teraz przesycone było wilgocią. Ktoś musiał przed chwilą stąd wyjść. Z głowicy prysznicza nieprzerwanie kapła wodą, odbijając się echem od ścianek kabiny. Bobbie nie mogła znieść myśli o takim marnotrawstwie, więc wyciągnęła rękę i mocniej dokręciła kurek. Zmarszczyła brwi. Nadal słyszała kapanie. Przeciek musiał w takim razie występować gdzieś w rurach, poza jej zasięgiem.

Kap, kap, kap.

Bobbie szorowała zęby przez zalecany okres trzech minut, a następnie napełniła umywalkę



wodą, żeby umyć twarz.

Kap, kap, kap. Boże, jakie to irytujące.

Zdjęła okulary i położyła je obok kosmetyczki. Kilka godzin wcześniej kupiła w aptece w Oxsley jakąś nową piankę do magicznego usuwania wyprysków na skórze, którą miała zamiar teraz wypróbować. W końcu na opakowaniu obiecywali „widoczne rezultaty już po pierwszym zastosowaniu”. Kto wie, może z miejsca zmieni się w supermodelkę. Mocno zacisnęła powieki, po czym – zgodnie z instrukcją – zaczęła szorować strefę T swojej twarzy, a potem spłukała skórę. Po omacku odszukała ręcznik. Osuszyła twarz, poklepując ją, i upewniła się, że usunęła z powiek mydliny.

Sięgnęła po okulary, ale nie było ich na miejscu.

– Gdzie są...

Drzwi do łazienki zamknęły się z trzaskiem. Bobbie podskoczyła, strącając kosmetyczkę na podłogę. Odżywka do włosów potoczyła się pod umywalkę.

– Co jest?

Jeszcze przed chwilą tu leżały – dokładnie pamiętała, że kładła je obok kosmetyczki. Sprawdziła na podłodze, ale jej okularów nie było wśród kosmetyków.

Przestąpiła ponad rozsypanymi opakowaniami, otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Bez okularów jej wzrok był żałośnie słaby, jakby ktoś wysmarował jej pole widzenia tłuszczem. Zmrużywszy oczy, dostrzegła na końcu korytarza postać zmierzającą ku schodom.

– Ej! Zabrałaś mi okulary?! – zawołała za osobą, którą wzięła za inną uczennicę.

Zamiast się zatrzymać, dziewczyna weszła jeszcze głębiej w cień. Głowę miała spuszczoną, a plecy przygarbione. Prawdę mówiąc, wyglądała, jakby spacerowała we śnie.

– Przepraszam! To moje okulary!

Jeśli to miał być jakiś kiepski żart, to Bobbie nie miała dla niego cierpliwości. Była seniorką i to jej zadaniem było nękanie pierwszaków, a nie odwrotnie.

– Wracaj tu. To wcale nie jest śmieszne.

Bobbie ruszyła korytarzem w pogoni za dziewczyną, plaskając stopami o lodowatą posadzkę.

Wyglądało na to, że dziewczyna zmierza w kierunku skrzydła Austen znajdującego się na końcu korytarza. Bobbie zatrzymała się i zmarszczyła brwi. Dziewczyna skręciła nagle i zaczęła schodzić ze schodów. Być może chodziło tu o coś więcej niż tylko rywalizację pomiędzy

skrzydłami Austen i Brontë. Bez względu na wszystko Bobbie miała zamiar odzyskać okulary. Bez nich otoczenie zmieniało się w dezorientujące smugi, zupełnie jakby szkolne korytarze wypełniła gęsta mgła. Ruszyła za dziewczyną.

Dotarła do schodów w momencie, gdy ciemne włosy dziewczyny – w tym świetle niemalże hebanowej barwy – zniknęły za zakrętem na dole.

– Daj spokój! – zawołała Bobbie, a potem pobiegła za nią, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Znajdowała się w strefie relaksu: przestrzeni wypoczynkowej, w której stało kilka kanap, telewizor oraz stół do ping-ponga. Po dziewczynie nie pozostał ślad, a na zabawę w chowanego było już zdecydowanie za późno. Co więcej, w sytuacji, gdy dookoła brak było kłębiących się niczym mrówki uczennic, a światła zostały pogaszone, szkoła wydawała się obcym miejscem. Długie dziwaczne cienie rozciągające się po podłodze wywoływały wrażenie, jakby ściany pochylały się ku niej. Bobbie zatopiła paznokcie we wnętrzu dłoni. Z trudem przełknęła ślinę.

Kolejne schody prowadziły do recepcji i głównego wejścia oraz rozciągających się na lewo i prawo korytarzy. W powietrzu unosił się zapach kapusty, którą jedli na kolację. Gdzieś z góry

dobiegł ją odległy śmiech – dziewczęta ze skrzydła Brontë szykowały się do snu.

– Halo?

Bobbie przeszła przez strefę relaksu w kierunku następnych schodów. Jak można się było spodziewać, jej oczom ukazała się sylwetka dziewczyny rysująca się na tle bladego światła księżyca zalewającego główne wejście. Stała odwrócona do Bobbie plecami, z twarzą skierowaną do drzwi. Dziwne to było. Bobbie zatrzymała się po pokonaniu jednego stopnia. Dziewczyna była cała mokra... Woda ściekała z jej ciała na płytki podłogi, a wokół stóp powstała ciemna oleista kałuża. Dziewczyna była całkowicie ubrana, ale kapiała z niej woda.

– Ej! – zawołała Bobbie. – Nic ci nie jest?

Na piętrze powyżej rozległ się jakiś łomot, a po nim pisk. Bobbie obróciła głowę tak szybko, że prawie stoczyła się ze schodów. Chwyciła się balustrady spoconymi dłońmi.

– Oddawaj to, pindo! – zaskrzeczała jakaś dziewczyna, a potem rozległ się piskliwy śmiech.

Gdy Bobbie obróciła się w kierunku schodów, dziwacznej dziewczyny nie było już przy drzwiach. Bobbie zmarszczyła brwi. Jakim cudem mogła przemieścić się tak szybko? Ostrożnie pokonała resztę stopni dzielących ją od holu. Robiło się coraz

dziwniej. Na podłodze nie było ani śladu wilgoci. Bobbie pochyliła się i przejechała po niej opuszką palca: była zakurzona i sucha jak pieprz. Ale przecież na własne oczy widziała, jak z dziewczyny lała się woda prosto na glazurę. Czy nie? Może nadszedł czas na wizytę u okulisty.

Bobbie poczuła w brzuchu ucisk podobny do wrażenia towarzyszącego jeździe opadającą zbyt szybko windą. W holu panował straszny ziąb – było tu o wiele chłodniej niż na schodach. Przeszły ją ciarki i nagle zapragnęła stąd czmychnąć. Okularów mogła poszukać jutro rano...

Bobbie wzdrygnęła się wystraszona. Dziewczyna stała bez słowa na końcu ciągnącego się za recepcją korytarza – nieopodal ambulatorium i gabinetu dyrektorki. Czekąca. Bobbie na próżno starała się skupić wzrok – wszystko, co znajdowało się dalej niż na wyciągnięcie ręki, rozmazywało się jej w oczach.

– Okej, ha, ha, pośmiałyśmy się. Mogę już odzyskać okulary?

Sylwetkę dziewczyny okalało wysokie okno łukowe znajdujące się na końcu korytarza. Stała nieruchomo niczym posąg, co wydawało się nienaturalne. Bobbie udało się dojrzeć jej długie proste włosy oraz chude ciało. Przynajmniej teraz jej nie ucieknie.

– Słuchaj, nie zakabluję na ciebie, tylko oddaj mi okulary.

Błada twarz dziewczyny stopniowo nabierała ostrości. Bobbie zdała sobie sprawę, że coś z nią było nie tak. Pozycja, w której stała, wydała jej się dziwna. Czyżby była ranna? Może potrzebna jej pomoc.

– Nie ruszaj się, okej?

Bobbie zbliżyła się do otulonej mrokiem dziewczyny, badając powietrze przed sobą wyciągniętymi rękoma.

## Rozdział 6. Stare dzieje

Drzwi gabinetu dyrektorki otworzyły się tuż przed nosem Bobbie. Korytarz zalało światło, a z jej ust wydobył się okrzyk – było to trochę nie w jej stylu, ale wstrzymywała oddech, gdy uchyliły się drzwi, no i...

Dyrektorka przyłożyła dłoń do piersi i chwilę zajęło jej dojście do siebie.

– Boże święty! Chcesz mnie chyba przyprawić o zawał! Roberta, zgadza się?

Doktor Price wyszła z gabinetu z torbą na laptop przewieszoną przez ramię.

– Co ty tu właściwie robisz? Coś nie tak, moja droga?

– Ktoś mi zabrał okulary...

Bobbie cofnęła się o krok i wskazała palcem w kierunku łukowego okna na końcu korytarza.

Tyle że nikogo tam nie było. Tylko wygodny fotel dla gości oraz kolczasta roślina w donicy – ani śladu po dziwacznej milczącej dziewczynie.

– Oj, Roberto, Roberto, tylko nie rób sobie wyrzutów.

– Dlaczego?

– Okulary masz na głowie, moja droga. Samej

często mi się to zdarza. Nie ma się czym martwić – dodała kobieta z lekkim uśmiechem – to tylko oznaka szaleństwa.

Bobbie pomacała dłonią włosy. Faktycznie, zatknięte za uszy okulary tkwiły na czubku jej głowy. Niemożliwe... na pewno położyła je na umywalce. Nie była przecież jakimś roztrzepanym półgłówkiem.

– Ale...

Doktor Price obdarzyła ją uśmiechem. Nawet w takiej chwili od dyrektorki bił pewien chłód.

– Nie przejmuj się. Nikomu nie pisnę ani słówka, jeśli i ty mnie nie wydasz. A teraz jazda do łóżka, młoda damo, jutro macie lekcje.

– Dobrze – odparła Bobbie.

Wzbierała w niej frustracja, ale nie zamierzała wdawać się w sprzeczkę z dyrektorką szkoły. Co niby miałyby zrobić? Tupnąć stopą i upierać się, że jakaś durna juniorka zabrała jej okulary? A potem jakimś cudem umieściła je na jej głowie?

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy. A teraz sio.

\*\*\*

Bobbie pobiegła do swojego pokoju, nie chcąc spędzić ani jednej zbędnej sekundy w pełnym przeciągów korytarzu. Przez całą drogę miała wrażenie, że śledzą ją czyjeś oczy. Zamknęła za



sobą drzwi, po czym wskoczyła na łóżko Nai.

– Naya, dzieje się coś megadziwnego.

Na podłodze obok łóżka leżał magazyn „Heat”, a jej przyjaciółka już prawie zasypiała przy zapalanej na nocnym stoliku lampce.

– Co?

– To zabrzmiało jak jakieś wariactwo, ale przed chwilą widziałam Krwawą Mary.

– Oj, weź...

Naya przetoczyła się na brzuch i zatopiła twarz w poduszce.

– Naprawdę. Ktoś zabrał mi okulary z łazienki.

Naya uniosła głowę.

– A, w takim razie to na pewno Krwawa Mary. Dzwon po pogromców duchów.

– Przestań – jęknęła Bobbie. – Poszłam za nią, bo myślałam, że to jakaś juniorka, ale było z nią coś nie tak. Porządnie się wystraszyłam.

– Wiadomo. W tej szkole po zmroku wszystko straszy. Idź spać. Mogę ci obiecać, że rano poczujesz się jak kompletna kretynka.

Do Bobbie dotarło coś jeszcze.

– Naya, to twoja sprawka?

– Co?

– Zanim wykonaliśmy tę sztuczkę z lustrem, mówiłaś, że chcesz napędzić Grace stracha... To jakiś żart?

Przyjaciółka Bobbie podparła się na łokciach.

– Dziewczyno, przysięgam na torebki Louis Vuitton mojej mamy, które mam nadzieję kiedyś odziedziczyć, że nie miałam z tym nic wspólnego. Nikt nie miał z tym nic wspólnego, sama się podpuszczasz. Idź spać.

Głowa Nai opadła na poduszkę.

Bobbie zdała sobie sprawę, że o tej porze nie uda jej się odbyć z Nayą sensownej rozmowy oraz że przyjaciółka ma rację. Rano spojrzy na wszystko w innym świetle. Rozejrzała się po pokoju, przesuwając wzrokiem po ozdobach, którymi go wspólnie wypełniły: puchatych narzutach, oprawionych w ramki zdjęciach oraz plakatach z Hello Kitty, Johnem Greenem oraz Satanville. Czuła się tu bezpiecznie.

– Możemy nie gasić światła?

– Wszystko mi jedno, tylko przestań gadać.

Bobbie nie pamiętała później, w którym momencie zasnęła. Przez jakiś czas czytała pisane przez siebie opowiadanie przy akompaniamencie pochrapywania Nai, ale w końcu musiała przysnąć. Nie mogła sobie nawet przypomnieć chwili, w której zamknęła powieki, wiedziała tylko, że przez bardzo długi czas wpatrywała się w centymetrowej szerokości szparę pod drzwiami, wypatrując stóp mijających ich pokój.

– Mary!

Bobbie znajdowała się na zajęciach z muzyki w sali, której wysokie do sufitu okna wykuszowe wychodziły na boisko do hokeja. Tyle że z jakiegoś powodu wszystko było inne niż w rzeczywistości. Po pierwsze, mimo że był listopad, na dworze było ciepło i słonecznie, a do klasy wnikał zapach świeżo skoszonej trawy. Meble też zostały inaczej rozmieszczone – statywy na nuty oraz instrumenty zostały gdzieś schowane, a zamiast nich ustawiono rzędy jednoosobowych krzeseł z pulpitem w starym stylu. Bobbie widziała je wcześniej tylko podczas egzaminów. Miały staromodne podnoszone blaty skrywające przegródkę na książki i przybory.

Dziwne to było. W klasie unosiła się letnia mgiełka, jakby Bobbie patrzyła na świat przez upačkane wazeliną okulary. Wokół niej uwijało się kilka dziewcząt rozdających zeszyty ćwiczeń, ale poruszały się w zwolnionym tempie niczym astronautki spacerujące po Księżycu.

– Mary! – Ponownie dobiegł ją czyjś drżący głos.

Bobbie obejrzała się przez ramię i zdała sobie sprawę, że siedzi w ostatnim rzędzie. Włosy miała związane w schludny warkocz, czego nie robiła od bardzo dawna.

– Mary Worthington, czy ty mnie w ogóle

słuchasz?

Bobbie nie rozpoznała nauczycielki. Kobieta ubrana była w rozpinany sweter i spódnicę, a na nogach miała grube wełniane rajstopy opadające na niemodne czółenka. Bobbie chwilę zajęło uzmysłowienie sobie, że gniewny wzrok nauczycielki wymierzony jest właśnie w nią.

– Ja?

– Czyżby była tu jeszcze inna Mary Worthington, z której obecności nie zdaję sobie sprawy?

Obserwujące Bobbie dziewczęta zachichotały. Nie знаła żadnej z nich. Były schludnie ubrane, białe i wszystkie miały na sobie mundurki Piper's Hall, jednak ich krój różnił się od tego, który znała. Spódniczki były dłuższe, a białe skarpety zakrywały większą część łydki.

– Czy raczysz w końcu udzielić odpowiedzi na moje pytanie?

Bobbie poczuła, że policzki zaczynają jej płonąć.

– Ja... nie znam jej, proszę pani.

– Oczywiście, że nie, przecież prawie już spałaś. Panno Worthington, czy zdaje sobie pani sprawę ze swojego szczęścia? Dziewczyna taka jak pani w szkole takiej jak ta?

Słowo „szczęście” zabolowało ją niczym

wymierzony w twarz policzek.

Zabrzączał dzwonek – ten sam, który sygnalizował początek i koniec lekcji w Piper’s Hall znanej Bobbie. Dziewczęta zaczęły zbierać swoje rzeczy.

– Tylko nie wybiegajcie stąd wszystkie naraz, jakby się paliło – poprosiła nauczycielka.

Uczennice patrzyły na Bobbie spođe łba z ledwo skrywaną pogardą i omijały ją szerokim łukiem, gdy wychodziły z klasy. Oszołomiona podreptała za nimi. To był sen, ale jakiś taki inny, kruchy, jakby w każdej chwili mogła się z niego przebudzić. Sen ulepiony z cukru pudru.

Korytarz wyglądał prawie tak jak obecnie, ale Bobbie wyczuwała, że akcja snu rozgrywa się w przeszłości – wskazywało na to ubranie nauczycielki, brak gazetek ściennych oraz czarna tablica zamiast białej interaktywnej. Na każdym kroku dało się dostrzec subtelne różnice.

Bobbie snuła się bez celu, czując się zagubiona we własnej szkole. Była obiektem niechętnych spojrzeń i konspiracyjnych szeptów. W którymś momencie wydawało się jej, że ktoś nazwał ją „potworną Mary”.

To był jeden z tych snów. Po części brała w nim udział, a po części przyglądała się wszystkiemu z boku. Nie była sobą. Nie czuła się jak Bobbie

Rowe, tylko ktoś smutniejszy, kogo nie czekało w życiu nic radosnego. Miała wrażenie, że wypełnia ją atramentowa beznadziejna czerni, o której do tej pory pisała jedynie w swoich opowiadaniach. Chcąc uwolnić się choć na chwilę od towarzystwa pozostałych dziewcząt, Bobbie skryła się w najbliższej toalecie. Miała coś do załatwienia.

Położona na parterze łazienka nie różniła się prawie wcale od tego, jak wyglądała obecnie – rury pomalowano na sterylną jadeitową zieleń, aby pasowały do akwamarynowej glazury. Bobbie podeszła do najbliższego lustra.

Od razu się zbudziła.

Za oknem już świtało, a zasłony z trudem tłumili blask budzącego się dnia. Bobbie tego nie poczuła, ale w którymś momencie nocy Naya położyła się obok niej. Widocznie musiała wystraszyć ją ich rozmowa albo miała zły sen – Naya często wślizgiwała się Bobbie do łóżka, gdy przyśniło jej coś nieprzyjemnego. Bobbie przytuliła się do niej, żeby się ogrzać i poczuć bezpieczniej. Tej nocy to ją męczyły koszmary. Bliskość Nai pomogła jej się trochę uspokoić.

Bobbie bała się zamknąć oczy. Nie pamiętała, co dokładnie widziała w lustrze, ale była pewna, że było to coś okropnego.

Dzień drugi

## Rozdział 7. Zaginicie

Podźwignięcie się z łóżka następnego ranka wymagało od Bobbie nadludzkiego wysiłku. Jej sen był tak płytki i kruchy, że z trudem można go było uznać za formę wypoczynku. Jednak wraz z pojawieniem się światła dziennego zamykaniu powiek przestało towarzyszyć uczucie zagrożenia i Bobbie trzykrotnie przyciskała guzik drzemki na budziku.

Naya nie leżała już koło niej, a drugie łóżko było puste, więc Bobbie doszła do wniosku, że przyjaciółka udała się pod prysznic, żeby uniknąć kolejek. Śniadanie podawano o siódmej, a lekcje zaczynały się dopiero o dziewiątej, więc mogła wybrać, czy weźmie prysznic i ubierze się przed czy po posiłku. Bobbie zwlokła się w końcu z łóżka za dziesięć ósma, czyli najpóźniej, jak się dało, żeby nie spóźnić się na śniadanie. Poszła do łazienki, zabrawszy ze sobą parę legginsów, należącą do Nai bluzę z kapturem drużyny Yankees oraz klapki.

Już po chwili zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Dziewczęta kręciły się po korytarzu i między pokojami jak zaaferowane czymś pszczoły, a powinny przecież jeść śniadanie. W powietrzu



wyczuwało się napięcie potęgowane przez gwar nerwowych rozmów. Z jednego z pokojów mieszczących się w skrzydle Brontë wyłoniła się Caitlin i ruszyła w stronę schodów.

– Caitlin, co jest grane?

– O Boże, nie słyszałaś? Z Sadie jest coś nie tak. Nikomu nawet nie wolno się zbliżać do skrzydła Christie. Chodzą słuchy, że... umarła.

Podłoga zaczęła wirować Bobbie pod stopami, dopóki nie nakazała jej w myślach się zatrzymać – plotkarski młyn musiał pracować na pełnych obrotach. Złapała się poręczy schodów, żeby odzyskać równowagę.

– Co takiego? Chyba żartujesz.

– Przysięgam. Mam zamiar odszukać Grace. Na pewno wie, co się tu dzieje.

Bobbie natychmiast zaczęła schodzić ze schodów. Wiedziała, jak szybko roznosiły się plotki. W zeszłym roku Maisie Spence-Guillame zdradziła jednej jedynej osobie, że przespała się z panem Grangerem, względnie przystojnym nauczycielem matematyki, i po dwóch godzinach pojawiła się policja. W wyznaniu owym nie było za grosz prawdy, ale historia pokazywała dobitnie, że w szkole, gdzie nawet ściany miały uszy, lepiej było trzymać język za zębami.

Naya tkwiła na posterunku w strefie relaksu,

która odgrywała rolę jednego z węzłów komunikacyjnych. Wokół niej tłoczyły się juniorki, które rozstały się, żeby przepuścić Bobbie.

– Naya, co się tu dzieje?

– O, jesteś. Nie mamy pojęcia, nikt nam niczego nie mówi. Wiadomo tylko tyle, że coś dolega Sadie.

Bobbie wydała z siebie donośne westchnienie ulgi.

– Uff, dzięki Bogu. Caitlin mówiła, że ona nie żyje.

– To możliwe – stwierdziła Rose Clarkson z twarzy przypominająca fretkę. – Nikt nie ma wstępu do jej pokoju. Są tam teraz doktor Price i pani Craddock.

– Zastanów się. – Naya spojrzała na nią spode łba. – Nie wydaje ci się, że gdyby na górze znajdowała się martwa dziewczyna, do tej pory pojawiłyby się tu już karetka i radiowóz?

– Niekoniecznie – zaskomlała Rose.

Umęczona twarz pani Craddock wychyliła się sponad poręczy górującej nad strefą relaksu.

– Dziewczęta! Doktor Price prosi, abyście stawily się za kwadrans w auli głównej ubrane w mundurki. Bez marudzenia i bez wyjątków.

Grupka dziewczyn zgromadzonych wokół stołu do ping-ponga w okamgnieniu zasypała wychowawczynię internatu gradem pytań.

– Zróbcie po prostu, o co się was prosi! Jazda! – zawołała pani Craddock.

Naya wydeła usta.

– Nie mogą kazać nam iść na lekcje, jak gdyby nigdy nic. Jeśli Sadie naprawdę umarła, to należy nam się przynajmniej parę dni wolnego, co nie?

Bobbie uniosła brew.

– Prawdziwy z ciebie wzór miłosierdzia. – Jej apetyt na śniadanie zniknął. – Chodź, zajmiemy miejsca w pierwszym rzędzie.

\*\*\*

Niestety wszystkim zależało na miejscach w pierwszym rzędzie. Bobbie i Naya ubrane w szare mundurki z bordową lamówką musiały zadowolić się trzecim rzędem. Bobbie serce podeszło do gardła i nie chciało wrócić na swoje miejsce. Chodziło o coś więcej niż wścibstwo czy czystą ciekawość – koniecznie musiała dowiedzieć się, co przydarzyło się Sadie. Nie była w stanie bez końca ignorować zbiegów okoliczności.

Od wyłożonych dębową boazerią ścian auli głównej odbijały się echa plotek i spekulacji. Z portretów w grubych ramach z naganą w oczach spoglądały na wychowanki szkoły jej poprzednie dyrektorki. Do najpopularniejszych domysłów należały: zapalenie opon mózgowych, ciąża oraz samobójstwo, ale największe wrażenie i tak zrobiło

na Bobbie zdanie: „Pewnie wstrzyknęła sobie heroinę, którą kupiła od jakiegoś lumpa w Oxsley”. Nawet ono jednak nie wywołało u niej uśmiechu. Zaciskała mocno szczęki i przygryzała wewnętrzną stronę policzka, dopóki do sali nie wparowała doktor Price – jak zawsze opanowana i z chłodnym błyskiem w oku.

– Spokój, i to już.

Kobieta nie miała zamiaru brać jeńców. Dziewczęta umilkły. Dyrektorka zajęła miejsce na podium, po czym przebiegła wzrokiem po morzu żadnych plotek twarzy.

– Sytuacja jest poważna. Sadie Walsh zniknęła ze skrzydła Christie. Nikt nie widział jej od początku ciszy nocnej zeszłego wieczoru.

W tłumie zawrzało. Naya szepnęła coś Bobbie do ucha, ale ta kazała jej siedzieć cicho.

– Spokój! – kontynuowała doktor Price, przyglądając włosy. – Nie obchodzi mnie, co kto zrobił czy powiedział i czy było to zgodne z prawem, czy nie. Liczy się dla mnie tylko, żebyśmy odnaleźli Sadie całą i zdrową. Jeśli którakolwiek z was wie cokolwiek o miejscu jej pobytu, muszę natychmiast się o tym dowiedzieć.

Przez tłum przeszła kolejna fala szmeru, gdy każda z dziewczyn wypytywała swoją sąsiadkę o informacje na ten temat. Bobbie z trudem

oddychała. Nie były z Sadie najlepszymi przyjaciółkami, ale i tak przerażała ją myśl o tym, że coś mogło jej się stać. Męczyło ją jednak coś jeszcze – niejasne wrażenie, że o czymś zapomniała.

– Drogie panie, jeśli nie przestaniecie trajkotać, stracę do was cierpliwość. Nie mam ochoty wysłuchiwać plotek, wymysłów czy spekulacji. Jest dla mnie jasne, że Sadie się stąd wymknęła i nie chce mi się wierzyć, że żadnej z was nie zdradziła, gdzie się wybiera.

Nikt nie wstał, żeby pewnym siebie głosem oznajmić, że Sadie uciekła do swojej nowozelandzkiej kochanki z internetu, a w pomieszczeniu zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Nie musicie niczego mówić w tej chwili, ale jeśli faktycznie znacie jakieś szczegóły związane z Sadie, przyjdźcie się ze mną zobaczyć. Nie muszę chyba dodawać, że z uwagi na zaistniałą sytuację, będę dziś niezwykle zajęta, a do tego niedługo pojawi się tu policja. Oznacza to, że każda z was proszona jest o pojawianie się we właściwym miejscu o właściwej porze. Na pierwszą lekcję pójdziecie wszystkie razem, rozumiano?

Dyrektorce odpowiedziało chóralne i całkowicie pozbawione entuzjazmu: „Tak, proszę pani”.

Bobbie szła do klasy niczym na autopilocie. Jak na ironię, pierwszą poniedziałkową lekcją były podwójnej długości zajęcia z literatury angielskiej, a ona – co było do niej niepodobne – nie przeczytała zadanej lektury. Gdy tylko weszła do środka, dobiegły ją głosy Grace i Caitlin, które nawet w sytuacji kryzysowej cechowało tak pozbawione wysiłku piękno, że ich spódniczki i zakłady przypominały raczej modne kreacje niż elementy szkolnych mundurków. Grace z typową dla siebie dumą prezentowała przypiętą do ubrania odznakę przewodniczącej szkoły, jakby była szeryfem jakiegoś miasteczka.

– Boże, ta to dopiero lubi zwracać na siebie uwagę – zrzędziła Grace. – Mogę się założyć, o co tylko chcesz, że zaszyła się w Oxsley z jakąś lesbą z Radley o twarzy Justina Biebera.

Bobbie zignorowała je i zajęła swoje miejsce. Tematem lekcji była *Zagłada domu Usherów* Poego, co wprawiałoby ją w podekscytowanie, gdyby tylko była w stanie się skupić. Nie mogła pozbyć się uczucia niepokoju. Jej przepełnione energią palce bębniły ołówkiem o krawędź zeszytu. W głowie kołatały jej się strzępki myśli, dźwięków i obrazów, ale żaden z nich nie miał sensu. Krwotoki z nosa, sen, dziewczyna w korytarzu... jaki to mogło mieć związek z Sadie? Nagle na powierzchnię jej

świadomości wypłynęło kolejne szczątkowe wspomnienie, coś, o czym kompletnie zapomniała.

Ołówek wysunął się jej spomiędzy palców i stuknął o podłogę.

Bobbie podniosła się gwałtownie, prawie przewracając krzesło. Metalowe nogi nieprzyjemnie zazgrzytały o podłogę. Zgarnęła książki, odwróciła się, popędziła do drzwi i prawie zderzyła się z wchodzącą właśnie do klasy panią Foster, nauczycielką angielskiego.

– Bobbie, a ty gdzie się...?

– Muszę pomówić z doktor Price.

Kłamstwo przemieniło jej język w gruzelkowaty kawał mięsa, ale nie miała wyboru. Wiedziała, że panna Foster bez wahania pozwoli jej wyjść z klasy, zgadując, że Bobbie ma jakieś informacje na temat Sadie. Spuściwszy głowę, przemknęła obok nauczycielki. To było kompletnie nie w jej stylu, ale zdawała sobie sprawę, że nie będzie w stanie zaangażować się w zajęcia, dopóki nie pozna odpowiedzi na pytanie, które huczało jej w głowie.

Pierwsza część misji polegała na odnalezieniu Lottie Wiseman, najlepszej przyjaciółki i współlokatorki Sadie. Dziewczyna uczyła się niezliczonej liczby języków – ciekawe tylko, gdzie się teraz znajdowała? Bobbie ruszyła najpierw

w kierunku klasy, w której Naya miała zajęcia z hiszpańskiego, zakładając, że Lottie też tam będzie, jednak w ostatniej chwili się rozmyśliła.

Bobbie opuściła lśniące nowością skrzydło imienia Millara o gładkich ścianach z piaskowca i szklanych ściankach działowych i wróciła do starej części budynku, gdzie skierowała się do gabinetu doktor Price. Wydało jej się prawdopodobne, że przesłuchiwanie osób najbliższych Sadie (w tym Lottie) nie dobiegło jeszcze końca.

W samym środku szkoły znajdował się odkryty betonowy podwórzec, któremu drobna mżawka nadała grafitowy kolor idealnie pasujący do ociążałej chmury wiszącej nad budynkiem. Bobbie przebiegła pod wiatą ciągnącą się wzdłuż ścian budynku, a następnie wślizgnęła się do środka przez wejście ewakuacyjne położone po drugiej stronie dziedzińca. W starej części budynku rzadko odbywały się lekcje, mieściły się tu jedynie sala do muzyki, aula, pokoje wychowanek, stołówka oraz część biurowa szkoły. Z uwagi na porę dnia panowała tu upiorna cisza, bo prawie wszystkie dziewczęta siedziały w klasach albo dygotały z zimna na boisku.

Bobbie przekradła się obok kucharek krzątających się w jadalni, a następnie wślizgnęła



się do holu, który za dnia sprawiał całkiem inne wrażenie. Wydawało jej się, że pościg za tajemniczą dziewczyną odbył się dużo dawniej niż zeszłej nocy. Obecnie recepcja zalana była rozmytym światłem wpadającym przez barwione szkło w okazałych drzwiach wejściowych. Lorraine, od lat pełniąca funkcję szkolnej recepcjonistki, podniosła wzrok znad biurka, żeby się z nią przywitać.

– Witaj...

– Bobbie.

– No jasne! Wszystko w porządku, kochanie?

– Tak – odparła, a potem ponownie użyła tego samego kłamstwa. – Muszę zobaczyć się z doktor Price.

– W tej chwili rozmawia z policją. Chodzi o Sadie?

– Tak, w pewnym sensie.

Bobbie wyciągnęła szyję, żeby zajrzeć w rozciągający się za biurkiem korytarz, w którym znajdował się gabinet dyrektorki. Jak można się było spodziewać, Lottie w towarzystwie Kellie, swojej drugiej współlokatorce, czekała na sofie w pobliżu miejsca, gdzie zeszłej nocy Bobbie widziała niezgrabną sylwetkę dziewczyny widma.

– No dobrze, kochanie. Idź zatem poczekać z pozostałymi dziewczynkami.

Bobbie podziękowała, a następnie powlokła się korytarzem, zastanawiając się, jak by tu ubrać w słowa to, co jej chodzi po głowie, i nie zabrzmieć przy tym jak skończona wariatka. Biedna Lottie, która w swoich najlepszych momentach sprawiała wrażenie wycieńczonej i kruchej, wyglądała okropnie – oczy miała czerwone od płaczu, a twarz spoconą i zszarzałą. Jeśli Sadie faktycznie sama zaplanowała swoje zniknięcie, to jej najlepsza przyjaciółka najwyraźniej nie miała o niczym pojęcia.

Kellie podniosła na nią wzrok. Do jej pokrytej błyszczkiem wargi przylepił się długi czarny włos, którego widok z jakiegoś powodu wstrząsnął Bobbie.

– Cześć, Bobbie. Wiesz coś na temat Sadie? Widziałaś się z nią zeszłej nocy?

– Nie – odparła. – Muszę pogadać z Lottie.

– Ze mną? – Lottie pociągnęła nosem. – O czym?

Bobbie zrobiła głęboki wdech, nie wiedząc nagle, co ma zrobić z rękami. W końcu splotła palce przed sobą.

– Pamiętasz wieczór w Halloween?

– Tak.

– A durnowatą opowieść Sadie o Krwawej Mary?

Oczy Lottie się rozszerzyły.

– No tak.

– Sadie twierdziła, że robiła to już wcześniej. Mówiłaś, że byłaś tego świadkiem.

Koścista dziewczyna wyglądała na całkiem zdezorientowaną.

– Tak, no i co z tego? Zrobiła to przed lustrem w szafie.

Puls Bobbie nabrał szaleńczego tempa.

– A ty?

– Ja nie.

– Kiedy to było?

Lottie przez chwilę się zastanawiała, marszcząc czoło.

– We wto... nie, w środę wieczorem. Tak, to było po próbie chóru.

Bobbie musiała oprzeć się ręką o ścianę, żeby nie stracić równowagi. Miała wrażenie, że jej stopy straciły kontakt z podłogą. Ziściły się jej obawy. Ale to przecież niemożliwe.

– Czyli pięć dni temu...

Ostatnie ze słów uwięzło jej w gardle i wydobyło się z niego w postaci ochryplego szeptu.

Wiadomość na lustrze. Pięć dni.

## Rozdział 8. Pić dni

Bobbie wparowała do klasy E7, zaczepiając drzwiami o stojące zbyt blisko nich krzesło.

– Mogę ci w czymś pomóc? – spytał pan Carlos, wydymając usta i unosząc przesadnie wyskubane brwi w charakterystycznej dla siebie minie.

Bobbie poprawiła okulary na nosie.

– Tak. Przepraszam, ale... doktor Price chce natychmiast porozmawiać z Naya.

Naya spojrzała jej prosto w oczy i momentalnie zorientowała się, że to ściema. Pan Carlos pozwolił jej wyjść machnięciem dłoni.

– Okej. Idź lepiej zobaczyć, o co jej chodzi.

– Tak, proszę pana.

Naya zasunęła za sobą krzesło i zarzuciła torbę na ramię. Bobbie wycofała się na sterylny, pachnący plastikiem korytarz należący do nowego aneksu. Skrzydło imienia Millara zostało otwarte podczas jej pierwszego roku w Piper's Hall – na ścianach z gołych cegieł wisiały plakaty głoszące motywujące hasła takie jak: „Jesteś wyjątkowa”.

– Co jest grane? Wyglądasz, jakbyś przeszła przez piekło – zauważyła Naya, zarzucając hebanową grzywą.

– Nayu, wiem, co przytrafiło się Sadie.

– O mój Boże. Wiedziałam, że coś ukrywasz!

Bobbie pociągnęła ją w kierunku schodów, gdzie były poza zasięgiem wścibskich uszu.

– Wydaje mi się... że chodzi o Krwawą Mary.

Naya czekała na puentę.

– Co takiego? To o tym paplałaś wczoraj wieczorem?

Bobbie wydała z siebie sfrustrowane westchnięcie.

– Mówię poważnie. Pięć dni temu Sadie powiedziała pięć razy przed lustrem „Krwawa Mary”, a teraz zniknęła. Po tym, jak my to zrobiliśmy, zobaczyłam na lustrze wiadomość o treści „pięć dni”. Wolałabym, żeby to był żart, ale tak nie jest.

Na twarzy Nai pojawił się wyraz rozczarowania, ale dziewczyna szybko się otrząsnęła i zachichotała pod nosem.

– No co? – spytała Bobbie.

– Nie ma mowy. Po prostu... nie. To musi być finałowa część żarciku Sadie. Stara, jak ją spotkam, to...

Bobbie od razu się zorientowała, że wydarzyło się coś jeszcze. O Nayi można było powiedzieć wiele rzeczy, ale raczej nie można jej było uznać za dobrego kłamcę.

– Naya, o co chodzi?

– O nic.

– Naya...

Naya przewróciła oczami, po czym wsadziła dłoń do bawełnianej torby na ramię. Wyjęła z niej plan lekcji.

– Zobacz. Jakaś kretynka mi go pomazała.

Bobbie wzięła od niej kalendarz i otworzyła go na bieżącym tygodniu. Widniały tam słowa „pięć dni” naskrobane drobnym maczkiem. Wiadomość znajdowała się w okienku dotyczącym niedzieli, czyli tego samego dnia, gdy dostrzegła napis na lustrze. Bobbie łąpczywie zaciągnęła się powietrzem.

– Boże święty.

– Daj spokój, to może być po prostu część żartu Sadie...

– Nie! – warknęła Bobbie głośniej, niż miała zamiar. Na policzki wystąpiły jej rumieńce. – Czy Sadie jest w stanie kontrolować mój wzrok? Albo sny? Widzę naprawdę dziwne rzeczy, Naya.

Naya przewróciła oczami, a następnie złapała Bobbie za krawat i poprowadziła ją ciągnącym się na pierwszym piętrze korytarzem niczym psa. Gdy dotarły do automatu z napojami, wsunęła do niego kilka monet, a po chwili w otworze poniżej z łomotem pojawiła się puszka coli, którą podała

Bobbie.

– Proszę. Napij się. Tak dziwnie wybałuszasz oczy, że przechodzą mnie ciarki.

Bobbie przyjęła colę i upiła łyk. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo potrzebna jej była ta dawka cukru. Przed gabinetem doradcy zawodowego ustawione były miękkie wyściełane fotele i Bobbie klapnęła na jeden z nich, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Dzięki.

Naya usiadła obok niej.

– Zastanówmy się przez chwilę. Naprawdę myślisz, że Sadie ukatrupił jakiś duch? Bob...

– Sama nie wiem. Może. Ludzie tak po prostu nie znikają. Boże, biedna Sadie... musiała być przerażona.

– Bobs...

– Wiem, wiem. To brzmi jak czyste szaleństwo. Ale kojarzysz taki moment w filmach, gdy chcesz, żeby występujące w nim postacie pogodziły się w końcu z faktem, że to, co wydaje się niemożliwe, jest jednak możliwe? Tak właśnie się czuję.

Naya zaśmiała się z goryczą.

– Wiem, o czym mówisz. Tyle że... to lekka przesada. Przecież ja nie wierzę w duchy.

– Ja też nie wierzyłam, dopóki nie zobaczyłam jednego z nich na własne oczy. – Bobbie

pociągnęła łyczek coli. – Za dużo tego wszystkiego jak na zwykły zbieg okoliczności. Następnego dnia po tym, jak wypowiedzieliśmy jej imię, obie otrzymałyśmy tę samą wiadomość, a wszyscy troje dostaliśmy krwotoku z nosa. Zobaczyłam tę dziewczynę na dole... Mary. Śniłam o niej... byłam nią we śnie. Teorie dotyczące duchów faktycznie są głupawe, ale na pewno nie bardziej niż zaprzeczanie temu, co dzieje się tuż przed twoim nosem.

Naya zrobiła pełen dramatyzmu głęboki wdech.

– No dobrze, załóżmy na chwilę, że ci wierzę. Co w takim razie masz zamiar zrobić?

– Nie wiem. A czas mamy tylko do czwartku...

– A wtedy co?

– Nie wiem. – W jej gardle utknęła jakaś kolczasta gruda. – Wtedy przydarzy się nam to co Sadie.

Do Nai dotarła w końcu prawda. Jej policzki momentalnie pobladły, przechodząc od barwy kawy do koloru herbaty z dużą ilością mleka.

– O Boże.

Teraz przyszła kolej Bobbie na pocieszenie przyjaciółki. Ujęła Nayę za ramię.

– Nie, spokojnie. To oznacza, że zostały nam jeszcze prawie cztery dni na powstrzymanie jej. Mam nadzieję. Miała okazję mnie skrzywdzić



zeszłej nocy, a jednak tego nie zrobiła. Z jakiegoś powodu dała nam pięć dni.

– Na pożegnanie się z życiem.

– Cóż za optymistyczne podejście! – zbeształa ją Bobbie. – Wydaje mi się, że ona czegoś chce. Słuchaj, może udałoby nam się dowiedzieć, kim była... jest... co się z nią stało? Musi istnieć jakiś sposób na powstrzymanie jej.

– Ciekawe jaki? Myślisz, że możemy jej wyperswadować obdarcie nas żywcem ze skóry?

Bobbie się skrzywiła.

– Może jest przyjaznym duszkiem... tak jak Kacper.

– Kotku, powiedz to Sadie i całej reszcie osób, które były równie głupie jak my i wzięły w tym udział.

Bobbie zbyt mocno ścisnęła puszkę i na jej rajstopy i krzesło chlusnęła lepka fontanna.

– Naya, jesteś genialna.

– Serio?

– Tak. To zdarzyło się już wcześniej.

\*\*\*

Szkoła pogrążona była w chaosie – ubrani w fluorescencyjne kamizelki policjanci przemykali to tu, to tam niczym wielkie osy – i nikt nie zwrócił nawet uwagi na to, że Bobbie i Naya nie wróciły do swoich klas. Uczennice były w regularnych

odstępach wywoływane z klasy na przesłuchanie w sprawie Sadie, więc obie przyjaciółki po prostu wykorzystały sprzyjający im zamęt.

Udały się do czytelnicy, wiedząc, że obecność dwóch senierek nie wyda się tam nikomu czymś dziwnym – bibliotekarce mogły powiedzieć, że mają okienko. Bobbie upewniła się, że nikt ich nie obserwuje, po czym zalogowała się do systemu i połączyła z internetem.

– Czego właściwie szukasz? – spytała Naya.

Bobbie zignorowała ją i wpisała w okienku wyszukiwarki: MARY WORTHINGTON PIPER'S HALL. Pierwsze kilka wpisów dotyczyło najstarszego holu w Ohio należącego podobno do jakiejś Mary Worthington. Następne dziesięć odnosiło się do postaci z serialu *Nie z tego świata*. Legenda otaczająca dziewczynę miała najwyraźniej zasięg globalny. Większość wyników wyszukiwania związanych było z profilami na Facebooku należącymi do współcześnie żyjących kobiet o nazwisku Mary Worthington.

– Masz coś? – Naya zaczynała się niecierpliwić.

– Nic przydatnego. Chwileczkę... spójrz na to.

Bobbie kliknęła na jeden z linków. Prowadził do strony, na której można było zadać dowolne pytanie, na które odpowiadali zalogowani użytkownicy. Bobbie przeczytała wpis na głos:

– „Obejrzałem odcinek *Nie z tego świata* o Krwawej Mary. Straszne jak diabli, LOL!”.

Pod spodem wyświetliła się długa lista odpowiedzi, na której końcu ktoś napisał:

– „Słyszałem od znajomego z Anglii, że coś takiego naprawdę wydarzyło się w jednej z tych drogich szkół z internatem”.

– Jasny gwint. – Naya przysunęła się bliżej z krzesłem. – To o nas mowa.

– Aha.

Naya pochyliła się do przodu.

– A co z listą absolwentek na stronie szkoły? Skoro się tu uczyła...

Bobbie miała ochotę ją ucałować – jak mogła na to nie wpaść?

– Widzisz, właśnie za to cię kocham. Jesteś nie tylko piękna, ale i bystra.

– Drobnostka! – Naya wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Bobbie odnalazła stronę internetową Piper's Hall, po czym kliknęła na link prowadzący do podzielonej na dekady listy absolwentek.

– Muszą być na niej tysiące dziewcząt.

Naya przygryzła wargę.

– Widziałas we śnie coś charakterystycznego? Może wszyscy chodzili w dzwonach?

– Nie. – Bobbie zdjęła okulary i potarła powieki.

– Na oko były to lata trzydzieste albo czterdzieste.

– Warto to sprawdzić.

Bobbie tak właśnie zrobiła – na wszelki wypadek zerknąwszy również na lata dwudzieste i pięćdziesiąte – ale na liście dawnych wychowanek szkoły nie było śladu po Mary Worthington.

– To dziwne. We śnie na pewno byłam, to znaczy ona była, uczennicą. Miałam na sobie mundurek.

– Zgodnie z historią miała popełnić samobójstwo – przypomniała Naya.

Bobbie zmieniła treść zapytania na: PIPER'S HALL SAMOBÓJSTWO. Tym razem wyświetlił się jeden wynik wyszukiwania, ale dotyczył wychowanki szkoły, która odebrała sobie życie w latach dziewięćdziesiątych podczas pobytu w domu. Bobbie zignorowała wpis, a Naya wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co dalej począć. Bobbie przyszedł jednak do głowy jeszcze jeden pomysł.

– W sobotni wieczór Sadie wspomniała, że coś się tutaj wydarzyło, gdy do Piper's Hall chodziła jej siostra, pamiętasz?

– Tak.

– Wiesz, jak ma na imię?

Naya pokręciła głową.

– Nie. Środkowa siostra chodziła tu przez jakiś czas równoległe z nami, ale najstarsza skończyła szkołę, zanim się tu pojawiłyśmy. Wpisz po prostu nazwisko Walsh, to nie mogło się dzieć zbyt dawno temu.

Bobbie przejrzała ostatnie dwie dekady. I rzeczywiście, na liście pojawiła się Claudia Walsh, która ukończyła szkołę cztery lata wcześniej i studiowała obecnie na Oksfordzie, oraz Tabitha Walsh, która opuściła mury Piper's Hall przed trzynastu laty. Różnica wieku była znaczna i Bobbie zaczęła się zastanawiać, czy dziewczyny nie były przypadkiem siostrami przyrodnimi. Bobbie otworzyła listę absolwentek na roku, w którym szkołę ukończyła Tabitha. Przesuwała wzrokiem po nazwiskach, dopóki coś nie przykuło jej uwagi.

– To dziwne. Spójrz.

– Na co?

Bobbie wskazała na dwa nazwiska na samym końcu listy.

**Abigail Hanson i Taylor Keane – na zawsze pozostaniecie w naszych sercach.**

– I co to ma niby znaczyć?

– Zaraz się dowiemy.

Bobbie, która bez reszty pogrążyła się już w roli detektywa, wpisała w wyszukiwarce: ABIGAIL

HANSON PIPER'S HALL, a następnie wcisnęła enter.

– Bingo.

Tym razem trafiły na istną żyłę złota.

**Policja nasila poszukiwania zaginionych uczennic...**

**Apel rodziców zaginionych dziewcząt...**

**Brak dowodów na udział osób trzecich w zaginięciu dwójki dziewcząt...**

Przy każdym z artykułów widniało zdjęcie obu dziewczyn. Abigail była oszałamiająco piękną brunetką o kościach policzkowych, za które Bobbie dałaby się pokroić na kawałki, a Taylor ze swoją opaloną cerą i zmierzwionymi włosami w kolorze piaskowy blond wyglądała na czirliderkę.

– Jakim cudem nigdy o nich nie słyśmy? – zastanawiała się Bobbie na głos.

– Skoro nie znaleziono zwłok, to sprawę odłożono pewnie do lamusa.

Bobbie otworzyła jeden z artykułów. Swego czasu trafił do wiadomości krajowych, ale ona miała wtedy zaledwie cztery lata i żyła w ograniczonym dziecięcym świecie. Obie dziewczyny zniknęły z domów: Abigail z Londynu, a Taylor z pogranicza Anglii i Walii. To nie miało sensu. Najwyraźniej policja była podobnego zdania. Dwie dziewczyny znikają tego samego dnia

z miejsc oddalonych o dziesiątki kilometrów. Z tego, co udało się ustalić Bobbie, podejrzewano, że obie zaginione uciekły gdzieś razem, chociaż nie zabrały ze sobą żadnych rzeczy osobistych.

Rozpłynęły się w powietrzu. Tak jak Sadie. Bobbie przeszedł lodowaty dreszcz, który zrodził się gdzieś w kręgosłupie, a następnie przeniknął jej kości.

– Mogę się założyć, o co tylko chcesz, że pięć dni przed zaginięciem obie stały przed lustrem i...

Nie musiała kończyć zdania.

– Spróbuj poszukać jakichś innych dziewczyn, które zaginęły – zasugerowała Naya.

Bobbie posłuchała, ale wyświetlił się tylko jeden wynik – dotyczył wychowanki Piper's Hall uczęszczającej do szkoły osiem lat przed Abigail i Taylor. Historia była taka sama – kolejna dziewczyna wyparowała z powierzchni Ziemi.

Naya wydeła policzki.

– Założę się, że doszło do wielu takich przypadków. W czasach, kiedy nie było jeszcze internetu. Dlaczego nas o tym nie poinformowano? Mama mogłaby mnie posłać do innej szkoły...

– Kto by w to uwierzył? – Oczywiście Bobbie były wielkie niczym spodki. – Krwawa Mary to postać z opowieści o duchach. Setki dzieciaków bawią się w wywoływanie jej każdego dnia... a znikają tylko

te, które robią to tutaj. Wiesz, co jest najśmieszniejsze? Nie możemy powiedzieć, że nas nie ostrzegano! Sadie dokładnie nam opisała, co się zdarzy.

– Bobbie. My też znikniemy, prawda? Coś po nas przyjdzie.

Bobbie miała ochotę stwierdzić: „Tak, to wielce prawdopodobne”, ale nie mogła się na to zdobyć – nie potrafiła powiedzieć tego Nai prosto w twarz i nie była w stanie przyznać tego na głos. Miała wrażenie, że oznaczałoby to pogodzenie się z losem.

– Nie. Wciąż mamy do dyspozycji trzy i pół dnia. Możemy... jakoś ją powstrzymać.

– Ale jak?

– Nie wiem... Ale coś wymyślę. Dostałyśmy te pięć dni z jakiegoś konkretnego powodu. W moim śnie nie sprawiałam... to znaczy ona nie sprawiała wrażenia złej. Raczej smutnej.

– Może gdybyśmy mogły pogadać z siostrą Sadie...

Uwagę Bobbie przykuł wynik wyszukiwania na samym dole strony.

– To może nie być konieczne. Spójrz.

**Nawiedzone Piper’s Hall. PRAWDA na temat Abi i Taylor.**

Bobbie bezzwłocznie kliknęła na link. Prowadził



do internetowego pamiętnika o niewyszukanej formie. Strona graficzna bloga została zepchnięta na dalszy plan przez opisy uparcie zgłębianej obsesji. Każdy z postów dotyczył Krwawej Mary. Ostatni z nich, znajdujący się na samej górze, miał kształt strumienia świadomości.

„Im więcej o tym mówię tym mniej ludzie mi wierzą sama nie wiem po co się tak staram ani ile razy mam to powtarzać... nikt nie rozumie że ona siedzi w mojej głowie. Obserwuje mnie”.

Według etykietyki w górnej części strony autorką bloga była Bridget Horne. Najświeższy post miał już dziesięć lat. Bobbie zjechała w dół ekranu. Im dalej sięgała w przeszłość, tym wpisy stawały się bardziej spójne i zrównoważone. Naya kazała jej się zatrzymać.

– Spójrz na ten – powiedziała.

„Opisałam policji wszystko, co wiedziałam. Opisałam tamten wygłup. Powiedziałam im o KM. Możecie pewnie zgadnąć, jak zareagowali. Jedyne, co mogę jeszcze zrobić, to ostrzec innych. Nigdy, przenigdy nie wymawiajcie jej imienia”.

– Troszkę na to za późno, co nie? – Bobbie odgarnęła włosy z twarzy. – Chwileczkę! Jeśli ta Bridget chodziła do Piper’s Hall...

Bobbie ponownie otworzyła zakładkę z listą absolwentek szkoły. I rzeczywiście, figurowała na

niej Bridget Horne. Kolejne kliknięcie ujawniło dane kontaktowe dziewczyny.

– Proszę bardzo.

– Myślisz, że te dane są nadal aktualne?

– Powinny być, skoro wysyłają na nie biuletyn i zaproszenia na coroczne spotkania. Znasz przecież nasze motto...

– „Siostrzana więź na całe życie”. – Nai udało się całkiem nieźle sparodiować głos doktor Price.

– Warto spróbować.

\*\*\*

Na lunch poszły, jak gdyby nigdy nic, mimo że opuściły przecież wszystkie poranne lekcje. Bobbie nie mogła zmusić się do przełknięcia najmniejszej nawet ilości jedzenia. Próbną kęs rozmiękłego spaghetti bolognese zmienił się jej na języku w papierową kulkę, do której przełknięcia niezbędny okazał się haust wody. Czuła się jak pies trzymający w zębach szmatę. Zniecierpliwiona stuknęła stopą pod stołem w oczekiwaniu na dzwonek obwieszczający początek popołudniowego bloku lekcyjnego, który pozwoli jej kontynuować misję.

Tego popołudnia Bobbie naprawdę miała okienko, ale Naya raz jeszcze musiała urwać się z zajęć. Sytuacja zaczęła się robić ryzykowna.

W Piper's Hall obowiązywało wiele różnych

zasad, których Bobbie posłusznie przestrzegała od tak dawna, że często zdarzało jej się zapomnieć, jak bardzo były one niedorzeczne. Obecnie dotarło do niej, że zakaz korzystania z telefonów komórkowych przed siódmą rano i po dziesiątej wieczorem – i to tylko we własnym pokoju – trącił czystym szaleństwem. Ale była to w końcu instytucja, w której seniorki miały do dyspozycji specjalnie wyznaczone dla siebie korytarze, a noszenie czarnych skarpet było absolutnie niedozwolone. Kolejna zasada zabraniała dziewczętom przebywać w swoich pokojach między lekcjami lub w ich trakcie, zgodnie z (całkiem trafnym) przypuszczeniem, że czas wolny przeznaczony był na drzemkę.

Gdy zabrzączał dzwonek i wszyscy udali się na czwartą tego dnia lekcję, Bobbie i Naya ruszyły w kierunku Łoży, żeby skorzystać z telefonu.

– Myślisz, że ktoś nas widział? – spytała Naya.

– Chyba nie. Ale może na wszelki wypadek powinnaś pójść na zajęcia teatralne?

– Oszalałaś? Wolę to, niż słuchać, jak pani Flemming przynudza na temat metody Stanisławskiego.

Bobbie zachichotała, po czym upewniła się, że droga jest wolna. Bóg jeden wiedział, gdzie podziewała się obecnie pani Craddock – jej dyżur

zaczynał się dopiero o siedemnastej. Gdzieś z dalszej części korytarza dobiegł je warkot odkurzacza sprzątaczką doprowadzającej pokoje dziewcząt do ładu. Zgiełk, którego epicentrum stanowił położony w skrzydle Christie pokój Sadie, chyba już umilkł, ale stojące na podjeździe radiowozy wskazywały na to, że policjanci nie opuścili jeszcze terenu szkoły. Przy odrobinie szczęścia obecność stróżów prawa spowoduje, że żaden nauczyciel nie wejdzie im w paradę.

Wyjąwszy z kieszeni żakietu wymiętą kartkę papieru, Bobbie wybrała na klawiaturze telefonu numer Bridget Horne.

– Chcesz, żebym się tym zajęła? – spytała Naya.

– Nie, poradzę sobie – odparła Bobbie, słuchając sygnału.

– Może nie ma nikogo w domu. Jest w końcu środek dnia.

– Albo numer jest nieak...

Po szóstym dzwonku ktoś podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Dzień dobry. Bridget?

– Nie. Kto mówi?

Bobbie użyła imienia i nazwiska z listy absolwentek.

– Z tej strony Clarissa True. Byłam z Bridget na jednym roku w szkole.

Głos w słuchawce był niepewny, niespokojny.

– Aha. Jestem jej mamą.

– Zastałam Bridget?

Bobbie zdawała sobie sprawę, że po dziesięciu latach od ukończenia Piper's Hall było mało prawdopodobne, że Bridget nadal mieszkała z rodzicami, ale miała nadzieję, że uzyska od nich jej nowy numer.

– Powiedziałaś, że masz na imię Clarissa?

Bobbie miała wrażenie, że jej serce wypełnia się pianą.

– Tak.

– Miałyśmy okazję się poznać?

– Chyba tak. Po tamtym przedstawieniu... – zaryzykowała Bobbie.

– Dobrze znałaś Bridget?

Użycie czasu przeszłego w tym pytaniu wcale jej się nie spodobało.

– W szkole trzymałyśmy się razem, ale potem nasze drogi się rozeszły... po tym, co się stało.

Bobbie wydało się prawdopodobne, że nigdy niewyjaśnione zaginięcie dwóch uczennic musiało odcisnąć piętno na całym roku.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

– Rozumiem. No cóż, dziękuję ci za kontakt. Przekażę Bridget, że dzwoniłaś.

Bobbie robiła, co mogła, żeby kobieta nie

odłożyła jeszcze słuchawki.

– Czy byłoby możliwe, żebym osobiście porozmawiała z Bridget?

– W szpitalu?

– Tak. – Posiadane przez Bobbie umiejętności ściemniania zostały wystawione na ciężką próbę. – Czy można tam zadzwonić o jakiejś wyznaczonej porze?

Nastąpiła kolejna pauza, a po niej ledwo słyszalne, pełne smutku westchnienie. Mama Bridget starała się nadać swojemu głosowi pozory wesołości, ale nie była w stanie zamaskować pobrzmiewającego w nim zmęczenia.

– To miło z twojej strony, ale Bridget niewiele mówi. Zwłaszcza przez telefon.

Bobbie zerknęła na Nayę, która tylko wzruszyła ramionami.

– Yyy... może mi pani przypomnieć, który to był szpital? Wyślę jej list.

– O, tak, to dobry pomysł, na pewno się ucieszy. Niewiele osób do niej pisze czy dzwoni, od kiedy została otoczona całodobową opieką. Bridget znajduje się na oddziale psychiatrycznym w szpitalu królewskim w Seahaven.

Bobbie starała się, aby w jej głosie nie dało się słyszeć triumfu.

– Dziękuję, pani Horne. Jeszcze dziś wyślę jej

kartkę.

– Dziękuję, Clarisso. Uważaj na siebie.

Bobbie odłożyła słuchawkę, a następnie spojrzała na Nayę.

– Sprawa robi się coraz bardziej popaprana. Bridget znajduje się na oddziale psychiatrycznym szpitala w Seahaven.

– No coś ty. Przecież to niedaleko Oxsley.

Bobbie skinęła głową.

– Wiem. Myślę, że powinniśmy złożyć jej...

Umilkła w pół słowa. Za szybą z matowego szkła wstawioną w drzwi wyrosła czyjaś strzelista sylwetka. Drzwi uchyliły się ze skrzyknięciem, po czym do pomieszczenia wsunęło się wysmukłe ciało doktor Price. Bobbie miała wrażenie, że serce jednocześnie zjechało jej do żołądka i podeszło do gardła.

Dyrektorka zmrużyła oczy i wbiła w dziewczyny wściekły wzrok.

– Co wy tu robicie?

## Rozdział 9. Odchodząc od zmysłów

– No i? – Spokojny ton głosu doktor Price nie był w stanie zamaskować wściekłości widocznej w jej oczach.

Bobbie próbowała coś powiedzieć, ale serce w dalszym ciągu blokowało jej tchawicę, więc wydobyła z siebie tylko zdławione sapnięcie. Naya otoczyła Bobbie ramieniem, a następnie oznajmiła:

– Bobbie była cała roztrzęsiona z powodu Sadie. Przyszło mi do głowy, że poczuje się lepiej, jeśli zadzwoni do mamy.

– Na litość boską, panno Sanchez. Lepszej wymówki oczekiwałabym od pierwszaków, a co dopiero od seniorki. Co więcej, pan Carlos poinformował mnie, że wyszłaś dziś rano z lekcji hiszpańskiego, i to podobno na moje życzenie.

Bobbie postanowiła dać szansę radykalnej taktyce polegającej na wyjawieniu prawdy.

– Strasznie przepraszam, doktor Price. Wystraszyło mnie zniknięcie Sadie. To moja wina. Mam teraz okienko, więc poprosiłam Nayę, żeby ze mną posiedziała, zamiast iść na zajęcia teatralne. – Otworzyła oczy tak szeroko, jak tylko się dało.

Nowa strategia zadziałała niczym magiczne



zakłęcie.

– Muszę przyznać, Roberto, że to bardzo nie w twoim stylu. Przez sześć lat nie było z tobą najmniejszych problemów, ale w ciągu ostatnich dwóch dni dwa razy pod rząd nakryłam cię w niewłaściwym miejscu.

Kolejne spojrzenie wzrokiem zranionej sarenki.

– Przepraszam. Chodzi o to, że... ja naprawdę bardzo martwię się o Sadie.

Doktor Price wyduła wargi.

– Wszyscy się o nią martwimy, i z tego właśnie powodu seniorki powinny dawać właściwy przykład młodszym dziewczętom.

Bobbie z powagą skinęła głową, czując się odrobinę winna. I wtedy Naya zadała pytanie, które sprawiło, że podłoga pod stopami Bobbie zachwiała się, jakby ktoś znieczeka potrzęsął światem.

– Tak samo to wyglądało, gdy trzynaście lat temu zniknęły tamte dwie dziewczyny?

Bum. Doktor Price się wzdrygnęła. Nawet dyrektorka o powierzchowności pozbawionego duszy robota musiała zareagować na taką rewelację. Kobieta mocno zacisnęła szczęki, a w jej oczach mignęło coś przypominającego panikę, jednak chwilę później odzyskała rezon i odparła:

– Skąd o tym wiesz? To się wydarzyło bardzo

dawno temu.

– Wszyscy o tym wiedzą – oznajmiła Naya beztrzesko, jakby nie było to nic istotnego.

– Szczerze w to wątpię. – Głos doktor Price na chwilę stał się nieprzyjemnie piskliwy.

Bobbie widziała wyraźnie, że kobieta próbuje zbagatelizować wagę przeszłych wydarzeń. Tylko dlaczego? Po raz pierwszy Bobbie zaczęła się zastanawiać, czy to, co się wtedy stało, nie zostało zatuszowane.

– Czy naprawdę muszę ci tłumaczyć, Nayo, jaki wpływ na szkołę mogłyby mieć w tej chwili plotki oraz wybuch hysterii?

Bobbie poczuła, że jej policzki oblewają się rumieńcem. W dalszym ciągu tkwił w niej wyniesiony z podstawówki lęk przed wywołaniem niezadowolenia u nauczycieli.

– Posłuchajcie mnie obie uważnie. Te dziewczyny zniknęły z miejsc oddalonych od Piper's Hall o dziesiątki kilometrów. To, co je spotkało, jest niewątpliwie zatrważające, ale ich zaginięcie nie miało nic wspólnego z tą szkołą. Zrozumiano? Nie życzę sobie żadnych więcej wzmianek na ten temat, bo traficie do izolatki.

Żadna z nich nie próbowała oponować. Bobbie nie odważyła się nawet spojrzeć dyrektorce w oczy, bojąc się, że od razu mogłaby obrócić się

w kamień. W ciągu sześcioletniego pobytu Bobbie w Piper's Hall tylko jedna uczennica trafiła do izolatki – dziewczyna, która usiłowała zranić koleżankę przy użyciu noża podczas sprzeczki w stołówce. Doktor Price musiała mówić śmiertelnie poważnie, skoro groziła im tym rodzajem kary.

– Bobbie, jeśli chcesz zadzwonić do mamy, masz pięć minut. Będę czekać za drzwiami. A ty, Naya, masz natychmiast wracać do klasy i złożyć nauczycielce przeprosiny na piśmie za swoją niepunktualność. Jazda!

Naya bez słowa prześlizgnęła się obok dyrektorki, zwiesiwszy głowę ze wstydu. Bobbie podniosła słuchawkę i wykręciła numer mamy – doktor Price kręciła się na zewnątrz, więc nie miała wyboru. Obliczyła, że w Nowym Jorku była właśnie ósma rano i miała nadzieję, że mama nie wyszła jeszcze na próbę. Odebrała po drugim sygnale i Bobbie przywitała się z nią.

– Bobbie, skarbenku! – Mama miała zachrypnięty głos, jakby dopiero się zbudziła.

– Cześć, mamo.

– Kochanie, brzmisz okropnie, co się stało?

– Zbudziłam cię?

– Tak, ale nic nie szkodzi. Wczoraj wieczorem byłam na nedorzecznym przyjęciu, kotku,

skonałabyś na sam widok. Basen na dachu klubu Soho House. Zamknięta impreza z okazji czterdziestych urodzin Jareda. Skrajna dekadencja, nie uwierzyłabyś własnym oczom!

Bobbie poczuła w gardle smak łez. Nie wiedziała za bardzo, co je wywołało – może znajomy głos mamy. Mogła ją sobie w tej chwili wyobrazić: starannie utlenione włosy spoczywające na poduszce niczym ptasie gniazdo, sztuczne rzęsy w dalszym ciągu przyklejone do umalowanych jak u pandy powiek.

Bobbie przypomniało się, że czas ucieka, a w wyimaginowanej klepsydrze wiszącej jej nad głową piasek przesypuje się w niepokojąco szybkim tempie. A co, jeśli nie dane jej było już nigdy ujrzeć własnej matki?

– Mamo, możesz wrócić do domu? – Słowa te wydobyły się z jej ust, zanim zdołała je powstrzymać.

– Co takiego?

– Dzieje się coś naprawdę dziwnego. Nie jestem w stanie ci tego wyjaśnić.

– Kochanie, nie strasz swojej starej matki. Co się dzieje? Wpadłaś w tarapaty? Chodzi o narkotyki, tak? Na pewno. Zbyt liberalnie cię wychowuję, prawda?

– Nie, nie. Jezu, nie chodzi o żadne narkotyki.

Bobbie zdjęła okulary i ścisnęła palcami nasadę nosa, zmagając się z łzami. Czuła, jak z każdą chwilą cofa się w rozwoju i staje małą dziewczynką, która po prostu chce do mamy.

– Boję się, mamó.

Na moment zapadła cisza.

– Kochanie, czy ktoś ci tam dokucza? Powiedz mi, kto to taki, a ja poproszę doktor Price, żeby usunęli tę osobę ze szkoły. To bardzo proste. Skarbie, twój problem polega na tym, że jesteś zbyt uprzejma. Ufasz ludziom, a oni to wykorzystują. Zawsze ci powtarzałam...

– Mamó, proszę. Bardzo za tobą tęsknię. Chcę się z tobą zobaczyć.

– Bobbie, jeśli nie zdradzisz mi, o co chodzi, to niewiele będę w stanie zrobić, prawda?

Bobbie zamknęła oczy. W głowie kotłowały jej się fragmenty obrazów i myśli, grzechocząc jak mieszanka tłuczonego szkła i gwoździ. Czuła się bezsilna, bezużyteczna.

– I tak byś nie zrozumiała.

– Oczywiście, że rozumiem, skarbie. Każdemu zdarza się czasem stęsknić za domem. Ja tęsknię za nim bez przerwy, w tej chwili, na przykład, oddałabym wszystko za kawałek prawdziwego boczk. Zanim się obejrzysz, będą już święta.

Pierwsza łza wydobyła się na światło dzienne.

Ciepła słona kropla zbiegła jej po nosie, a następnie skapnęła na stolik, na którym stał telefon. Nie powie przecież mamie, że za cztery dni już jej nie będzie. Mogła zapomnieć o Bożym Narodzeniu – nie doczeka nawet Dnia Guya Fawkesa.

– Mamo, proszę...

– Dajże spokój, Bobbie. Zostały ci już tylko dwa lata szkoły. Na pewno dasz sobie radę. Na razie muszę zostać w Nowym Jorku. Wydawało mi się, że to rozumiesz.

Bobbie skinęła głową, ocierając łzę.

– Tak, rozumiem.

Wzięła się w garść, wiedząc, że w życiu nie uda jej się przekonać mamy, żeby ją odwiedziła, a sądząc po losie, który spotkał Taylor i Abigail, ucieczka do Nowego Jorku wcale nie załatwiłaby sprawy. Krwawa Mary znalazłaby ją bez względu na to, jak daleko by uciekła. Głębokie wdechy. Tryb małej dziewczynki był niezwykle kuszący, ale w tej chwili musiała stać się raczej twarda jak wilczyca. Doświadczyła chwilowego załamania formy, ale nie było to nic, z czym nie mogłaby sobie poradzić – nie miała zresztą wyjścia.

– Przepraszam. Mam za sobą kilka ciężkich dni.

– To nie w twoim stylu, kochanie.

– Wiem. – Bobbie zamknęła oczy i wyobraziła

sobie, że pożyczą trochę siły od swojej matki za pośrednictwem kabli telefonicznych. – Nic mi nie będzie.

– Na pewno? Potrzebujesz pieniędzy?

Gdyby tylko to było takie proste...

– Nie. Wszystko w porządku. Nie zwracaj na mnie uwagi.

– No dobrze, skarbie. Muszę lecieć. O dziesiątej idę na masaż shiatsu z Chloe Sevigny. Telefon zostawię włączony. Gdybyś mnie potrzebowała, dzwoń.

Bobbie przyciągnęła kolana do brody, czując się jak balon, z którego zeszło powietrze.

– Jasne. Lepiej wrócę już do klasy.

– Całuski, kochanie!

– Pa, mamó. – Bobbie odłożyła słuchawkę.

\*\*\*

Bobbie spędziła resztę popołudnia na zajęciach z filozofii, a potem na próbie chóru, podczas której tylko bezdźwięcznie poruszała ustami. Nie była w stanie skupić się nawet na chwilę; ciężko było to osiągnąć, gdy nad głową wisiał zegar głośno odmierzający kolejne sekundy. Po raz pierwszy w życiu każda minuta wydawała się mieć dla niej znaczenie i Bobbie wyraźnie czuła, że marnuje pozostały jej czas.

Poszła z Nayą na kolację, ale wmusiła w siebie

jedynie miskę przygnębiającej zupy warzywnej. Pokarmy stałe były wykluczone. Naya wyglądała na równie niezainteresowaną jedzeniem i przesuwiała tylko po talerzu kawałki galaretowatego gulaszu.

– Myślisz, że są w tym jakieś węglowodany?

– Jest to całkiem prawdopodobne – odparła Bobbie apatycznie.

Naya wystawiła język.

– Jezu, ale podle się czuję. Od samego zapachu chce mi się rzygać.

Bobbie знаła to uczucie. Atmosfera w Piper's Hall była jeszcze bardziej ponura niż zwykle. Tydzień temu cofnięto zegary, więc obecnie zmrok zapadał już przed piątą po południu, a wieczorne opary przesuwwały się znad morza jeszcze wcześniej. Na dworze panowały wilgoć i chłód owinięte nieprzeniknioną mgłą.

Nastrój w stołówce był niewiele lepszy. Gdy wypaliły się wszystkie skandaliczne plotki związane ze zniknięciem Sadie, w powietrzu zawisł autentyczny niepokój związany nie tylko z zaginioną uczennicą, lecz także przeświadczeniem, że coś z ich szkołą jest nie tak. Piper's Hall od zawsze było miejscem przygnębiającym, ale teraz zrobiło się tu również niebezpiecznie.



Dziewczęta jadły w nabożnej ciszy, z powagą szepcząc do ucha koleżankom, zamiast piszczeć i krzyczeć z radości wywołanej zakończeniem lekcji. Doktor Price obserwowała je ze swojego miejsca przy głównym stole znajdującym się w zasięgu słuchu Bobbie. Po posiłku do dyrektorki podeszła Grace w towarzystwie Caitlin.

– Doktor Price? – odezwała się Grace głosem prezenterki wiadomości. – Wraz z kilkoma damami – przez co miała na myśli elitki – chciałybyśmy stworzyć ekipę poszukiwawczą dla Sadie. Albo nagrać film z apelem o pomoc i wrzucić go na YouTube.

„Ożeż ty, obłudna harpio – pomyślała Bobbie. – Zrobisz wszystko, żeby się przypodobać”.

– Dziękuję za troskę, Grace – odparła doktor Price. – Wolałabym jednak, żeby sprawą zajęła się policja.

– Dobrze. Proszę dać znać, gdyby potrzebna była jakaś pomoc.

Grace i Caitlin odeszły od głównego stołu, niemalże kłaniając się w pas dyrektorce. Bobbie przewróciła oczami.

Kolejna błyskotliwa zasada obowiązująca w Piper’s Hall, a mianowicie zakaz instalacji bezprzewodowego internetu w pokojach wychowanek, oznaczał, że – gdy tylko posiłek

dobiegł końca i mogły wrócić na górę – Bobbie zmuszona była polegać na niepewnym połączeniu z internetem dostępnym w smartfonie. W końcu udało jej się wyszukać szpital w Seahaven. Naya przysiadła na jej łóżku i z szaleńczym zapałem zaczęła piłować paznokcie, sprawiając wrażenie jeszcze bardziej niespokojnej niż zwykle.

– Znalazłam – oświadczyła Bobbie.

– Co?

– Godziny odwiedzin w szpitalu w Seahaven. Jutro między dziesiątą a dwunastą i czternastą a szesnastą.

– Naprawdę chcesz to zrobić?

– Tak. Nie mam zamiaru siedzieć i czekać, aż obrócę się w pył. Teraz nie ulega już żadnej wątpliwości, że Sadie wiedziała, że coś jest nie tak. Sama widziałaś, jak marnie wczoraj wyglądała.

Naya nie próbowała się sprzeczać, ale przestała piłować paznokcie.

– Jak chcesz się stąd wydostać? Żeby wyjść w tygodniu, potrzebna jest przepustka.

Bobbie wzruszyła ramionami.

– Wszystko mi jedno. Price może mnie co najwyżej wydalić ze szkoły. A jak nie dojdziemy do sedna tego wszystkiego... no cóż, nasz los będzie o wiele gorszy.

Prawy kącik ust Nai powędrował do góry.

– Wiesz co, Bobbie Rowe? Podoba mi się to twoje nowe wcielenie władczej kobiety szpiega. Jest bardzo seksowne.

Bobbie parsknęła śmiechem.

– A mi się wydaje, że za dużo czasu spędziłaś w szkole dla dziewcząt. – Zdjęła kosmetyczkę z kołka zawieszonoego po wewnętrznej stronie drzwi. – Pójdę do łazienki, póki kręci się tam mnóstwo osób. Przeraza mnie to miejsce.

– Dobry pomysł.

Wieczorem o tej porze kolejka do łazienki była czymś zupełnie normalnym i dzień dzisiejszy się pod tym względem nie różnił. Ponury nastrój wypełnił nawet korytarze skrzydła Brontë. W łazience znajdowały się dwie kabiny prysznicowe, ale przed drzwiami czekały dwie dziewczyny oparte o przeciwległe ściany korytarza niczym podpórki na książki. Idealnie. Nie będzie musiała korzystać z prysznic w samotności.

Stojące w kolejce juniorki omawiały półgłosem plotkę, według której do szkoły wdarł się brodaty uciekinier z zakładu zamkniętego, a następnie uprowadził Sadie. Bobbie, czując się od nich starsza i mądrzejsza, zapewniła dziewczyny, że nic takiego się nie wydarzyło, ale przemilczała swoje podejrzenia dotyczące udziału ducha w zaginięciu. Po dziesięciu minutach z łazienki wyszła

dziewczyna, której biodra oraz głowa owinięte były identycznymi ręcznikami, i obwieściła, że prysznic jest już wolny.

Po wejściu do łazienki Bobbie zdjęła szlafrok i weszła do kabiny. Gdy jej sąsiadce dostał się do oka szampon i dziewczyna zaklęła głośno, Bobbie zrobiło się ciepło na sercu. Po raz pierwszy od sześciu lat wizja korzystania z prysznica w towarzystwie innych uczennic wydała jej się niezwykle pociągająca.

Bobbie zaczęła się rozluźniać. Przypomniła jej się okres poprzedzający przyjazd do Piper's Hall, kiedy to większość wieczorów spędzała w towarzystwie niani, bo mama musiała pracować. Była wtedy w stanie zapaść w spokojny sen dopiero, gdy usłyszała, że mama wróciła do domu. Obecna sytuacja przedstawiała się bardzo podobnie; dzięki obecności dziewczyny w kabinie obok mogła się wyluzować. Umyła włosy, nałożyła odżywkę, którą pozostawiła na sugerowane przez producenta pięć minut, a następnie splukała głowę. Napięte jak struny ścięła w jej barkach zaczęły rozluźniać się z trzaskiem.

Dopiero gdy zakręciła wodę, uświadomiła sobie, że z sąsiedniej kabiny nie dobiegają już żadne dźwięki. Druga dziewczyna musiała skończyć i dyskretnie opuścić łazienkę, gdy ona stała

rozmarzona pod prysznicem. Bobbie wzięła się w garść i postanowiła, że nie da się zastraszyć. Wszystko było w porządku. Przebywała w dobrze oświetlonym pomieszczeniu otoczona przez dziesiątki innych dziewczyn. Nic nie mogło się jej przytrafić.

Kap, kap, kap.

Znała ten odgłos. Ciężkie krople, których dźwięk odbijał się echem, sprawiając wrażenie, jakby źródło kapania znajdowało się wszędzie i nigdzie zarazem. Bobbie wytarła się ręcznikiem tak szybko, jak tylko była w stanie, omijając wzrokiem podłużne lustro. Szkło pokryte było parą, a ona wcale nie miała ochoty sprawdzać, co się pod nią kryje. Pamiętała, jak odbicie rozciągnęło się w głąb lustra niczym mroczny tunel.

Kap, kap, kap.

Żarówki zamigotały, zabzyczały i przygasły. Ślizgając się na wilgotnych kafelkach, Bobbie w pośpiechu sięgnęła po szlafrok. Chciała jak najszybciej się stąd wydostać. Zawiązała szlafrok w pasie i wyciągnęła dłoń ku kłamce.

Kap, kap, kap.

Zamarła. Cienka plastikowa zasłonka kabiny po jej prawej stronie została zaciągnięta. Z prysznicza nie leciała woda, ale w środku można było dostrzec czyjaś sylwetkę. Bezwładnie

opuszczone ręce, lekko przechylona głowa, długie włosy opadające na ramiona.

Kap, kap, kap.

– Halo? Penelope, to ty?

Bobbie ścisnęło w gardle. Postać nie odpowiedziała ani nie drgnęła.

W jej głowie rozległ się głos: „Uciekaj! Biegiem!”, ale stopy poniosły ją w kierunku kabiny. Miała już dość zabawy w ciuciubabkę z tajemniczą zjawą.

– Czego ty chcesz? – spytała Bobbie najcichszym z szeptów. – Mary?

Wyciągnęła spoconą drżącą dłoń w kierunku zasłonki.

Za jej plecami drzwi zamknęły się z trzaskiem, odcinając ją od świata.

## Rozdział 10. Intruz

Bobbie przez całe życie nabijała się z dziewczyn mających przesadną skłonność do pisku, ale teraz okazało się, że sama po prostu nigdy wcześniej nie miała do niego wystarczającego powodu. Wrzasnęła. A potem raz jeszcze. Za drugim razem z jej ust wydobyło się również przekleństwo, co zabrzmiało odrobinę bardziej twardejsko. Obróciła się na pięcie w samą porę, by dostrzec, jak znajoma postać zamyka drzwi, a potem przekręca zamek.

– Co, do...?

Caine oparł się o drzwi zasapany.

– O, rany, ostre to było.

Bobbie odwróciła się plecami do prysznicza, zarzucając mokrymi włosami. Odsunęła zasłonkę. Tak jak się spodziewała, kabina była kompletnie pusta – z wyjątkiem mydlin i kilku zbłąkanych włosów. Jej kolejna myśl brzmiała: „Czy przypadkiem nie wystaje mi któryś z sutków?”. Na szczęście nie, ale i tak ciasniej owinęła się szlafrokiem.

– Oszalałeś? Co ty wyprawiasz?

Lampy zamruczały i światło wróciło do

normalności.

– Musiałem się z tobą zobaczyć.

Caine miał na sobie czarną bluzę z naciągniętym na głowę kapturem. Musiał starannie zaplanować wdarcie się do szkoły, skoro wystroił się jak jakiś miejski ninja. „Musiałem się z tobą zobaczyć”. Jak miała to rozumieć? Dostała spory orzech do zgryzienia. Z pewnością nie chodziło mu o... Bobbie poczuła w żołądku coś pośredniego pomiędzy trzepaniem skrzydełek animowanych motyli a mdłościami wywołanymi przez panikę.

– Masz pojęcie, co by się stało, gdyby nas tutaj przyłapano?

– Wyrzuciliby cię ze szkoły? – zgadnął, wzruszając ramionami.

– Nie chodzi mi o doktor Price, tylko o Grace. Urwałyby mi ręce, a potem zatłukła cię nimi na śmierć. – Caine parsknął śmiechem, który chwilę później stłumił. – Caine, czego ty chcesz?

Chłopak zeszywniał, a na jego twarzy odmalowała się nietypowa dla niego powaga.

– Daj spokój, też byłaś na cmentarzu. To był dopiero początek. Dzieją się rzeczy żywcem wyjęte z *Paranormal Activity*.

Bobbie rozdziawiła usta, z których jednocześnie chciało wydobyć się milion różnych pytań. Czyli on



też miał wizje. Całkiem zapomniała, że Caine im wtedy towarzyszył. Ciekawe, co widział. Tornado szalejące w jej głowie ucichło, bo skoro on stał tu teraz i mówił to, co mówił, wszystko musiało dziać się naprawdę. Ot tak, to, co niemożliwe, stało się prawdą.

– Też ją widziałeś.

Nic nie odparł, tylko wyduł wargi i zrobił głęboki wdech przez nos. Słowa nie były potrzebne, bo w jego oczach widać było wyraźnie, jak bardzo jest przestraszony.

– Co myśmy najlepszego zrobili? – wymamrotał w końcu.

Krwawa Mary istniała naprawdę. Ów fakt był przytłaczający, a potwierdzenie go wywoływało jednocześnie zachwyt i przerażenie. Duchy to zwykłe bujdy. Mantra, która wiele razy pomagała jej zapaść w sen, gdy nocą coś skrobało w rurach albo gałęzie drzew ocierały się o okno, nagle straciła sens. Duchy istniały – oboje ją widzieli. Bobbie przeniosła się do świata, w którym wymysły stają się rzeczywistością.

– Co? Gdzie? – Wzięła się w końcu w garść. – Przepraszam, że się nie odezwałam. Mogłam... mogłam poprosić Grace o twój numer.

– Jasne. – Caine uśmiechnął się z przekąsem. – Na pewno chętnie by ci go podała.

Bobbie odwzajemniła uśmiech i panujący w łazience nastrój trochę się poprawił.

– Boże, jak w ogóle udało ci się dostać do środka? Chyba życie ci nie miłe.

– Tą samą drogą co w niedzielę. Widziałem, jak stoisz w kolejce z innymi dziewczynami, i poczekałem, aż zostaniesz sama.

Tajne przejście.

– No cóż, podziwiam twój styl prawdziwego kamikaze, ale nie mogą nas tu nakryć. Nie muszę chyba mówić, że zarzuciliby nas pytaniami. Będziesz musiał pójść ze mną do pokoju.

Jeszcze jeden półuśmieszek.

– To będzie mniej podejrzane?

Bobbie uniosła brew.

– Nie wyobrażaj sobie niewiadomo czego. – Ta, akurat miał taki zamiar. – Naya tam jest.

– Spytałem raz jeszcze... w jaki sposób to poprawi naszą sytuację?

– Och, pozbadź się w końcu nieczystych myśli, młodzieńcze.

Bobbie cmoknęła z udawaną dezaprobatą, a następnie uchyliła drzwi. W korytarzu nie było nikogo, ale drzwi do kilku pokoi były otwarte. Gdzieś z oddali dobiegał piskliwy głos pani Craddock.

– Będziemy musieli biec. Zabawne, że chwilę

wcześniej spędziłam całe pięć minut na przekonywaniu junierek, że nasza szkoła jest niezwykle bezpieczna i żaden obcy mężczyzna nie jest w stanie dostać się do środka.

– Przecież nie jestem obcy.

– Jeśli nas przyłapią, to jesteś, rozumiano?

Zarechotał.

– Zrozumiano.

Z jednego z pokoi wynurzyła się dziewczyna i skierowała do pokoju obok. Bobbie momentalnie zamknęła drzwi, żeby dać jej czas na opuszczenie korytarza.

– Gotowy?

– Mhm.

– Okej. – Bobbie wystawiła głowę na korytarz.

– Gazem.

Puściła się biegiem, wymachując kosmetyczką, a Caine ruszył za nią. Musieli minąć sześćdziesiąt drzwi oraz zakręt. Krew dudniła jej w skroniach. Wbiła wzrok w punkt docelowy, nie wając się zwolnić nawet na sekundę. Rzuciła się na klamkę i wtoczyła do środka.

Przeciągnęła Caine'a przez próg, a potem zatrzasnęła za nimi drzwi, upewniwszy się, że nikt ich nie widział. Nie przyszło jej do głowy, że Naya mogła być naga. Na szczęście jej przyjaciółka obcinała po prostu paznokcie u stóp nad koszem

na śmieci.

Na twarzy Nai odmalował się szok, który chwilę później zamienił się w sprośną minę.

– Roberto Rowe, ty mała kocico.

Bobbie przewróciła oczami.

– On przyszedł porozmawiać o duchu.

– Aa. – Naya momentalnie straciła zainteresowanie.

– Tak. „Aa” to dobry komentarz. Caine... rozgość się.

Chłopak przysunął sobie krzesło od biurka, a Bobbie usiadła na swoim łóżku w najbardziej przyzwoitej pozycji, jaką była w stanie osiągnąć. Frotowy szlafrok pozwalał jej na zajęcie miejsca w co najwyżej dwóch pozycjach, które nie groziły błyskaniem częściami intymnymi. Sytuacji było daleko do ideału. Bobbie wzięła okulary ze stolika nocnego i wsunęła je na nos. Powinna też zrobić coś z włosami, zanim przemienią się w dredy.

Caine rozpiął suwak bluzy i zawiesił ją na oparciu krzesła. Miał na sobie białą koszulkę, która dobrze wiedziała, co powinna opinać. W innych okolicznościach – gdyby Bobbie nie miała wrażenia, że jej głowa za chwilę eksploduje – uznałaby to za niezwykle pociągający widok. W obecnej sytuacji jednak usta, bicepsy oraz dołeczki w policzkach Caine’a (mimo że wszystkie

one pojawiły się jakimś cudem u niej w pokoju) nie były obiektem jej uwagi. Plusem było to, że przestała czuć się w jego towarzystwie niezręcznie i nie zapomniała języka w gębie. Jej wcześniejsza nieśmiałość wydawała się obecnie całkiem niezrozumiała, nie mówiąc o tym, że była oznaką niedojrzałości.

– Co w takim razie się dzieje? – zapytał Caine.

– Wiem tyle co ty. – Bobbie zaczęła rozczesywać splecione włosy. – Ty pierwszy. Co widziałeś?

– Zauważyłem to dopiero dzisiaj. Najpierw myślałem, że mi się przywidziało. Wiesz, że wzrok płata mi figle.

Na wieść o tym, że już dwóm osobom ukazało się coś dziwnego, Naya odzyskała zainteresowanie.

– Mówisz poważnie? Co takiego widziałeś?

– Macie tu lustro? Pokażę wam.

– Pewnie. – Naya zsunęła się z łóżka. – Tu, w szafie.

Otworzyła drzwi, po których wewnętrznej stronie zamontowano lustro. Każdy pokój wyposażony był w identyczną szafę – przepastny drewniany mebel, w którym mieściły się ubrania dwóch albo i trzech dziewcząt.

– Chodźcie zobaczyć.

Caine przeszedł przez pokój, a Bobbie podążyła za nim. W lustrze pojawiło się odbicie ich całej

trójki, tak jak w sobotnią noc.

– Na co konkretnie mam patrzeć? – spytała niewzruszonym tonem Naya.

Caine zaczął ustawiać drzwi szafy pod różnymi kątami, aby uchwycić odbicie różnych części pokoju.

– Hm – mruknął. – Możemy uchylić drzwi wejściowe?

– Nie! Ktoś mógłby cię zobaczyć!

Bobbie przypomniała się ostatnia dziewczyna, której udało się przemyścić chłopca do wnętrza Piper's Hall. Doktor Price ledwo powstrzymała się przed wypaleniem na czole biedaczki szkarłatnej litery.

– Tylko na moment.

Naya westchnęła głośno, ale posłuchała i otworzyła drzwi. Teraz w lustrze widać było także odbicie korytarza ciągnącego się przez skrzydło Brontë. Sprawiał posępne wrażenie, a światło wydobywające się z ich pokoju zalewało jego fragment chorobliwym blaskiem. Bobbie widziała w lustrze ostatnie dwa pokoje oraz wyjście ewakuacyjne.

– Tam – szepnęła zastygły w bezruchu Caine takim tonem, jakby bał się wystraszyć płochliwe zwierzątko. – Widzisz?

– Ale co?

– Spójrz na sam brzeg lustra. W rogu.

Bobbie zmrużyła oczy. Na pierwszy rzut oka nie było na co patrzeć, ale potem przyjrzała się uważniej. W najdalszej części korytarza, tuż przy wyjściu ewakuacyjnym, tak daleko, jak tylko się dało, stała dziewczyna. Tkwiła w idealnym bezruchu przed wejściem do ich pokoju. Na jej skórę padała tylko cienka wiązka bladego światła. Dłonie trzymała złożone przed sobą, a włosy opadały jej na twarz. Bobbie zachłysnęła się powietrzem i odwróciła gwałtownie, wpadając na Caine'a. Prawdziwy korytarz był pusty. Spojrzała z powrotem na odbicie. Ciemnowłosa dziewczyna cofnęła się jeszcze głębiej w mrok, jakby się wystraszyła.

– O Boże.

Caine mocno przytulił Bobbie, a jego ciepłe palce owinęły się wokół jej ramienia. Uścisnął ją, jakby zależało mu tylko na tym, by mu uwierzyła.

– Jest w każdym lustrze. Wystarczy się dokładnie przyjrzeć. – Jego oczy się rozszerzyły. – Poważnie. Widzę ją na poboczach dróg w bocznym lusterku. W witrynach mijanych sklepów. Jest wszędzie.

– O Boże.

Wyglądało na to, że Bobbie nie jest w stanie wydusić z siebie niczego więcej. Czowała smak łez

w gardle – łez strachu, a nie smutku. Dziewczyna w lustrze w dalszym ciągu stała bez ruchu.

– O czym wy mówicie?

Naya wróciła przed lustro. Przesunęła je ku wnętrzu szafy, żeby odbicie sięgało głębiej w korytarz. Mary, jeśli to była ona, cofnęła się przed światłem w mrok. Naya odskoczyła od szafy jak oparzona.

– Nie ma mowy! Kurczę, to niemożliwe!

Zatopiała palce we włosach, jakby chciała wydrapać to wspomnienie z pamięci.

– Cicho – upomniała ją Bobbie, zamykając drzwi do pokoju.

– Przecież to niemożliwe! Jakim cudem widać ją w lustrze, ale nie w...?

Naya odgarnęła włosy z twarzy, która stężała z niepokoju.

– Jak to możliwe? To nie może być prawda.

Bobbie ujęła dłonie przyjaciółki i zaprowadziła ją na łóżko. Jeśli się nie uspokoi, za kilka sekund do ich drzwi zacznie dobijać się pani Craddock. Oczy Nai były wielkie jak spodki, rozbiegane, niezdolne do skupienia wzroku w jednym punkcie.

– Nie wiem. Dojdziemy do tego... jesteśmy coraz bliżej, pamiętasz?

Naya zrobiła głęboki wdech, a następnie uniosła palec o starannie wymanikiowanym



paznokciu, prosząc o głos. Wydawała się balansować na granicy szaleństwa.

– W lustrze jest duch.

Bobbie skinęła głową, a Naya mówiła dalej:

– Chyba do tej pory tak naprawdę w to nie wierzyłam. Naprawdę sądziłam, że Sadie próbuje nas wkręcić.

– Nie, to wszystko prawda. Ona nas obserwuje.

Bobbie odwróciła się do Caine'a. Gdy ich oczy się spotkały, poczuła w końcu, że nie znajduje się sama na tratwie ratunkowej.

– Zupełnie jakby nas śledziła.

Oddech Caine'a zadrżał z ulgi.

– Dobrze przynajmniej, że sobie tego nie wymyśliłem. Na serio myślałem, że zacznam świrować.

Bobbie zaśmiała się słabo, niepewnie.

– Szkoda, że to nie jest po prostu nasze wspólne świrowanie.

– Co tu się właściwie dzieje, do ciężkiej cholery? To nienormalne. W sensie: niemożliwe. Przecież ja nie wierzę w duchy.

Bobbie przekazała Caine'owi skromne informacje, które udało im się zdobyć po południu. Gdy powtarzała je na głos, nie brzmiały zbyt imponująco. Zakończyła wzmianką o przebywającej w Seahaven Bridget Horne.

– Jadę z wami – oświadczył Caine, gdy Bobbie opisała mu plan złożenia tam wizyty.

– Nie możesz – powiedziała Bobbie bez żadnego powodu.

– Czemu nie? Jutro rano mam tylko zajęcia z wiedzy o sporcie. Nikt nawet nie zauważy, że mnie nie ma. Mogę po was przyjechać.

– Masz własny samochód?

– Tak. Właściwie należy do mojej mamy. A wy nie? Myślałem, że wszystkie jesteście dziane.

– Pannom z Piper’s Hall nie wolno jest korzystać z aut na terenie szkoły – odparła Naya, parodiując sztywniacki angielski akcent. W dalszym ciągu siedziała wyprostowana na skraju łóżka, ale na jej policzki zaczęły wracać rumieńce.

W głowie Bobbie wykluwał się plan.

– Posłuchajcie. Nayu, jeśli obie wymkniemy się jutro ze szkoły, wzrośnie prawdopodobieństwo, że zostaniemy nakryte. Jeśli pojedę z Caine’em sama, będziesz mogła mnie kryć, jak ktoś o mnie spyta. Masz coś przeciwko?

– Czy mam coś przeciwko temu, że nie pojedę do psychiatryka rozpytywać o duchy? Hm, niech no się zastanowię... – Naya utkwiała w jej oczach niewzruszone spojrzenie.

– Jesteś super.

– Tak, tylko że to niczego nie załatwia, i tak

będziesz musiała się stąd wyślizgnąć, a w budynku roi się od policji.

– Coś wymyślę. Caine, możesz mnie odebrać ze ścieżki biegnącej wzdłuż klifu około dziewiątej?

– Pewnie.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Cała trójka zamarła i wbiła w nie wzrok.

– Dziewczęta, tu pani Craddock. Mogę wejść?

## Rozdział 11. Damskie pogaduchy

– Schowaj się – szepnęła Bobbie, rzucając się do drzwi. – Proszę chwilkę poczekać!

– Dlaczego? – W dobiegającym zza drzwi głosie momentalnie zaczęła pobrzmiwać podejrzliwość. Klamka drgnęła, ale Bobbie naparła na drzwi. – Wpuść mnie, proszę.

– Włącz do szafy! – syknęła Naya do Caine'a.

– Nie ma mowy! W środku jest lustro!

– Dziewczęta! Co tam wyprawiacie? Nie jestem dziś w nastroju na figle, czuję, że zaraz dostanę migreny.

– Bobbie jest nieubrana! – zawołała Naya.

– Wielkie dzięki, Nayu.

– Taki widok to dla mnie nie pierwszyzna! Proszę mnie wpuścić.

– Caine, nie mamy wyboru, nie ma tu innych kryjówek – poprosiła Bobbie szeptem. Ich materace ułożone były na drewnianych podstawach i ukrycie się tam nie było możliwe.

Chłopak zacisnął szczęki i zmarszczył brwi. Otworzył szafę, mamrocząc przekleństwa, a następnie ustawił się w jej wnętrzu pośród porzucanych na dnie butów.

– Wybacz... – mruknęła Naya, zamykając go w środku.

Caine mocno zacisnął powieki i otuliła go ciemność. Znajdował się teraz sam na sam z *nią*.

Bobbie skinęła głową i otworzyła drzwi.

– Co to znowu za wygłupy? – spytała gniewnie pani Craddock, wchodząc do środka. – Dziś wieczorem gasimy światła wcześniej, drogie panie. Na prośbę doktor Price.

Naya jęknęła, ale kobieta mówiła dalej:

– Skorzystajcie teraz z łazienki, a potem możecie sobie czytać, byle byście nie wychodziły z pokoju. Nie muszę chyba wyjaśniać dlaczego.

Szafa zachybotła się lekko. Naya udała, że potyka się o powietrze i wpadła na nią, jednak nie wyszło to tak naturalnie, jakby życzyła sobie tego Bobbie. Pani Craddock nie wyglądała na przekonaną. Biedny Caine – co się działo w środku? Co widział, stojąc zaledwie kilka centymetrów od lustra?

Zanim go stamtąd wyciągną, musiała zrobić jeszcze jedną rzecz. Bobbie opadła na łóżko, ciężko wzdychając.

– Wszystko w porządku, Roberto?

– Okropnie się czuję... Mam straszną biegunkę.

Bobbie już w bardzo młodym wieku zdała sobie sprawę, że nikt nie kwestionuje biegunki – kto

miałby ochotę sprawdzać, co ktoś inny wyprawiał w ubikacji? Owa przypadłość stanowiła wymówkę idealną.

– Pewnie coś zjadłam.

Pani Craddock niejednokrotnie w swojej karierze spotkała się z przypadkami rozwolnienia i wymiotów, więc informacja ta nie zrobiła na niej wielkiego wrażenia.

– Ojej. Byłaś w ubikacji więcej niż raz?

Bobbie dobrze wiedziała, jak należy to rozegrać.

– Tak. Poszłam raz, a chwilę później musiałam wrócić.

– Zwracałaś?

– Nie, ale mam mdłości. – Bobbie wołała nie przesadzić.

– Biedactwo. Pij dużo wody. Naya, miej ją na oku i zawołaj mnie, gdyby jej stan się pogorszył.

– Tak, proszę pani. – Wychowawczynie odwróciła się już ku drzwiom. – Rzecz jasna, jeśli będziesz musiała skorzystać z toalety, możesz to zrobić, ale poza tym bardzo proszę, żebyście nie opuszczały pokoju.

– Tak, proszę pani.

Gdy tylko za panią Craddock zamknęły się drzwi, z szafy wytoczył się Caine.

– Ciii! – Naya złapała go w ramiona.

– Nic ci nie jest? – zapytała Bobbie, zrywając się

z łóżka.

– Widziałem ją. Tuż za mną, w szafie.

Spojrzenie miał dzikie, a na jego ciemnej skórze lśniły kropelki potu.

– Ona nie jest prawdziwa – powiedziała Bobbie, chociaż sama nie była co do tego przekonana. – To tylko odbicie.

Caine spuścił wzrok – ze wstydu albo ze strachu.

– Wyglądała na prawdziwą. – Caine chwycił swoją bluzę i zacisnął dłonie w pięści. Jego wargi pobrały. – Ona chce nas dopaść.

\*\*\*

Odczekali jakieś dziesięć minut, żeby mieć pewność, że pani Craddock zakończy obchód, zanim wyprowadzą Caine'a z pokoju. Bobbie odprowadziła go do tajnego przejścia, a Naya stała na czatach. Na szczęście okazało się, że ostrzeżenie wystosowane przez doktor Price – albo strach przed uzbrojonym w siekiere zbiegiem z zakładu zamkniętego – sprawiło, że wychowanki Piper's Hall wolały skryć się w zaciszu swych pokoi, i nikt nie zakłócił ich potajemnej eskapady do ukrytych nieopodal schodów drzwi.

Caine otworzył je, a potem odwrócił się do Bobbie.

– Gdyby nie porąbana sytuacja, to byłoby

całkiem fajne.

– Co? Te przejścia?

– Mhm. Nie mamy takich w Radley!

– W teatrze też jest jedno – żeby służący mogli donosić drinki, gdy była tam jeszcze sala balowa. Podobno są tam i kryjówki dla duchownych.

Caine zmarszczył czoło.

– Co takiego? A po kiego im były kryjówki?

– Nie uczą was historii w Radley? – spytała Bobbie z uśmiechem.

– Osobiście wolę geografię.

– Kiedyś katolicyzm był nielegalny. Pierwsi właściciele budynku sympatyzowali z wyznawcami tej religii, więc stworzyli w nim kryjówki dla księży uciekinierów. Przynajmniej tak głosi legenda. Jednak do tej pory nie widziałam na to żadnych dowodów.

Bobbie wzruszyła ramionami.

– Serio, wasza szkoła jest o wiele fajniejsza od mojej – stwierdził Caine.

Przez okno wpadał kremowy blask księżycy, który oświetlił kości policzkowe i wargi Caine'a, momentalnie wymazując Krwawą Mary z pamięci Bobbie.

– No dobrze – powiedziała, mocniej okręcając się paskiem od szlafroka. – Na pewno trafisz do wyjścia?



– Zaklinowałem drzwi do kuchni kamieniem.

– To takich rzeczy uczyli was w Croydon? – spytała Bobbie, nie mogąc się powstrzymać, a w zamian Caine obdarzył ją promiennym uśmiechem.

– Ej! Kto ci pozwolił nabijać się z ziomali z Croydon! – Wyszczrzył zęby. – Nie-e. To zwykła dziura. Wolę już mieszkać tutaj, na zadupiu.

Zapadła długa cisza. Pewnie nie była wcale aż tak długa, ale Bobbie wydawało się, że trwa bez końca. Wiedziała, że momenty pożegnań takie jak ten należy czymś wypełnić. Nie wiedziała jednak, co ma zrobić czy powiedzieć. Gdyby byli postaciami w jednym z jej opowiadań, główna bohaterka – zakręcona hipsterka z problemami, którą każdy facet pragnął ratować – wyrzuciłaby z siebie coś głębokiego albo przynajmniej uroczonego. Ale nie – jej nic nie przychodziło do głowy, co nader dobitnie udowodniało, że prawdziwa Bobbie Rowe nie mogła pochwalić się ani atrakcyjnością panienki z rozkładówki, ani rozbajającym poczuciem humoru. Super.

– Czyli co, widzimy się rano? – Nie potrafiła wydusić z siebie nic więcej.

– Ta.

Caine wypuścił powietrze z płuc, jakby sam również na chwilę znalazł się w stanie anabiozy.

A może znowu zadziałała jej wybujała wyobraźnia?

– No to słodkich snów.

– Tak, to niezwykle prawdopodobne. – Bobbie się skrzywiła.

Caine wślizgnął się do wnętrza tajnego korytarza, oświetlając sobie drogę telefonem komórkowym.

– Myśl o czymś przyjemnym. Albo po prostu do mnie zadzwoń, masz mój numer.

Bobbie nie była do końca pewna, ale wydawało jej się, że doświadczyła właśnie pierwszego w życiu romantycznego uniesienia. To znaczy, jeśli uczucie owe przypomina tsunami z shake'a truskawkowego, powstałe gdzieś w stopach, a następnie równające z ziemią wszystko na drodze do głowy. Musiała złapać się drzwi, żeby nie upaść.

– Nie będę wyłączać telefonu, na wypadek gdybyś to ty zaczął się bać – odparła.

„Nieźle zagranie” – pochwaliła się w myśli.

Caine zarechotał i zniknął na schodach dla służby.

Zgodnie z poradą myślała o czymś przyjemnym. Przez całą drogę powrotną do swojego pokoju odtwarzała w głowie scenę pożegnania, wyciskając owo wspomnienie do cna. Teraz, gdy zniknęła już presja czasu, była w stanie wymyślić z pięćdziesiąt

zabawno-uroczo-seksowno-błyskotliwych tekstów na pożegnanie. Jasny gwint.

Po powrocie do pokoju Bobbie zastała Nayę siedzącą niespokojnie na brzegu łóżka. Gdy tylko weszła do środka, Naya zerwała się z łóżka i chwyciła ją za ramię.

– Boże święty, co tak długo, nie zostawiaj mnie więcej samej!

– Wybacz, musiałam się upewnić, że Caine’owi uda się wyjść.

Naya wyduła wargi.

– Wiadomo! Przez całą drogę trzymaliście się za rączki?

Bobbie poczuła, że nie jest w stanie spojrzeć przyjaciółce w oczy.

– Nie... wcale nie o to chodzi.

– Posłuchaj, w normalnych warunkach nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś spędziła z jakimś chłopcem całą noc, tylko że – halo, halo – mamy problem z duchem dziewczyny w lustrze!

Bobbie wzięła głęboki oddech.

– Przecież wiem.

– Bob, mogę dzisiaj spać z tobą?

W oczach Nai płonął strach; miała nerwy w strzępach i była na skraju załamania.

– Oczywiście. Zostawimy też włączone światło. Na całą noc, jeśli będziesz chciała.

W kącikach oczu Nai zalśniły łzy.

– Dziękuję.

Przez jakiś czas odwracały swoją uwagę od sytuacji, obmawiając Grace, aż w końcu Naya zasnęła i Bobbie dobiegł dźwięk jej pochrapywania. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że obok niej leży Caine. Nie wiedziała, skąd wziął się ten pomysł, ale spodobał jej się. I to bardzo.

Wtedy jednak w jej głowie pojawiły się myśli dotyczące Sadie i poczuła wyrzuty sumienia związane z tym, że jest szczęśliwa. Bobbie zaczęła się zastanawiać, przez co muszą przechodzić biedni rodzice i siostry dziewczyny. Pewnie odchodzili od zmysłów z niepokoju. Użyła myśli dotyczących Caine'a, żeby zablokować te związane z Sadie, ale to tylko wzmocniło jej wyrzuty sumienia.

Tak bardzo zatraciła się w rozmyślaniach, że dopiero po chwili uświadomiła sobie, że śni. Sen był do tego stopnia sugestywny, że miała wrażenie, iż wcale nie śpi, tym bardziej że nie pamiętała momentu zapadania w niego.

W damskiej toalecie na parterze unosił się przyprawiający o odruch wymiotny zapach środka dezynfekującego. Bobbie przycupnęła na desce klozetowej z kolanami wsuniętymi pod brodę. Znowu ubrana była w staromodny, mocno nakrochmalony mundurek. Na łydki naciągnięte

miała drapiące wełniane skarpety, a na stopach brzydkie podkute buciki.

Bobbie była wystraszona, chociaż nie wiedziała dlaczego. Ukrywała się w kabinie toaletowej.

Chwilę później się zorientowała. Dobiegł ją niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek innym rechot wrednych dziewczuch. Nawet w tamtych czasach brzmiał tak samo jak dziś. Okrutny, nieczuły, drwiący śmiech dziewczyn, które próbują się nawzajem przebić w uszczypliwościach. Nie była sama w toalecie.

– Słyszałyście kiedyś, żeby cokolwiek powiedziała?

– Chyba nie potrafi! Może jest głuchoniema.

– Dajcie jej spokój, jest nowa – odezwał się trzeci, życzliwszy głos.

– Oj, nie bądź taką lizuską, Judy. Przecież ona jest jakaś niedorozwinięta.

Bobbie siedziała tak nieruchomo, jak tylko była w stanie. Zdawała sobie sprawę z dwóch rzeczy: dziewczyny rozmawiały o niej, a ona wolałaby skonać niż zostać przez nie nakryta.

– W Oxsley cieszy się wątpliwą reputacją.

– Skąd wiesz? – spytała Judy.

– To mięscina, w której wszyscy są ze sobą spokrewnieni! I wszyscy się znają!

Bobbie wyobraziła sobie, jak mizdrzą się przed

lustrem, układając usta w dzióbek – dokładnie tak, jak robiły to Grace i Caitlin.

– Wiecie, że ona jest bękartem, prawda?

Obrażliwe określenie zostało wyszeptane z żądnym skandalu zachwytem.

– Niemożliwe! – odparła druga z dziewczyn, która wydawała się tępotą dorównywać Caitlin.

– To szczerą prawdą. Zdziwiłabym się, gdyby zdzira, która ją urodziła, w ogóle wiedziała, kim był ojciec.

– Susan, to, co mówisz, jest odrażające! – zbesztła ją Judy.

Na rąbku spódnicy Bobbie rozkwitła plama stworzona przez łyzy wsiąkające w grafitową tkaninę. Podłe słowa dotknęły ją do żywego.

– Przestań być taka naiwna! – zawołała Susan.

– Wszyscy wiedzą, że uczęszcza tu za darmo, jej matka nie płaci ani pensa.

– Bo zaliczyła egzamin wstępny... – oponowała na próżno Judy.

– A ja słyszałam, że w liceum w Radley nie wiedzieli, co z nią począć – odezwała się ta tępa dziewczyna.

– Jesteście okropne.

– Na Boga, Judy, skoro tak bardzo ją lubisz, to może zostańcie najlepszymi przyjaciółkami – zadrwiła z niej Susan.

Zapadła cisza.

– Nie, dziękuję – odrzekła w końcu Judy. – Ona jest taka dziwna. Przeraza mnie.

Trzy dziewczęta parsknęły wrednym dziewczynskim śmiechem.

Bobbie obudziła się w swoim łóżku. Ogrzewanie nie zostało jeszcze włączone, więc w pokoju panował chłód, który zmieniał jej oddech w mgiełkę. Do świtu zostało jeszcze kilka dobrych godzin, a poduszka była mokra od łez.

Dzień trzeci



## Rozdział 12. Oddział zamknięty

Jeszcze długo po przebudzeniu nie mogła otrząsnąć się ze smutku wywołanego przez sen. Przypominał ciężki szary szal oplatający jej ramiona. Bobbie wsunęła się głębiej pod kołdrę, chowając się przed światłem dziennym. Boże, jak ona nie znosiła wtorków. Zawsze uważała, że poniedziałki niosą ze sobą obietnicę wspaniałego tygodnia, ale wraz z nastaniem wtorku wrażenie to znikało i pozostawała jedynie świadomość tego, jak daleko było jeszcze do weekendu. Miała przeczucie, że ten konkretny wtorek okaże się jeszcze bardziej męczący niż inne.

Bobbie zamknęła oczy, po raz kolejny doświadczając ukłucia żalu. Skoro Mary była w Piper's Hall obiektem tego typu szykan, wyjaśniało to choć częściowo, dlaczego jej duch tu pozostał. Z tego, co Bobbie wiedziała, wiele osób uważało, że zjawy to dusze zmarłych, którzy nie zdążyli czegoś załatwić do końca. Rozpaczliwie czepiały się tego świata eterycznymi palcami, bo nie chciały jeszcze ruszyć dalej.

Rezultatem było otwarcie istnej puszkii Pandory, a Bobbie stanowczo nie miała czasu na radzenie

sobie teraz z jej zawartością.

Przypomniała jej się historia opowiedziana przez Sadie, zgodnie z którą Mary popełniła samobójstwo w toalecie. Okrutny dziewczynski rehot do tej pory przyprawiał ją o ciarki na plecach. Nic dziwnego, że po paru latach Mary targnęła się na swoje życie. Bobbie czuła się nieszczęśliwa i pozbawiona nadziei, a nie były to przecież jej wspomnienia. Jeśli założyć, że Mary faktycznie się zabiła, jakich to spraw nie udało jej się doprowadzić do końca? Czyżby ich trójka miała się nimi zająć w jej imieniu? Bobbie westchnęła. Gdy ktoś popełnia samobójstwo, niewykorzystany potencjał tej osoby sprawia, że zostają po niej tylko i wyłącznie niedokończone sprawy.

Strzępki przeszłości Mary, które miała okazję ujrzeć, wiele mówiły, ale w żaden sposób nie wyjaśniały losu, który spotkał Sadie, ani tego, co miało się z nimi stać w czwartek. A czas pędził jak szalony.

Była już prawie pora na spotkanie z Caine'em. Ósma trzydzieści pięć. Bobbie skopała z siebie kołdrę. Pani Craddock zdążyła już do niej zajrzeć i udzielić pozwolenia na pozostanie w łóżku. Bobbie odegrała przed kobietą męczenniczkę, mówiąc: „Nie, nie, nic mi nie będzie, muszę tylko wziąć prysznic i może coś przekąsić”, a wtedy pani

Craddock oznajmiła, że Bobbie jest zdecydowanie za słaba, żeby brać udział w lekcjach.

Mogło jej się upiec, o ile pani Craddock nie wróci, żeby sprawdzić, jak się miewa. Przed nią było już tylko najtrudniejsze zadanie, czyli wymknięcie się z Piper's Hall.

Szybko się ubrała. Musiała przyznać, że przebranie było genialne. Włosy związała na czubku głowy w nonszalancki kok, odszukała buty do jazdy konnej i pożyczyła należącą do Nai kurtkę firmy Barbour. Wisienką na torcie były ogromne, upodabiające ją do owada okulary przeciwsłoneczne oraz apaszka od Alexandra McQueena. Do złudzenia przypominała uwielbiającą konie mamuszkę, która podwiozła właśnie córeczkę juniorkę pod wejście do szkoły. Grono uczniowskie Piper's Hall w jakichś dwudziestu procentach składało się z wychowanek mieszkających poza internatem. W nieoficjalnej hierarchii zajmowały one najniższe z możliwych miejsc i przeważnie trzymały się razem. Zgodnie z powszechną w szkole opinią tylko dziewczęta wystarczająco twarde, żeby obyć się bez rodziców i domowych posiłków, były godne określać się mianem wychowanek Piper's Hall.

Dzwonek poprzedzający sprawdzanie obecności zabrzączy o ósmej pięćdziesiąt pięć. Była to jedyna

pora dnia, gdy ludzie wchodzili i wychodzili ze szkoły bez żadnego nadzoru. Teraz albo nigdy.

Po skrzydle Brontë kręciło się kilka dziewczyn, które zbierały potrzebne im na zajęcia rzeczy albo przebierały się w mundurki po zjedzeniu śniadania. Przechadzanie się po szkole w przebraniu było zbyt ryzykowne. Bobbie raz jeszcze przemyślała sytuację i wyjście ewakuacyjne wydało jej się lepszym wariantem niż tajne przejście, bo pozwoliłoby jej ominąć kuchnię, gdzie personel sprzątał właśnie po śniadaniu. Skorzysta zatem z wyjścia ewakuacyjnego. Był tylko jeden problem: wszystkie one były połączone z alarmem. Jednak tępe dziewczuchy wpadały na dzwignię opatrzoną napisem „Pchnąć” z tak dużą częstotliwością, że i nauczycielom, i pani Craddock nie chciało się już tego badać za każdym razem. Alarm milkł, gdy tylko zamknęły się drzwi. Przynajmniej Bobbie miała taką nadzieję.

Korytarz wyglądał na pusty, więc podreptała na paluszkach w kierunku wyjścia. Zacisnęła zęby. Czas był kwestią kluczową. Musiała pokonać ciągnące się przez trzy piętra głośnie chybotliwe schody, zanim ktoś zwróci uwagę na alarm i przyłapie ją na gorącym uczynku. No dalej, Bobbie. Szybko i bezszelestnie. Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi przeciwpożarowe.

Skrzydło Brontë wypełnił dźwięk alarmu – nieprzyjemny niski dźwięk przypominający bzyczenie wściekłej pszczoły – ale Bobbie się nie obejrzała. Zaczęła zbiegać po dwa stopnie naraz, poddając się sile grawitacji, a jej dłoń gładko ześlizgiwała się po wilgotnej żelaznej poręczy. Nie zastanawiała się, ile par oczu może w tej chwili przyglądać się jej przez okna, obok których przemykała. Przy odrobinie szczęścia będzie dla nich tylko smugą.

Alarm umilkł. Bobbie przycisnęła plecy do ściany. Spojrzała do góry przez szparę między metalowymi stopniami. Nikt nie zajrzał do wyjścia ewakuacyjnego. Idealnie. Tak jak miała nadzieję, ktoś mieszkający w tym samym korytarzu co ona (pewnie biedaczka, której pokój sąsiadował z wyjściem ewakuacyjnym) musiał po prostu zamknąć drzwi. Bobbie wydała z siebie drżące westchnienie ulgi. Zaczęła schodzić dalej. Po dotarciu na dół rozejrzała się, żeby zorientować się w położeniu. Znajdowała się na pozbawionym konkretnej funkcji trawniku rosnącym tuż obok parkingu dla personelu. Oby tylko wszyscy nauczyciele znajdowali się już w środku. Ruszyła w kierunku głównego wejścia, trzymając się blisko ścian, ale unikając okien.

Może te wszystkie powieści o dziewczynach

z internatu, które zostawały szpiegami, nie były jednak stratą czasu.

Przed szkołą znajdował się podjazd o kształcie obwarzanka z fontanną w środku stworzony, żeby umożliwić odstawianie uczennic pod główne wejście. Same dziewczęta wchodziły do środka przez niepozorne drzwi mieszczące się w starej części budynku, podczas gdy masywne podwójne drzwi strzeżone przez dwa nadąsane kamienne lwy przeznaczone były wyłącznie dla gości.

Większość rodziców (lub niań) odgrywało tylko rolę szoferów, którzy zatrzymywali na moment swoje bmw lub mercedesy, żeby pozbyć się wiezionego przez siebie potomstwa, ale niektórzy odprowadzali córki do wnętrza budynku. Bobbie zdawała sobie sprawę, że wyglądałaby jeszcze bardziej przekonująco, gdyby miała ze sobą psa, gdyż wielu rodziców łączyło spacer w kierunku szkoły z wyprowadzaniem zwierzęcia.

Jak gdyby nigdy nic podążyła za trzema matkami, które chwilę wcześniej wynurzyły się z wejścia dla gości. Prawdopodobnie przyjechały zapłacić karę biblioteczną albo kupić bilety na recital fortepianowy. W każdym razie wyszło to idealnie – nawet ubrana była w podobnym do nich stylu. Gdy zaczęły zbliżać się do końca podjazdu, wyprzedziła je, a złowieszczy budynek za jej

plecami z każdym krokiem stawał się coraz mniejszy. Przechodząc przez ozdobioną wijącymi się ornamentami bramę z kutego żelaza, Bobbie uświadomiła sobie, że ma zawroty głowy od wstrzymywania oddechu.

Udało się. Była wolna.

Daleko w dole fale rozbijały się o skały – najpierw rozlegał się ich ryk, a potem woda cofała się, z dygotem sunąc po kamykach. Przy bramce obrotowej prowadzącej na plażę stał poobijany fiat, którego jedne drzwi polakierowane były na inny odcień czerwieni niż reszta karoserii. To musiał być samochód Caine’a. Przebiegła przez szosę i ujrzała dwie sylwetki na przednich siedzeniach – Caine’a i Marka. A ten co tu robił?

Bobbie zastukała w okno i Caine obrócił się, żeby otworzyć dla niej tylne drzwi.

– Niezły kostium – rzucił, mierząc ją wzrokiem.  
– Tyle że Halloween było w zeszłym tygodniu, pamiętasz?

– Bardzo śmieszne. To tylko przebranie i do tego skuteczne. Cześć, Marku, nie obraź się, ale po co właściwie przyjechałeś?

Masywniejszy z chłopców przewrócił oczami, a Caine odpowiedział za niego:

– Mojej mamie potrzebny jest dzisiaj samochód. Mark był wolny, więc zaproponował, że nas

podwiezie.

– Aha. Okej.

– Tak jest, dzisiaj zabawiam się w taksówkarza. Chyba mi odbiło, że marnuję wolny czas na wycieczkę do wariatkowa. Powiniennem jeszcze spać.

Mark obejrzał się przez ramię, wyjechał na drogę i ruszył w kierunku Oxsley. Korci o tej porze dnia były potworne – podróż mogła im zająć wieki.

– No trudno.

Caine usiadł bokiem, żeby móc rozmawiać z nimi obojgiem. Dziś miał na sobie stary, ale ładny skejterski sweter. Głębokie bordo idealnie komponowało się z jego ciemną karnacją.

– Musisz to zobaczyć – zwrócił się do Bobbie.

– Co?

– Stary, gdzie masz telefon? – spytał Marka.

– W spodniach. Tylko uważaj, czego dotykasz.

– Możesz sobie pomarzyć.

Caine ostrożnie wy dobył iPhone'a z kieszeni kierującego autem Marka.

– To film, który nakręcił Mark, gdy wydurnialiśmy się przed lustrem.

– Powiedziałaś mu?

Skóra Bobbie nagle stała się rozpalona. Nie przypadła jej do gustu myśl, że w sprawę miało zostać wciągniętych więcej osób, i – jeśli miała być



całkiem szczerą – podobało jej się dzielenie sekretu tylko z Caine’em.

– Nie musiałem. Spójrz.

Podał jej gotowy do odtworzenia nagrania telefon, musiała tylko wcisnąć play.

Nie miała najmniejszej ochoty tego oglądać, ale wiedziała, że nie ma wyboru. Musnęła palcem ekran i czekała, aż rozpocznie się film. Było coś surrealistycznego w przyglądaniu się sobie z boku. Wydarzenia utrwalone w jej pamięci cechował o wiele większy dramatyzm, ale na nagraniu widać było po prostu, jak stoją we trójkę w niewielkiej, pogrążonej w półmroku łazience. Oświetlał ich blask migoczących płomyków świec, ale nie była w stanie dostrzec niczego więcej. Można się było jedynie domyślać, że w lustrze widoczne są ich odbicia. Dźwięk był lepszy. Usłyszała, jak chichoczą, gdy po raz pierwszy puściły im nerwy.

Następnie zaczęło się prawdziwe przedstawienie. Wszyscy troje powiedzieli: „Krwawa Mary”, patrząc prosto w lustro. Nastąpiła chwila ciszy, po której powtórzyli ów refren. Jak mogli być tak durni? Siedząc w samochodzie, Bobbie zastanawiała się, skąd właściwie przyszło jej wtedy do głowy, że jest niezniszczalna. Myślała o dziewczętach z jej rocznika, które piły, paliły i obżerały się świństwami, jakby z racji młodego

wieku nic nie mogło im się stać. Wszystkie one zakładały, że tragedie przytrafiają się tylko innym osobom – tym w podeszłym wieku. A ona okazała się równie głupia jak one. Zagrali w rosyjską ruletkę i trafiła im się kula.

Gdy powtórzyli imię Krwawej Mary po raz piąty, Bobbie zaczęła uważniej przyglądać się nagraniu. Płomyki świec zamigotały i na sekundę zapadła prawie całkowita ciemność. Łazienkę wypełniła cisza, chwilę później przerwana przez wybuch histerycznego śmiechu. Bobbie trzymała telefon przed samym nosem, rozpaczliwie wypatrując dziewczyny w lustrze, a jednocześnie bojąc się ujrzeć jej twarz.

– Nic nie widzę.

– Bo nie o to chodzi. Musisz się wsłuchać – wyjaśnił Caine.

Wyciągnął dłoń i podgłośnił telefon. Śmiech i trajkotanie stały się wyraźniejsze.

– Słyszysz to? – spytał.

– Nas?

– Nie. W tle.

Bobbie pokręciła głową, a Caine przysunął głośnik telefonu do jej ucha. I wtedy usłyszała. Zza ich chichotu dobiegał płacz dziecka. Dźwięk był nikły, ale rozpoznawalny. Dziecko dosłownie wyło, a jego wrzaski odbijały jej się echem w czaszce.

W dźwięku zanoszącego się płaczem niemowlęcia jest coś, co sprawia, że instynktownie chcesz je uspokoić. Nikt nie jest w stanie znieść równie rozdzierającego wyrazu rozpacz.

– O mój Boże. – Bobbie zatrzymała nagranie. – To niemożliwe.

– Czy w szkole mogło znajdować się wtedy niemowlę? – spytał Caine.

– No cóż, jedna z dziewczyn ostatnio urodziła, no i mamy specjalne skrzydło dla matek z dziećmi – odparła Bobbie z kamienną miną.

– Serio?

– A jak myślisz? Przecież żartuję! – Bobbie uśmiechnęła się, a Caine odpowiedział jej tym samym. Uroczą była ta jego łatwowierność. – W Piper’s Hall nie ma żadnych niemowląt. Ono... nie mogło być prawdziwe... To jej dziecko.

Mark pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Wiecie co, wydaje mi się, że nawzajem się nakręcacie. Nie kupuję tych bzdur o Lasce w Czerni.

Bobbie spojrzała na Caine’a, który posłał jej pełne współczucia spojrzenie.

– To wszystko prawda – oznajmiła. – Zeszłej nocy miałam kolejny sen. O niej. Wydaje mi się, że ona próbuje mi wyjaśnić, dlaczego się zabiła.

Caine zmarszczył brwi i wyprostował się

w fotelu.

– No co? – spytała.

– Nic – odparł. – Tyle że... też miewam ostatnio dziwne sny.

Bobbie pochyliła się do przodu i objęła oparcie jego fotela.

– O czym?

– Nie wiem. O... chyba wolę nie mówić.

Mark odchylił się w fotelu kierowcy, zanosząc się śmiechem.

– Coś takiego! Miałeś świński sen! Stary, musisz go nam opowiedzieć!

Ciemnej karnacji Caine'a nie udało się zamaskować rumieńca, którym oblały się jego policzki. Nic nie odpowiedział.

– Caine, to może być ważne... – powiedziała Bobbie, mimo że nagle poczuła ukłucie całkowicie irracjonalnej zazdrości wymierzonej w dziewczynę z jego snu.

– Wiecie co? – odezwał się w końcu Caine. – Nie potrafiłbym tego opisać, nawet gdybym chciał. Czuję się kompletnie zamroczony... W tym śnie byłem jednocześnie kimś innym i obserwowałem to wszystko z boku.

– Też się tak czułam.

Mark nie przestawał rechotać.

– No ale co, stary... ostro było?

Caine nic już nie rzekł, ale przez wargi przemknął mu wstydlivy uśmiezek, a Bobbie już po raz drugi w życiu doświadczyła romantycznego uniesienia.

\*\*\*

Szpital w Seahaven niewiele różnił się wyglądem od Piper's Hall, może z wyjątkiem tego, że budynek ów stał na skraju lasu, przez co sprawiał jeszcze bardziej złowieszcze wrażenie. Gdy Mark skręcił w długą, otoczoną dębami drogę, Bobbie zaczęły przypominać się sceny z *Lśnienia* i *The Wolves of Willoughby Chase*. Wtedy przyszło jej do głowy, że może przyjazd tutaj nie był wcale dobrym pomysłem.

W końcu zza drzew wyłonił się sam szpital. Sędziwej budowli wszczepiono nowoczesne elementy, takie jak lśniące metalowe poręcze czy rozsuwane drzwi, jednak i one nie były w stanie nadać budynkowi zachęcającego wyglądu.

Mark przejechał obok zatoczki dla karetek, a następnie podążył za strzałkami wskazującymi drogę na oddział psychiatryczny imienia Charity Sawyer. Ta część szpitala znajdowała się za głównym budynkiem i miała kształt sześcianu, którego ściany wypełnione były rzędami kwadratowych okien. W zasięgu wzroku nie dało się dostrzec ani jednej zakrzywionej krawędzi.

„Pewnie po to, żeby nie drażnić szaleńców” – pomyślała Bobbie.

– Muszę wrócić do szkoły na drugą lekcję. Jeśli chcecie, mogę po was później przyjechać.

– Nie, spoko, pojedziemy do Oxsley autobusem – powiedział Caine, a Bobbie przytaknęła, kiwając głową.

Na tym etapie była do tego stopnia zdenerwowana, że w gardle czuła gorzki smak żółci. To już nie zabawa ani żadne tam młodzieńcze psoty, tylko nad wyraz poważna sprawa – mieli zamiar włamać się do szpitala, żeby przesłuchać chorą psychicznie osobę.

Na tym jednak polegał cały problem. Co, jeśli Bridget Horne wcale nie była chora? Albo była, a oni cierpieli na halucynacje? Bobbie żałowała, że przed wyjściem ze szkoły niczego nie zjadła, bo czuła się teraz, jakby jej ciało zostało wydrążone w środku niczym nadgniłe już dynie pozostałe z Halloween.

– Wszystko okej? – spytał Caine, wyczuwając jej niepokój.

– Niezupełnie. Za coś takiego możemy wpaść w porządne tarapaty. A co, jeśli ktoś wezwie policję?

Pokręcił głową.

– Tylko kogoś odwiedzamy. Prawo tego nie

zabrania.

Bobbie skinęła głową, starając się wchłonąć część jego opanowania przez osmozę. Caine wysiadł z samochodu, a ona podążyła za nim, wygładzając ubranie. W trakcie jazdy rozpuściła włosy i zamieniła okulary przeciwsłoneczne na zwykłe.

– Tylko składamy komuś wizytę – powiedziała Bobbie po części do Caine’a, a po części do siebie.

Mark ruszył w drogę powrotną do liceum w Radley, zostawiając ich samych przed wejściem do szpitala psychiatrycznego. Było tu zaskakująco cicho. Bobbie oczekiwała chyba widoku zawodzących wariatów wijących się w okowach kaftanów bezpieczeństwa, mimo że wiedziała przecież, iż to wizja zaszczerpiona w jej głowie przez programy telewizyjne.

Na asfalcie rozbiło się kilka pierwszych kropel deszczu.

– Chodźmy do środka. – Caine otoczył ją ramieniem i poprowadził w kierunku schodów.

Automatyczne drzwi rozsunęły się przed nimi, ukazując recepcję, która nie różniła się od tego, co można było zastać w typowej przychodni: biurko, kilka jasnoniebieskich wyściełanych krzeseł, wyblakłe plakaty ostrzegające, że jedna na cztery osoby doświadczy w życiu zaburzeń psychicznych.

Jedyna różnica polegała na tym, że to pomieszczenie było strzeżone. Dostępu do pozostałych części budynku broniły zamknięte szczelnie drzwi, obok których stał mężczyzna w uniformie.

Bobbie zmusiła się, żeby obdarzyć recepcjonistkę uśmiechem.

– Dzień dobry, przyjechaliśmy odwiedzić Bridget Horne.

Recepcjonistka, otyła kobieta o czerwonej twarzy w niemożliwym do określenia wieku, od której biła słono-kwaśna woń, stuknęła akurat w klawiaturę komputera.

– Dobrze, słoneczko. Pojedźcie windą na trzecie piętro, jest tam poczekalnia.

Bobbie prawie osunęła się na podłogę z wrażenia. To nie mogło być aż tak proste. Rozległ się nieprzyjemny, przypominający klakson dźwięk i światelko zamontowane nad podwójnymi drzwiami zmieniło kolor z czerwonego na zielone.

– Śmiało – powiedział strażnik. – Trzecie piętro.

Nie trzeba im było tego dwa razy powtarzać. Pospiesznie przeszli przez drzwi i gdy tylko znaleźli się w windzie, Bobbie po raz pierwszy od jakichś pięciu minut wypuściła powietrze z płuc.

– Nie wiem, po co się tak przejmowałam.

– No właśnie – odparł Caine. – Wygląda na to,



że to szpital jak każdy inny.

Gdy winda dotarła na trzecie piętro, wyszli z niej do kolejnego pomieszczenia o wystroju charakterystycznym dla placówek publicznej służby zdrowia, tyle że w tym cichutko grało radio. Poczekalnia przesycona była zapachem żelu do dezynfekcji dłoni wymieszanego z odorem wymiocin i środków odkażających. Unosiła się tu również dziwaczna słodka woń, jakby ktoś chwilę wcześniej rozpylił odświeżacz powietrza.

Tym razem to Caine podszedł do recepcji.

– Dzień dobry, chcielibyśmy zobaczyć się z Bridget Horne.

Urzędujący za biurkiem pielęgniarz, przystojny rudowłosy facet po dwudziestce, zrobił zaskoczoną minę.

– Chcecie się widzieć z Bridget? – powtórzył.

– Tak – potwierdziła Bobbie. – Jesteśmy znajomymi jej rodziny.

Pielęgniarz, na którego plakietce widniało imię David, zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

– Bridget odwiedza tylko jej matka.

– Wiem. To ona poprosiła nas, żebyśmy tutaj przyjechali. Chyba chciałyby, żeby Bridget widywała się też z innymi osobami...

Bobbie czuła się okropnie, mówiąc te kłamstwa. Bridget była tu sama jak palec, a jej jedyni goście

pojawił się tu z czysto egoistycznych pobudek.

– Możecie chwilę poczekać?

David przesunął elektroniczną przepustką po czytniku, a następnie zniknął na oddziale. Bobbie wyciągnęła szyję, żeby zajrzeć przez oszklone drzwi. Mężczyzna rozmawiał z innym pielęgniarzem albo lekarzem – trudno było stwierdzić, bo wszyscy tu nosili identyczne, przypominające pizamy kitle. W końcu David wrócił w towarzystwie Azjatki o życzliwej twarzy ubranej po cywilnemu.

– Dzień dobry, jestem doktor Kahn. Podobno chcecie odwiedzić Bridget.

– Tak, zgadza się – odrzekł Caine.

– Muszę przyznać, że to dosyć nietypowe. Bridget jest bardzo niespokojną pacjentką i zazwyczaj nie czuje się dobrze w towarzystwie gości, nawet własnej matki.

Bobbie poczuła, że zaczynają tracić grunt pod nogami, ale to tylko dodało jej determinacji. W końcu udało im się dotrzeć aż tak daleko.

– Proszę... my tylko chcemy pomóc.

To akurat była prawda. Powstrzymanie Krwawej Mary mogło i Bridget wyjść na dobre. Doktor Kahn nie sprawiała wrażenia przekonanej, więc Bobbie dodała:

– Proszę jej chociaż przekazać, że... że mija już

nasz trzeci dzień.

Instykt odpowiedział jej, żeby nie wspominała o Mary.

Doktor Kahn wyglądała na zdezorientowaną, ale z westchnieniem przesunęła kartą po czytniku i wróciła na oddział, zostawiwszy ich w recepcji. Gdy chwilę później wróciła, na jej twarzy odmalowywało się jeszcze większe zdumienie.

– No dobrze. To bardzo dziwne, ale zgodziła się z wami zobaczyć. – Siedzący za biurkiem David upuścił długopis ze zdziwienia. – Czy macie przy sobie jakieś lusterka albo inne odbłaskowe przedmioty? Na oddziale są niedozwolone, bo podsycają psychozę Bridget.

Bobbie grzebała przez chwilę w teczce, a następnie wyjęła z niej należącą do Nai puderniczkę z lusterkiem. Podała ją Davidowi, który położył ją na biurku. Caine oddał mu swój telefon o połyskliwej chromowanej obudowie.

Powrócił niepokój. Gdy doktor Kahn prowadziła ich przez oddział, żołądek Bobbie boleśnie się zacisnął. Nie zastanawiając się nad tym, co robi – zupełnie jakby jej ręka niezależnie od niej postanowiła znaleźć źródło ukojenia – odszukała palcami dłoń Caine’a, który je uściśnął.

Pacjenci tworzyli dość różnorodną grupę. Bobbie zgadywała, że musiał to być oddział

mieszany – w końcu przebywającym na nim osobom pomieszało się w głowach (nie miała pojęcia, z jakiego powodu jej mózg wybrał tę właśnie chwilę na strojenie sobie kiepskich, niesmacznych żartów). Wnętrze oddziału niewiele różniło się wyglądem od szkolnej klasy. W centrum otwartej przestrzeni znajdowały się dwa duże stoły przeznaczone do pracy. Mężczyzna po czterdziestce, którego przerzedzające się włosy zostały starannie zaczesane do tyłu, mozolnie wycinał literki ze stron jakiegoś czasopisma. Ostrza nożyczek podążały wzdłuż krawędzi litery R z niewiarygodną precyzją. Po drugiej stronie stołu czarnoskóra kobieta o ogolonej głowie notowała coś w zeszycie najdrobniejszym pismem, jakie Bobbie kiedykolwiek widziała na oczy – zupełnie jakby postawiła sobie za cel stworzenie najmniejszych z możliwych liter. Całe strony pokryte były mikroskopijnymi zapiskami.

Przy sąsiednim stole młodszy pacjent, niewiele przewyższający ich wiekiem, strzelał focha, tupiąc o podłogę, a pielęgniarz spokojnym tonem próbował przemówić mu do rozsądku.

– No dobrze. – Doktor Kahn zatrzymała się przed drzwiami prowadzącymi do jednego z pokoi. – Bridget nie lubi wychodzić na zewnątrz, więc będziecie musieli spotkać się z nią

w środku.

– W porządku – powiedział Caine, chociaż i on zaczynał wyglądać na podenerwowanego. Rozpalone wnętrze jego dłoni przycisnęło się do jej skóry. Doktor Kahn otworzyła drzwi do pokoju. W środku panowała ciemność, bo zasłony były szczelnie zasunięte. Zaciskając szczęki i kurczowo trzymając się dłoni Caine'a, Bobbie wkroczyła w mrok.

## Rozdział 13.

### Bridget

Wzrokowi Bobbie chwilę zajęło przyzwyczajenie się do panującego w pokoju półmroku. Okno zasłonięte było grubymi kotarami, więc do środka wślizgiwały się tylko nieliczne promienie szarego światła. Bobbie była w stanie dostrzec zarysy mebli – łóżko, puste biurko stojące pod oknem, plastikowe krzesło, szafę. Zadanie przypominało wypatrywanie prowadzącego nocny tryb życia zwierzęcia w zaciemnionej części zoo i dopiero po chwili zorientowała się, że w pomieszczeniu faktycznie znajduje się ktoś jeszcze.

Bridget siedziała na łóżku z kolanami pod brodą – była to dokładnie ta sama poza, w której Bobbie przycupnęła na ubikacji w swoim śnie. Widać było jedynie białka oczu dziewczyny. Wyzierały zza tłustych brązowych włosów opadających jej na ramiona. Bobbie zastanawiała się, kiedy dziewczyna po raz ostatni widziała światło słoneczne – jej twarz była upiornie blada, a zapadnięte oczodoły otaczały ciemne kręgi jak u szopa pracza.

– Witaj, Bridget, oto twój gość... – odezwała się doktor Kahn.

– Wywołaliście ją, tak? – wybełkotała Bridget.

Niełatwo było określić jej wiek. Z jednej strony była wymizerowana, co sprawiało, że wyglądała na starszą niż swoje trzydzieści lat, ale jednocześnie przypominała kulącą się na łóżku wystraszoną małą dziewczynkę.

Oczy Bobbie rozszerzyły się z zaskoczenia i mocniej ścisnęła dłoń Caine’a. Odpowiedział jej tym samym.

– Bridget bierze silne leki antypsychotyczne, które wywołują ospałość – wyjaśniła doktor Kahn.

Trzymanie głowy prosto wydawało się wymagać od Bridget wielkiego wysiłku. Opadała jej na bok, przez co jej sylwetka nie różniła się wiele od postaci, którą dwie noce wcześniej Bobbie miała okazję ujrzeć w korytarzu.

– Niech pani zostawi nas samych. – Bridget zerknęła na doktor Kahn.

– Nie jestem pewna, czy to...

– Nic nam nie będzie – zapewniła Bobbie lekarkę.

– Na pewno?

– Tak. – Bobbie skinęła głową.

– No dobrze. Jakby co, stoję tuż za drzwiami.

Doktor Kahn niechętnie opuściła pokój i zamknęła za sobą drzwi.

– Włączyć światło? – spytał Caine.

– Nie – odparła Bridget.

Bobbie wskazała na plastikowe krzesło.

– Mogę usiąść?

– Po co się pytasz? – Bridget zaczęła skubać rożek poduszki obgryzionymi do mięsa paznokciami. – Zostało wam już tylko półtora dnia, możecie robić, na co macie ochotę.

Na krześle znajdowała się sporych rozmiarów miednica, a w niej basen oraz dzbanek. Bobbie zrozumiała, że Bridget naprawdę nigdy nie opuszcza pokoju – a już z całą pewnością nie chodzi do łazienki, w której na pewno znajduje się lustro. Nie zawracając sobie głowy uprzejmościami, Bobbie wsunęła cały sprzęt pod krzesło, na którym następnie usiadła. Caine stanął obok niej, nie wiedząc, co począć z uwolnioną przez nią z uścisku dłonią.

– Widzieliśmy twojego bloga – odezwała się Bobbie. – Jestem Bobbie, a to Caine.

– Ona wie, jak się nazywacie.

Bobbie spojrzała na Caine'a.

– Co takiego?

– Ona was zna. Wpuściliście ją tu. Jest w stanie zajrzeć wam do głów. Zna was. Bez przerwy zagląda przez okno.

Bobbie głośno przełknęła ślinę, a następnie powiedziała:



– Wywołaliśmy ją. W Piper’s Hall.

Bridget zachichotała.

– Co innego mogłoby was tu sprowadzić? Wiedziałam, że coś takiego się stanie, gdy tylko wszyscy o nas zapomną. Dopóki ludzie pamiętali, co się z nami stało, nikt nie ważył się wypowiedzieć jej imienia na głos. Nasza historia to już stare dzieje, równie świeża co czerstwy chleb. Czas na następne pokolenie.

– O kim zapomnieli ludzie? – zapytał Caine, odchrząknąwszy.

– O mnie, Abi i Tay.

Może to przez tę ciemność albo leki, ale rozszerzone źrenice oczu Bridget przypominały ziejące pustką czarne dziury, które wydawały się wsysać Bobbie do środka.

– C-co się z nimi stało? – zająknęła się Bobbie. – Wybacz, że o to pytam, ale może jest jakiś sposób na to, żebyśmy uniknęli podobnego losu?

– Nie ma.

– Proszę...

– Pięć dni – warknęła Bridget. – Dostajecie pięć dni, i tyle. Zegar zostaje nakręcony i zaczyna tykać, dopóki nie skończy się wam czas. I to wy go nakręciliście.

– Błagam, Bridget. Opowiedz nam, co się stało. Uwierzemy w każde słowo.

Przełamanie codziennej rutyny wydawało się działać na kobietę pobudzająco. Mówiła podnieconym, ocierającym się o szaleństwo głosem.

– Byłyśmy na domówce w Oxsley. Jakaś laska o spiczastej brodzie opowiadała nam, dlaczego Piper’s Hall tak bardzo ją przeraża – chodziło o jakąś historię z udziałem dziewczyny o imieniu Mary, która rzuciła się z klifu do morza. Miejska legenda – chociaż nie wiem właściwie, po co nazywać ją „miejską”, skoro szkoła znajduje się w szczerzej wsi... W każdym razie legenda głosiła, że jeśli pięć razy pod rząd wypowie się jej imię, dziewczyna ukaże się w lustrze. Naturalnie wszystkie uznałyśmy to za brednie, ale gdy wróciłyśmy do Piper’s Hall – byłyśmy wtedy w pierwszej klasie liceum – Abi uznała, że śmiesznie byłoby spróbować. Cała Abi, żaden pomysł nie wydawał jej się zbyt głupi... Pamiętam, że kiedyś wciągnęła nosem oranżadę w proszku, bo słyszała od kogoś, że to sposób na niezły odlot. Daję słowo, kichała potem przez bitą godzinę.

Na samo wspomnienie Bridget zanosła się dzikim rechotem.

– Zrobiłyśmy to w łazience należącej do świetlicy dla seniorek. Była nas tylko trójka, nawet zapaliłyśmy świeczkę, tak jak w opowieści. Taylor

dostała śmiechawki, więc wypowiedzenie tego imienia zajęło nam wieczność...

– Krwa... – próbował wtrącić Caine.

– *Nie wymawiaj go!*

Bridget po raz pierwszy ruszyła się z miejsca. Zeskoczyła z łóżka zwinnym kocim ruchem i zakryła dłonią usta Caine'a. Oczy chłopaka rozszerzyły się z zaskoczenia.

– Nie wymawiaj go – powtórzyła szeptem. – Nigdy. Niczego się nie nauczyłeś? Ona bez przerwy nasłuchuje.

Cofnęła dłoń, a Caine zrobił krok do tyłu i wypuścił z płuc drżący oddech.

– Co się potem stało?

Bridget z powrotem usiadła na łóżku niczym wracający do swojej pieczary Gollum.

– Wypowiedziałyśmy je raz, potem drugi, trzeci i czwarty... i wtedy się zawahałam. Zobaczyłam coś kątem oka. Coś poruszyło się w głębi lustra. Zupełnie jakbyśmy przebudziły jakąś istotę. Nie zaczepia się śpiącego niedźwiedzia, co nie? Zatrzymałam się więc na czwartym razie. Ale Tay i Abi wymówiły jej imię po raz piąty. One tego nie dostrzegły. Nie przestały w porę.

– Wymówiłaś je tylko cztery razy?

Bridget skinęła głową.

– To wystarczyło, żeby ją wpuścić. Ona

w dalszym ciągu czeka na numer pięć. – Dziewczyna zaczęła łagodnie kiwać się do przodu i do tyłu, tupiąc stopą. – Czekaj, aż wypowiem jej imię.

Bobbie nie mogła już dłużej wytrzymać. Usiadła na łóżku obok Bridget i położyła dłoń na jej kolanie, żeby powstrzymać uderzanie stopy o łóżko.

– Bridget, już dobrze. To działo się wiele lat temu... ona po ciebie nie przyjdzie.

To wszystko miało sens. Bobbie żyła w tym koszmarze od zaledwie trzech dni, podczas gdy widmo Krwawej Mary wisiało nad głową Bridget od ponad trzynastu lat. Ciężko było się jej dziwić.

– Widzę ją w snach. Widzę tamten cmentarz. Ona wcale o mnie nie zapomniała... czeka, aż popełnię błąd.

– Co się stało po tym, jak ją wywołałyście? – spytał Caine. – Zaczęłyście mieć wizje?

– Następnego dnia rozjechałyśmy się do domów na Wielkanoc. Byłam we Włoszech i o wszystkim zapomniałam, dopóki nie dostałam SMS-a od Abi. Wtedy jeszcze myślałam, że nic się nie stało... Byłam taka bezmyślna... mała idiotka stojąca przed lustrem, żeby powtórzyć jej imię pięć razy...

– Co było w tym SMS-ie?

– Napisała w nim: „Cześć, kochana, co słychać?”

Nie spotkało cię nic dziwnego?”. Zignorowałam tę wiadomość, a potem one obie zniknęły. Dopiero wtedy spojrzałam uważniej w lustro... i zobaczyłam, że ona na mnie czeka.

Bobbie przygryzła wargę w zamyśleniu. W opowieści Bridget nie było niczego, czego by wcześniej nie wiedzieli, ani niczego, co mogłoby im pomóc.

– Bridget, gdy widzisz Mary w snach... czy ona próbuje ci coś pokazać?

– Tylko cmentarz.

– Który?

– Ten przy kościele Świętego Pawła. Ona się ze mnie śmieje. Słyszę jej śmiech na tym cmentarzu.

Bobbie zadrżała, jakby jej kości zniecka przeszył lodowaty ziąb.

– Wydaje mi się... że ona usiłuje mi coś powiedzieć. Żeby pozwolić nam to wszystko zatrzymać. Pomóc jej.

– Nie! – Bridget złapała Bobbie za nadgarstek. – Po co? Po co mielibyście jej pomagać?

– Myślę, że...

– Nie pomagajcie jej. Niech nadal tkwi w tej swojej klatce. Jak pies na łańcuchu przykuty do szkoły.

Bobbie spojrzała na Caine'a, aby uzyskać wsparcie, ale chłopak tylko wzruszył ramionami.

– Myślę, że M... jej potrzebna jest pomoc...  
Wydaje się zagubiona... nieszczęśliwa.

Bridget zaśmiała się z goryczą.

– Nieszczęścia chodzą parami. Chce nas wszystkich wciągnąć ze sobą do grobu.

Czyżby faktycznie o to właśnie chodziło? Mary była przygnębiona i chciała, żeby dzielili z nią jej smutek? Bobbie była pewna, że w grę wchodziło coś jeszcze. Z jakiegoś dziwnego powodu miała ochotę rozmówić się ze zjawą twarzą w twarz.

– Nie dam za wygraną – oznajmiła cichym głosem, po czym uwolniła nadgarstek z uścisku Bridget.

– Ani ja – dodał Caine.

– Zostały nam jeszcze dwa dni. Zatrzymamy to.  
Bridget zachichotała.

– Nie dociera do was, co? To ona nie da za wygraną. Mnie do tej pory nie chce zostawić w spokoju...

Bobbie zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli?

– Wyjrzyjcie przez okno – poprosiła Bridget, a sama obróciła się twarzą do gipsowej ściany.

Bobbie ponownie przebiegł dreszcz, a włoski na karku stanęły jej dęba. Wstała z łóżka i wolnym krokiem podeszła do okna. Słyszała, jak ciężkie tłuste krople deszczu uderzają o szybę i parapet.

Bobbie rozsunęła zasłony, nie wiedząc, czego się spodziewać. Widok, który ujrzała, wycisnął z jej ust stłumiony okrzyk.

– Co tam jest? – spytał Caine, mrużąc oczy w szarym dziennym świetle zalewającym sterylne wnętrze pokoju.

Po szybie ściekały strugi deszczu, ale znajdowały się na niej również dwa wyraźne odciski dłoni.

– Ślady dłoni. – Bobbie przesunęła palcem po szkle.

– No i co z tego? – zapytał Caine.

Bobbie odwróciła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Zrobiono je od zewnątrz, a znajdujemy się na trzecim piętrze.

Rozdział 14.  
Pittno

Caine bez słowa wybiegł z obskurnego pokoiku. Bobbie posłała Bridget przeproszające spojrzenie.

– Przykro mi – rzuciła.

– Dopiero będzie ci przykro. – Bridget znowu odwróciła się twarzą do ściany.

– Caine, zaczekaj! – zawołała za nim Bobbie.

Gdy wyszła z pokoju, on przemierzył już pół korytarza, a pacjenci zgromadzeni we wspólnej przestrzeni obracali głowy, żeby zobaczyć, o co tyle hałasu.

– Przepraszam... nie mogłem już dłużej wytrzymać w tym pokoju. Nie mogłem oddychać. Myślałem, że oszaleję.

Caine oparł się plecami o wiszący na ścianie plakat opisujący procedury ewakuacyjne i odchylił głowę do tyłu.

Bobbie niezręcznie pogłaskała go po ramieniu.

– Rozumiem. Ale nie wierzę w to, co powiedziała Bridget... Mary pokazuje mi sceny z przeszłości z jakiegoś konkretnego powodu. Po co miałyby to robić, jeśli po prostu chciała nas zabić? Ona chce nas do czegoś doprowadzić, jestem tego pewna.



Caine wyglądał na zmordowanego, a ona potrzebowała wsparcia z jego strony. Bobbie przypomniała sobie wrażenia wywołane wcieleniem się w Mary. Podczas lekcji była zawstydzona, a kryjąc się w toalecie, wystraszona i samotna. Wcale nie była zła.

W korytarzu pojawiła się doktor Kahn i rzuciła im wściekłe spojrzenie.

– Co tu się dzieje?

– Nic – wymamrotała Bobbie.

Lekarka zajrzała do pokoju Bridget, a potem znowu popatrzyła na nich wilkiem.

– Wiedziałam, że ta wizyta to kiepski pomysł. – Zmierzyła ich chłodnym wzrokiem. – Skąd właściwie znacie się z Bridget? Jesteście od niej dużo młodszy.

Nadeszła pora, żeby się stamtąd wynieść.

– Znamy się z jej rodziną. Pójdziemy już. Przykro nam, że ją zdenerwowaliśmy. Nie chcieliśmy tego.

– *Zostały wam dwa dni!*

Głos otumanionej Bridget odbił się echem od ścian wspólnej przestrzeni. Caine wysunął ramię spod dłoni Bobbie i ruszył korytarzem. Ścigana wzrokiem rozdrażnionej lekarki Bobbie dogoniła go i pociągnęła za rękaw.

– Caine. – Bobbie ściszyła głos i przysunęła się

do niego, zdając sobie sprawę, że lepiej będzie, jeśli żaden z członków personelu szpitala psychiatrycznego nie usłyszy, o czym rozmawiają. – Proszę. Jeśli zjawy to naprawdę ludzkie dusze uwięzione na ziemi, może ktoś powinien ją uwolnić. Może jeśli dojdziemy do tego, na czym polegają niedokończone przez nią sprawy, będziemy w stanie sprawić, że ta historia nigdy już się nie powtórzy. Po prostu... zaufaj mi.

Caine, który zdążył już ochłonać, spojrzał jej prosto w oczy. Ich twarze dzieliło zaledwie kilkanaście centymetrów – wargi Bobbie nigdy wcześniej nie znajdowały się równie blisko chłopców ust. A te konkretne usta były niebezpiecznie kuszące.

– Ufam ci.

Bobbie nie była w stanie dłużej tego znieść. Upajała się ich bliskością, a przecież w tej chwili potrzebna jej była jasność myślenia. Odsunęła się.

– W porządku. Bridget przyśnił się cmentarz, może powinniśmy na niego zajrzeć. Ciekawe, czy to właśnie tam ją pochowano.

Bobbie zastanawiała się, czy nagrobek może zawierać jakieś wskazówki – nazwiska krewnych albo kogoś innego, kto pomógłby im uzyskać wgląd w niedokończone sprawy Mary.

– Warto to sprawdzić. – Caine zaaprobował

ideę ich misji. – Tyle że czegokolwiek byśmy nie zrobili... jak możemy powstrzymać coś, co jest w stanie unosić się za oknem? Coś, co żyje we wnętrzu lustra?

Na samą wzmiankę o niewiarygodnych odciskach dłoni ramiona Bobbie pokryły się gęsią skórką, ale nie chciała dopuścić do siebie myśli o porażce.

– Nie wiem – odparła, a potem znowu ściszyła głos. – W każdym razie kiwanie się w przód i w tył w ciemnym pokoju też niewiele pomoże, nie?

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Caine parsknął śmiechem.

– Trafna uwaga. Pojedźmy autobusem do Oxley. Myślę też, że pora przyjąć niewielką dawkę cukru.

Na myśl o jedzeniu zaburczało jej w brzuchu.

– Dobra. Też nie pogardziłabym odrobiną czekolady, ale najpierw muszę skoczyć do toalety.

Wyszli z oddziału psychiatrycznego i światło momentalnie stało się jaśniejsze, a powietrze świeższe, jakby miejsce, z którego wracali, istniało w jakimś innym, pożałowania godnym wymiarze. Pielęgniarka David wskazała im drogę do najbliższej toalety. Bobbie musiała przyznać, że zaczynała dzielić z Bridget wstręt do pomieszczeń, w których znajdowały się lustra – zwłaszcza po tym, co zeszej

nocy pokazał jej Caine.

– Poczekaj na mnie za drzwiami, dobrze?

Zrozumiał jej niepokój.

– Nie ma sprawy.

Bobbie weszła do łazienki i z rozczarowaniem stwierdziła, że obie kabiny są puste. Na suficie mruzczała pojedyncza świetlówka zalewająca pomieszczenie ostrym wybielonym światłem. Nad umywalką wisiało lustro, ale celowo omijała je wzrokiem, wiedząc, że gdyby zaczęła przyglądać mu się wystarczająco uważnie, okazałoby się, że ma towarzystwo. Załatwiła się tak szybko, jak tylko było to możliwe, ale mimo że chciała jak najprędzej opuścić toaletę, zmuszona była umyć ręce, bo w przeciwnym razie przez resztę poranka czułaby się brudna.

Unikając wzrokiem swojego odbicia, Bobbie zmoczyła ręce pod kranem. Nagle coś rzuciło się jej w oczy. Gdy podwinęła rękawy kurtki, żeby ich nie ochlapać, na przegubie dłoni dostrzegła czerwony ślad po zadrapaniu. Kiedy mogła sobie coś takiego zrobić? Rana nie krwawiła i przypominała raczej bliznę niż coś, co dopiero się goi.

Otrzepawszy wodę z dłoni, jeszcze wyżej zakasała rękawy. Szczeka jej opadła. Całe przedramię pokryte było śladami nacięć.

– Co, do...?

Na jej skórze krzyżowały się okropnie wyglądające skaleczenia – niektóre miały długość centymetra lub dwóch, większość stanowiły maleńkie nacięcia, ale zdarzały się też głębokie rany. Zrozpaczona Bobbie podwinęła drugi rękaw i odkryła tam dokładnie to samo. Jej ramiona poznaczone były nacięciami, których nigdy nie wykonano.

## Rozdział 15. Grobowe klimaty

Bobbie na próżno szorowała skórę, żeby pozbyć się zadrapań. Zamknęła oczy i zaczęła liczyć do pięciu, modląc się, aby to wszystko działało się jedynie w jej głowie – żeby to był tylko kolejny sen – ale gdy otworzyła powieki, wściekle czerwone ślady wcale nie zniknęły. Z jej ust wydobył się wyczerpany szloch.

– Caine! Caine! – zawołała, nie będąc w stanie powiedzieć nic więcej.

Chłopak wparował do łazienki, a jego rozszerzone nozdrza i zaciśnięte pięści świadczyły o gotowości do walki. Bobbie rzuciła się ku niemu, z trudem kontrolując wzbierającą w głosie histerię.

– Spójrz na moje ręce!

Caine skrzywił się i przesunął palcami po jej skórze.

– Co... co się stało?

– Nic! Nie wiem! Po prostu się pojawiły!

Tego wszystkiego było stanowczo za dużo. Osiągnęła punkt krytyczny i nie była w stanie się dłużej kontrolować. Cały wysiłek, który włożyła w utrzymanie pozytywnego, optymistycznego nastawienia, spełził na niczym. Mary ją naznaczyła.

– O Boże.

Caine wyciągnął przed siebie ręce, a ona bez wahania rzuciła się w jego objęcia z szeroko otwartymi oczami. Bała się, że jeśli mrugnie, wypchnie na zewnątrz łzy, a wcale nie miała ochoty płakać. Jego sweter pachniał środkiem do zmiękczenia tkanin o zapachu łąki, która to woń skojarzyła jej się z domem, czystością i bezpieczeństwem.

To niesprawiedliwe. Naprawdę chciała pomóc Mary, a ona w zamian tak się jej odpłacała? Co jeszcze miało ją spotkać?

– Po co ona to robi? Czego od nas chce?

Zamiast odpowiedzieć, Caine tylko mocniej ją przytulił.

\*\*\*

Pół godziny później Bobbie popijała resztki batonika Kinder Bueno cytrynową fantą w oczekiwaniu na autobus.

– Już ci lepiej? – spytał Caine.

– Troszeczkę – odparła Bobbie, rumieniąc się.

Strach zaczął ją powoli opuszczać, ale nacięcia nadal tkwiły na swoim miejscu. Nie potrafiła myśleć o niczym innym. Pozostało jej tylko dodać je do listy wszystkich niewiarygodnych rzeczy, które wydarzyły się w ciągu ostatnich trzech dni. Były z nich wszystkich najgorsze, bo dotyczyły jej

ciała. Czuła się zbrukana, bezbronna, a to sprawiało, że Mary wydawała się jeszcze bardziej rzeczywista. Nie była rozpływającą się w powietrzu zjawą, tylko istotą, która mogła wyrządzić im prawdziwą krzywdę.

Caine próbował ją pocieszać, wzięwszy na swoje barki obowiązki osoby myślącej w sposób racjonalny. Zwrócił jej uwagę, że chociaż nacięcia były autentyczne, to nie doskwierał jej ból, więc mogło być o wiele gorzej. Bobbie przemilczała nowe obawy, które zrodziły się jej w głowie – ubieranie ich w słowa nie było konieczne, były przecież nader widoczne w postaci śladów na jej rękach.

– Wybacz, że się poryczałam. – Próbowała zabrzmieć beztrzesko, ale jej głos w dalszym ciągu drżał. – Możemy to złożyć na karb niebezpiecznie niskiego poziomu cukru w organizmie?

Caine się uśmiechnął. Och, te dołeczki.

– Spoko. Wiesz, ogólnie rzecz biorąc, myślę, że radzimy sobie całkiem nieźle.

– Prawda? – Bobbie przełknęła krzyk, który wzbierał jej w gardle. Płacz donikąd nie prowadzi, tyle razy powtarzała to Nai, gdy jakiś chłopak nie odpisał przyjaciółce na SMS. – Może gdyby zostały nam jeszcze dwa tygodnie, mielibyśmy czas na uzalanie się nad sobą.



– Mimo wszystko – odrzekł Caine, pijąc drugiego już red bulla – jeśli masz ochotę sobie popłakać, to płacz. Sam dziś rano wyładowałem się na poduszce.

– To jakiś eufemizm?

Bobbie nie mogła się powstrzymać, ale z miejsca pożałowała tych słów. Boże, teraz on pomyśli, że jest jakąś pyskatą dziewczuchą. Nie ma nic gorszego niż pyskate dziewczuchy.

Caine parsknął śmiechem, aż red bull pociekł mu do nosa.

– No pięknie. Dobrze wiem, o co ci chodzi.

– Sorry. To było nie na miejscu.

– Wcale nie. – Caine otworzył paczkę chipsów Doritos. – Porozmawiajmy o czymś innym niż duchy. Bo do tej pory gadaliśmy wyłącznie o tym.

To prawda. Na temat swojego współnika wiedziała tylko tyle, że chodził do liceum w Radley, jeździł na jednym z tych małych rowerków i – chyba – spotykał się z Grace. Tyle. Aha, jeszcze to, że historia jego rodziny jest dosyć burzliwa.

– Masz rację. Powiedz mi coś z innej beczki.

– Co na przykład?

– Coś o sobie.

Może jeśli przeniesie uwagę na niego, przestanie rozmyślać o śladach na rękach. Dreszcz

ją przechodził na samą myśl o nich. Po prostu skup się na Cainie.

Znowu zaczęło padać – krople deszczu bębniły o dach przystanku, który w połowie pokryty był mokrymi pomarańczowymi liśćmi.

– Yyy, no nie wiem – zaczął. – Jestem raczej nieskomplikowany.

– Nie wierzę.

– Chodzę na zajęcia ze sportu, rysunku i fotografii. W przyszłym roku... to znaczy... jeśli go doczekam, mam iść na uniwersytet, żeby studiować projektowanie graficzne.

Oczy Bobbie rozbłysły. Zignorowała niewielką wzmiankę dotyczącą Mary. Skup się na Cainie.

– O, fajnie. Nie podejrzewałam, że jesteś aż tak kreatywny.

– Ha! Mój hipisowski nauczyciel rysunku uwielbia to słowo. Czemu tak myślałaś?

Zakłopotana Bobbie wzruszyła ramionami.

– Chyba po prostu błędnie cię oceniłam. Dodałam bluzy z kapturem do BMX-a i wyszedł mi z tego... nie wiem, jakiś buntownik bez powodu.

Caine wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tylko dlatego, że jestem śniady? – Mrugnął do niej i oboje zaczęli się śmiać. – Tak to już jest w Radley High. To twardzielska szkoła, robi się tam wszystko, żeby przetrwać. Ludziom pokazuje

się to, co chcą zobaczyć, czaisz? Bo jak nie, to spuszczą ci łomot. W Croydon było zresztą tak samo.

– Tak. W Piper’s Hall też jest kiepsko. Wszyscy mają przyklejone etykiety: hokeistki, chórzystki, lalunie, nawet miłośniczki alternatywy wszystkie wyglądają tak samo. Niby możesz sobie wybrać dowolną etykietkę, tyle że brakuje takiej z napisem „ja”.

Caine skinął głową.

– No, słabe to wszystko. Tak jak udawanie, że na niczym ci nie zależy. Ja tam staram się łączyć wszystko, co robię, w jedno. Rysowanie, jazdę na desce, sztukę uliczną. Zobacz.

Uniósł sweter, spod którego wyłoniła się szara koszulka z nadrukiem anatomicznego diagramu spreparowanej żaby.

– Sam to zrobiłem.

– O, wow, jest naprawdę fajna!

Gdy unosił sweter, Bobbie mignęła górna krawędź jego bokserek. Nosił takie luźne, bawełniane, których gumka wystawała z džinsów, ciasno opinające muskularne krawędzie bioder. Bobbie poczuła, jak coś ciepłego i różowego trzepocze się w jej wnętrzu. Mantra: „Po prostu skup się na Cainie”, naprawdę działała. On był tym, czego w tej chwili najbardziej potrzebowała.

– Dzięki. Chcę zrobić ich więcej. Może zacząć opychać je w internecie. To znaczy, wiesz, jeśli...

– Tak, tak, wiem.

– A co z tobą? Spędzasz większość czasu z szydełkiem w dłoni albo w klasie?

– Ha! Niezupełnie! Boże, aż boję się pomyśleć, czego mogłeś się o nas nasłuchać.

– Wszystkie jesteście nadziane?

– Nie.

– Urządzacie lesbijskie orgie?

– Tylko w ostatnią środę każdego miesiąca – odparła Bobbie z przekąsem.

– Cóż za rozczarowanie. Seks, dragi, rock and roll?

– Kolejno: nie, nie, tylko w przypadku gotyckich pańienek.

– Kiepsko. Wszystkie pochodzicie z wyższych sfer?

– To zależy. Do trzeciej klasy gimnazjum chodzi daleka krewna rodziny królewskiej, w porównaniu z którą należę do plebsu. Wszystko zależy od wyniku egzaminu wstępnego, więc jak ktoś jest bystry, może dostać stypendium.

– A ty?

– Czy dostałam stypendium?

Bobbie obciągnęła rękawy, które w trakcie rozmowy podjechały do góry – nie chciała musieć

myśleć o upiornych ranach, dopóki nie rozbierze się i nie sprawdzi, jak bardzo są rozległe. Świadomość obecności tych skaleczeń nie dawała jej spokoju niczym mucha uwięziona we wnętrzu jej czaszki.

– Nie. Mimo okularów wcale nie jestem taką zdolniaczą. Moja mama była w latach osiemdziesiątych dosyć znaną aktorką – grała Desdemonę w starej filmowej wersji *Otella*. Bez przerwy jeździ pracować w różnych dziwnych miejscach, więc posłała mnie do szkoły z internatem, „dla mojego dobra”.

– Słabo. – Caine dojadł resztę chipsów i wyrzucił opakowanie do kosza. – W każdym razie jesteś bystra. Ładnie się wypowiadasz i w ogóle.

– Dostałabym łomot w Radley?

– O, tak, bez dwóch zdań! – Zaśmiał się.

– Lubię pisać – wyznała Bobbie. – Nie wiem, czy jestem w tym dobra, na przykład rzadko kiedy używam kropek, ale chciałabym zostać pisarką. Wiesz, taką z prawdziwego zdarzenia.

Caine obdarzył ją znaczącym uśmiechem.

– Taką kreatywną?

– Tak. – Bobbie też się uśmiechnęła.

Z mgły z sykiem wynurzył się autobus, ocierając się ze stukotem o nisko wiszące gałęzie drzew i obdzierając chwilę z intymności. Cholera. Nie

podobało jej się, że ich pogawędka musiała dobiec końca.

Wsiedli do autobusu i pokazali kierowcy bilety, a Bobbie momentalnie uderzył prawie namacalny odór. W zaparowanym wilgotnym wnętrzu pojazdu cuchnęło, a zapach ten przypominał woń wilgotnego kompostu pozostawionego na słońcu.

– Jezu, ale tu wali – wymamrotał Caine i Bobbie już miała odpowiedzieć, gdy dostrzegła coś, co zmroziło ją w pół słowa.

– Co się stało? – spytał.

– Nie zatrzymuj się – rzuciła Bobbie, ruszając w kierunku foteli na samym końcu. W trzecim rzędzie siedziała uczennica dzienna o nazwisku Elodie Minchin. Bóg jeden wiedział, dlaczego jechała do szkoły autobusem, i to prawie w południe, ale nie miało to większego znaczenia. Zostali przez nią dostrzeżeni.

Caine też ją zobaczył.

– O kurczę. Myślisz, że cię podkabluję?

– Już ci mówiłam. To nie doktor Price się martwię.

– Chodzi o Grace?

– Tak.

Caine musiał wyczuć, na czym polega problem. Być może Bobbie zrobiła tę samą minę, która pojawiała się na jej twarzy, gdy zmuszona była

jeść znienawidzone przez siebie oliwki i kapary, bo niepytany oznajmił:

– Wiesz, nic mnie z Grace nie łączy.

Udała brak zainteresowania, jakby owa informacja była dla niej kompletnie bez znaczenia, ale we wnętrzu jej głowy ruszyła parada zwycięstwa prowadzona przez orkiestrę dętą. Jakaś inna część jej mózgu próbowała przez chwilę wypchnąć czarne myśli związane z Mary na pierwszy plan, ale Bobbie udało się je zignorować. W życiu liczyły się tylko małe triumfy. Siedząc w ostatnim rzędzie foteli autobusu numer trzydzieści osiem, postanowiła rozkoszować się świadomością, że Caine nie jest zainteresowany Grace Brewer-Fay.

– Tak? A ona o tym wie?

– Powinna. Niczego przed nią nie ukrywam.

Bobbie postanowiła dokładniej zgłębić ten temat.

– Właściwie czemu nie? Przecież Grace jest bardzo ładna.

– Tak myślisz?

– A ty nie?

Kąciki ust Caine'a opadły.

– Może i jest ładna, ale nie jest fajna, wiesz, co mam na myśli? Mogłaby kiedyś spróbować się uśmiechnąć.

Bobbie zdusiła w sobie śmiech.

– Trudno się z tym spierać.

– Prawda? Nie powinienem ściemniać, jeśli chodzi o nią. Dziewczyna jest okej, ale... nie dla mnie.

Gdy Bobbie nic nie powiedziała, Caine kontynuował:

– Trudno powiedzieć, dlaczego niektóre osoby nam się podobają, a niektóre nie. Tak po prostu jest.

Bobbie próbowała wymyślić jakiś dowcipny komentarz, ale w końcu zdecydowała się wyrazić wprost to, co czuje.

– Wiem, co masz na myśli. Nic nie da się na to poradzić.

Caine skinął głową, a następnie przetarł dłonią zaparowane okno autobusu.

– Po prostu od niektórych osób bije mocniejszy blask niż od innych, i nie ma to nic wspólnego z ich wyglądem.

Bobbie nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.

\*\*\*

Zanim dojechali do kościoła Świętego Pawła, deszcz zmienił się w drobną mżawkę. Na przykościelnym cmentarzu znajdowała się tylko jakaś kobieta z dzieckiem w wózku. Złożyła kwiaty



na jednym z grobów, a następnie wyrwała chwasty, którymi zaczął zarastać nagrobek. Bobbie przez chwilę zastanawiała się, kogo tu odwiedzała. Męża? Któreś z rodziców? Bez względu na to, jak brzmiała odpowiedź, minęli ją w pełnym szacunku milczeniu.

Ruszyli ścieżką biegnącą wokół kościoła w kierunku niekończących się rzędów mogił ciągnących się za budynkiem.

– Gdzie zaczniemy? – spytał Caine.

– Nie mam pojęcia. Chyba będziemy po prostu szukać nagrobka z nazwiskiem Worthington...

Rozdzielili się, żeby zaoszczędzić czas – dokładnie tak jak w jednej ze scen filmu *Horror 101* – nie mieli jednak wyjścia, bo grobów było naprawdę dużo. Cmentarz nie był zorganizowany zgodnie z jakimś z góry określonym porządkiem i nawet przecinające go ścieżki wiły się w sposób całkowicie pozbawiony sensu. Pochylające się nad grobami konary dębów zasłaniały światło. Co kilkaset metrów ustawiona była ławka, ale poza tym brakowało tu punktów orientacyjnych.

Spacerującą między nagrobkami Bobbie ogarnął kojący spokój. Co było makabrycznego w myśli, że każdy musiał kiedyś umrzeć i nie było w tym nic dziwnego? To ludzie żywi tak naprawdę doświadczali śmierci. Dlatego właśnie Bobbie nie

mogła jeszcze pożegnać się z życiem. Kto zająłby się wtedy jej mamą?

Pochodzące z głębi serca inskrypcje na nagrobkach osób, które dla niej były tylko imionami i nazwiskami, sprawiły, że Bobbie zaczęła się zastanawiać, czy po śmierci człowiek żyje dalej w pamięci bliskich sobie osób. Na niektórych grobach leżały świeże kwiaty, ale wiele innych zdążyło już popaść w ruinę – kamienne płyty były wyszczerbione, pokryte mchem i nikt już nie był w stanie skojarzyć nazwiska rozkładającej się pod nimi osoby z konkretną twarzą. Bobbie przyszło do głowy, że może tak właśnie powinno się mierzyć faktyczną długość czyjegoś życia – do momentu śmierci ostatniej pamiętającej cię osoby; dopóki ludzie nie przestaną składać kwiatów na twoim grobie.

Płaczący anioł pochylał głowę nad rodzinnym grobowcem, przykładając do twarzy kamienną dłoń. Bobbie odczytała imiona pochowanych tu osób. W jednej mogile spoczywało kilka pokoleń. Nigdzie jednak nie dostrzegła nazwiska Worthingtonów. Przypominało to szukanie igły w stogu siana.

Bobbie obróciła głowę, słysząc dziewczęcy śmiech. Przyniesiony przez wiatr dźwięk był nikły, jakby dobiegał z daleka – albo z dalekiej

przeszłości. Był do tego stopnia delikatny i ulotny, że Bobbie zaczęła się zastanawiać, czy się nie przesłyszała.

Dostrzegła Caine'a, który szedł sąsiednią ścieżką. Spotkała się z nim w miejscu, gdzie drogi zbiegały się pod sękatymi konarami masywnych dębów.

– Słyszałeś to?

– Co?

– Nic. Wydawało mi się... że słyszę śmiech jakiejś dziewczyny.

– Śmiech? To raczej niepodobne do Mary.

Bobbie skinęła głową.

– Tak samo pomyślałam.

Caine zmarszczył brwi, które w rezultacie zetknęły się ze sobą. Bobbie się to spodobało.

– W każdym razie trochę dziwnie się czuję.

– Czemu? Bo łazimy po cmentarzu?

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie, bo mam bardzo silne déjà vu.

Jeszcze tydzień wcześniej Bobbie skomentowałyby taką uwagę, przewracając oczami, ale obecnie była w stanie uwierzyć mu bez zmruczenia oka.

– Masz wrażenie, że już tu kiedyś byłeś?

– Wiem, że tu kiedyś byłem, ale chodzi o coś innego. – Wzruszył ramionami. – Nie potrafię tego

wytłumaczyć.

Bobbie zaczęła ogarniać frustracją.

– To nic... Znalazłeś jakichś Worthingtonów?

– Nie.

– Ja też nie.

Wrota niebios rozwarły się raz jeszcze. Pojedyncze krople deszczu szybko przemieniły się w ulewę.

– Szybko! Schowajmy się gdzieś! – zawołała Bobbie, osłaniając głowę dłońmi.

Pobiegli w kierunku najbliższej grupy drzew, porzucając gwarantującą bezpieczeństwo ścieżkę.

Ich oczom ukazała się mknąca z zawrotną prędkością błyskawica, po której rozległ się grzmot nasuwający na myśl dźwięk pękającego nieba. Bobbie przypomniała sobie, że grzmot następujący bezpośrednio po błyskawicy oznacza, że człowiek znajduje się w samym środku burzy. Wbiegli głębiej między drzewa w poszukiwaniu lepszego schronienia. Brązowiejące listowie było ich w stanie osłonić przed głównym atakiem ulewy. Bobbie rozejrzała się po niewielkim zagajniku i zdała sobie sprawę, że nie byli sami. Otaczały ich groby.

W sporej odległości od głównej ścieżki stało całkiem zasłonięte przez drzewa, porośnięte bluszczem mauzoleum. Pod ścianami przysadzistej

kamiennej budowli zebrała się rdzawa ściółka. Bobbie nie zauważyła wcześniej skrytego w cieniu grobowca, który swego czasu musiał stanowić nie lada widok: niskie schodki prowadziły między kolumny otaczające bogato zdobione drzwi, a starannie odlane metalowe pręty wiły się wokół pogrążonego w modlitwie Anioła Stróża. Niestety, zaniedbana mogiła została pokryta graffiti – i to nie zapierającymi dech w piersi dziełami sztuki ulicznej, lecz ohydnyimi tagami i obscenicznymi obrazkami, których głównym tematem były męskie genitalia. Ze zgromadzonych pod ścianami liści wystawały butelki po coli oraz wyblakłe torebki po chipsach.

Bobbie zrozumiała, że nikt już dawno nie złożył tu kwiatów. Sąsiadujące groby, których nagrobki stanowiły wciśnięte w ziemię na płasko kamienne płyty, zarosły trawą, chwastami i pokryte zostały własną porcją śmieci. Ta część cmentarza musiała być zupełnie zapomniana.

– To nie ma sensu – stwierdziła wyczerpana Bobbie. Deszcz w dalszym ciągu bębnił o baldachim z liści. – Dlaczego Bridget śni się to miejsce?

– Czemu nie? Skoro my tu przychodzimy, może dziewczyny w czasach Mary też to robiły?

Bobbie zmarszczyła nos.

– To niesprawiedliwe. Staramy się, jak możemy,

podążamy za wskazówkami i nic z tego nie wynika. Nie dowiedzieliśmy się dzisiaj niczego, co mogłoby nam pomóc.

– Ej. – Caine przysunął się do niej i wziął ją za rękę. Jego gorąca skóra ogrzewała jej wilgotne zziębnięte palce. – Powoli do czegoś dochodzimy. Robimy wszystko, co w naszej mocy. Może... powinniśmy trochę odpocząć.

– Nie ma na to czasu.

– Mamy jeszcze dwa dni. Wszystko będzie dobrze.

Caine ścisnął jej dłoń, a ona prawie mu uwierzyła. Ich ciała znajdowały się teraz bardzo blisko siebie, zbyt blisko, bliżej, niż wypadało zwykłym przyjaciółom. Bobbie odrobinę uniosła brodę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. Soczewki jej okularów pokryte były lśniącymi kroplami deszczu, ale i tak widziała, w jaki sposób on na nią patrzy. Chciał ją pocałować. A ona jego. Chciała, żeby ją pocałował. Nieraz zastanawiała się, jak będzie wyglądał jej pierwszy pocałunek, ale nawet nie śniła o tym, że dojdzie do niego na cmentarzu w strugach deszczu.

Ich usta dzieliły zaledwie centymetry, ale nawet ten dystans był zbyt wielki. Caine pochylił się ku niej i wykorzystał okazję. W chwili zetknięcia się ich warg, owiała ich ciepła balsamiczna bryza.

Wilgotne lipcowe powietrze, pachnące świeżo skoszoną trawą, dzikim czosnkiem i lawendą. Oraz perfumami... bez dwóch zdań czuła też zapach perfum. Otoczyło ich pełne gracji tornado złożone z brązowych, bursztynowych oraz żółtych liści, wirujących, opadających i kłaniających się niczym w walcu. Dziwacznemu tańcowi akompaniował niepozostawiający tym razem żadnych wątpliwości wstydlivy dziewczęcy śmiech.

## Rozdział 16. Przyjacielska rada

Bobbie momentalnie się cofnęła, mimo że ich wargi ledwo się ze sobą zetknęły.

– Słyszałeś to?

– Yyy... tak. – Policzki Caine’a poblady. – Kto to?

Czar prysł i wirujące liście opadły z szelestem na ziemię.

– Zgadnij. Masz jedną szansę.

Caine puścił jej dłoń. Bobbie czuła, że wywołali wilka z lasu, odgrzebując przeszłość. Czyżby w powietrzu wisiało coś, co wpłynęło na zachowanie Caine’a? Miała szczerą nadzieję, że tak nie było.

Caine przesunął wzrokiem po polanie.

– Lepiej stąd spadajmy. I to już.

Bobbie miała ochotę powiedzieć: „Nie, pocałuj mnie raz jeszcze, i to już”, ale zamiast tego skinęła tylko głową. Ruszyła ścieżką prowadzącą w kierunku kościoła, nie ważąc się obejrzeć za siebie. Najpierw przetrwanie, potem całowanie.

\*\*\*

Jakimś cudem potencjalne problemy związane z powrotem do szkoły do tej pory nie zaprzętały jej



myśli. Jedynym ułatwieniem było to, że skoro oficjalnie uznano ją za chorą, nikt nie będzie wypytywał ją o brak mundurka. To jednak nie ocaliłoby jej skóry, gdyby została przyłapaną poza terenem szkoły. Bobbie przypomniała się widziana w autobusie Elodie. Kablowanie było w Piper's Hall uważane za grzech śmiertelny, ale tylko gdy ktoś donosił nauczycielowi. Wystarczyłoby jednak, żeby Elodie opowiedziała o przypadkowym spotkaniu jednej osobie, a ta przekazałaby wieści kolejnej i tak dalej, ad infinitum.

Bobbie wróciła do szkoły w trakcie piątej lekcji, pożegnawszy się z Caine'em w Oxsley. Z racji tego, że musieli wsiąść do różnych autobusów, nie było okazji do powtórzenia pocałunku. Żadne z nich nie zająknęło się też na jego temat ani słowem, więc Bobbie musiała dołożyć wątpliwości związane z tym, co zaszło na cmentarzu, do sterty zmartwień, która rosła jej w głowie.

Jej umysł nie przestawał przetwarzać historii opowiedzianej im przez Sadie. Mary miała się według niej spotykać z miejscowym chłopakiem takim jak Caine. Czy obezwładniające uczucie, którego Bobbie doświadczała za każdym razem, gdy go widziała, było prawdziwe czy wynikało z rzuconego na nią czaru? Czyżby po prostu odgrywali sceny z przeszłości? Bobbie nigdy

wcześniej żadnego chłopca nie darzyła tego typu uczuciem, więc trudno jej było to stwierdzić. Miała wrażenie, że imię Caine'a zostało wyryte w jej sercu, co można było przypisać czynnikom nadprzyrodzonym. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że było to dla niej uczucie nowe.

Odczekawszy, aż grupa przebranych w stroje sportowe dziewcząt dowlecze się z szatni na boisko do hokeja, Bobbie udało się wślizgnąć do szkoły przez tylne wejście i nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Teraz, gdy znajdowała się już na terenie szkoły, nie mogła wpaść w zbyt duże tarapaty. Mimo wszystko jednak wróciła do pokoju, korzystając z tajnego przejścia, żeby na nikogo się nie natknąć.

Skrzydło Brontë było, rzecz jasna, puste, bo wszyscy mieli właśnie zajęcia. Gdy tylko klapnęła na łóżko, poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Dzień zmordował ją niemiłosiernie, a była dopiero trzecia po południu. W obrębie jednego poranka została wystraszona, pokaleczona oraz pocałowana. Gwałtowny spadek poziomu adrenaliny wydawał się nieuchronny. Położyła się. Krótka drzemka w pokrzepiającym na duchu świetle dziennym stanowiła nieskończenie bardziej atrakcyjną perspektywę niż nocny sen, a jej powieki zaczęły się zamykać już w momencie, gdy jej głowa opadła

na poduszkę ze sztucznego futra. Męczyły ją wyrzuty sumienia, ale naprawdę miała wrażenie, że zbadali już wszystkie możliwe tropy. Jedyna wskazówka, jaką otrzymali od Bridget, dotyczyła cmentarza, a wyprawa tam – jeśli nie liczyć „pocałunku, który się nigdy nie wydarzył” – okazała się zwykłą stratą czasu.

Caine postanowił odpuścić sobie resztę lekcji, ale pojechał do domu, żeby sprawdzić, czy ktoś ze szkoły nie zostawił jego mamie wiadomości na automatycznej sekretarce. Zresztą i tak nie było mowy, żeby przemyciła go do Piper’s Hall – miała dosyć ryzyka jak na jeden dzień.

Zrzuciła buty ze stóp i zamknęła zmęczone powieki. W jej głowie bez przerwy leciały powtórki ich niby-pocałunku. Wyobraźnia nadawała tej chwili iście hollywoodzki rozmach: dźwięki skrzypiec, Bobbie zapada się w ramiona Caine’a, jej plecy wyginają się w pełen gracji łuk jak u tancerki, a on pochyla się nad nią. Chwila byłaby idealna, gdyby nie została przerwana przez ducha. Nie. Nie pozwoli Mary zepsuć tego filmowego momentu, wspomnienia jej pierwszego (prawie) pocałunku. Miała wrażenie, że najpierw w sercu, a potem w głowie rozkwitają jej pąki kwiatów. Bobbie zapadła w sen.

Spokój ducha nie opuścił jej nawet we śnie.

Znajdowała się na parterze szkoły, w sali, która obecnie pełniła funkcję świetlicy dla junierek, ale w przeszłości musiała być biblioteką. Bobbie siedziała na ławeczce w oknie wykuszowym, niemal całkowicie skryta przed światem za grubą kotarą z zielonego aksamitu. Pomieszczenie tonęło w ciepłym blasku wiosennego słońca, a ona wygrzewała się, czując jego promienie na twarzy. Na jej podołku leżała jakaś książka, ale nie zwracała na nią uwagi. Patrzyła przez okno na dziewczęta bawiące się przed szkołą. Śmiały się, piszczały i żartowały, poklepując się co chwila podczas gry w berka.

Bobbie nigdy wcześniej nie czuła się równie odizolowana od grupy.

Różniła się od nich pod każdym względem. Nosila warkocz, podczas gdy one zwinięte w koczek włosy upinały na karku, a ich brwi były zawsze idealnie wyskubane. Nagle zdała sobie sprawę, że stojąca za oknem dziewczyna o pięknych rudych lokach patrzy prosto na nią z wymierzonym w okno palcem. Została dostrzeżona. Od razu zgadła, że to Susan Fletcher.

– Widziałyście? Wpatrywała się prosto we mnie.

Dobiegły ją okrutne słowa.

– Siedzi i się gapi! Co za dziwaczka!

Do drwin dołączyła kolejna dziewczyna.

Bobbie zamknęła książkę gotowa przenieść się w inne miejsce. Spuściła nogi z ławeczki i wydała z siebie stłumiony okrzyk, a książka upadła na podłogę. Miała towarzystwo. Patrzył na nią jakiś przystojny mężczyzna, pewnie nauczyciel, stojący nieopodal z naręczem książek.

– O, przepraszam – powiedział. – Nie chciałem cię wystraszyć. Myślałem, że słyszałaś, gdy wchodziłem.

Jeśli wszystkie te lata temu Mary udzieliła mu jakiejś odpowiedzi, Bobbie nie dane było się tego dowiedzieć. Nigdy wcześniej nie doznała ataku równie obezwładniającej nieśmiałości, ciężkiej niczym kolczuga. Nie była w stanie spojrzeć mężczyźnie w oczy. Nauczyciel ubrany był w prosty szary garnitur i krawat w kolorze czerwonego wina, ale ich fason wydał się Bobbie niemodny. Jego kasztanowe włosy zostały schludnie zaczesane do tyłu i rozdzielone przedziałkiem z boku. Na jego twarzy widniał życzliwy uśmiech, a do tego miał dołeczek w podbródku oraz mocną szczękę. Był o wiele przystojniejszy niż współcześni członkowie grona pedagogicznego, z panem Grangerem włącznie.

– Masz na imię Mary, prawda? Jesteś tu nowa?  
Bobbie skinęła głową.

– Co tak siedzisz sama w czterech ścianach? Na dworze jest tak pięknie.

Bobbie nie potrafiła wykrztusić z siebie ani słowa, ale rozmowa toczyła się dalej bez jej udziału.

– Aha, rozumiem. Niech zgadnę. Niektóre dziewczęta okazały się niezbyt serdeczne?

Czas płynął, a ona widziała tylko jedną stronę wydarzeń, jakby Mary nie była w stanie oderwać od mężczyzny oczu.

– Co tam czytasz? O, *Moby Dick* to jedna z moich ulubionych książek... „Imię moje: Izmael”<sup>2</sup> to wspaniałe pierwsze zdanie, nie uważasz? Tak... no i ta obsesja Ahaba... zgadzam się... bez wątpienia...

Gdy skończyli omawiać historię białego wieloryba, Mary była już zakochana, Bobbie – nie.

Uczucie lekkości, które wypełniło jej serce, nie opuściło jej nawet po przebudzeniu, i z początku doznała rozczarowania, zdając sobie sprawę, że to był tylko sen. Następnie przypomniała sobie o Cainie i przez chwilę miała wrażenie, że zdradziła go z przystojnym nauczycielem. Sen okazał się niezwykle przekonujący i przypominał zadurzenie się w gwieździe filmowej, tylko jakieś dziesięć razy silniejsze. W historii opowiedzianej przez Sadie brakowało jednego kluczowego

szczegóły: wcale nie chodziło o miejscowego chłopca, tylko o dorosłego mężczyznę.

Naya potrząsnęła nią w ramach pobudki.

– Odwal się... – mruknęła tkwiąca jeszcze w półśnie Bobbie.

– Pora wstawać, śpiąca królewno.

– Która godzina?

– Już prawie kolacja. Jak poszło w psychiatryku?

Bobbie usiadła na łóżku i potarła powieki.

– Totalna strata czasu. Bridget nie powiedziała nam nic, czego wcześniej nie wiedzieliśmy, a ja tylko nabawiłam się ran. Spójrz.

Bobbie podciągnęła rękawy. Naya zachłysnęła się powietrzem i wbiła wzrok w blizny.

– O mój Boże. Jak to się stało?

– Nie mam pojęcia. Po prostu się pojawiły.

Bobbie rozpięła guziki bluzki, żeby lepiej im się przyjrzeć. Nacięcia sięgały aż do barków.

– Bola? – Naya przesunęła palcem po jej skórze, krzywiąc usta.

– Nie. Ale je czuję. Podobnie jak wszystko inne w tym tygodniu, te ślady także nie mają żadnego sensu, co?

– Na pewno nic ci nie jest? – spytała Naya, a Bobbie skinęła głową, przepuszczając okazję na to, żeby się kompletnie załamać.

– Wiele rzeczy cię ominęło przez „chorobę”. – Palce wskazujące dłoni Nai poruszyły się nad jej głową niczym uszy królika. – Chcesz usłyszeć złe czy dobre wieści?

Bobbie zapięła bluzkę.

– Boże, coś się znowu wydarzyło? Wolę dobre wieści.

Naya wsunęła nogi pod siebie.

– No cóż. Z racji tego, że Sadie zniknęła już prawie dwie doby temu, zostanie wszczęte oficjalne śledztwo, a przynajmniej tak twierdzi Jennie Pham, której tato jest gliną. Podczas lunchu doktor Price weszła do stołówki i oznajmiła, że przerwa weekendowa wyjątkowo rozpocznie się w czwartek. Wszystkie dziewczyny wyjeżdżają już w środę wieczorem.

– Wow. Ciekawe czemu.

– Pewnie policjanci chcą zająć się szukaniem śladów.

– Albo doszli do wniosku, że nie jesteśmy tu bezpieczne. – Bobbie przeczesła włosy dłonią, starając się uporządkować myśli. – A co z nami?

Przerwa weekendowa przypadła na pierwszy weekend każdego miesiąca – zajęcia w piątki i poniedziałki były zawieszane i większość dziewcząt udawała się do domów. W szkole pozostawało zaledwie kilku członków personelu.



Ich zadaniem była opieka nad zagranicznymi uczennicami takimi jak Naya oraz tymi, które nie miały możliwości powrotu do domu – jak Bobbie.

– Zostajemy.

– Ale wtedy właśnie...

– Kończy się nasz czas. Wiem.

Pełne uniesień popołudnie spędzone z Caine'em stało się mglistym, odległym wspomnieniem. Po zakończeniu jutrzejszych lekcji zostaną same w wyludnionej szkole i będą czekać na pojawienie się upiora.

– Boże świąty. To mają być dobre wieści? Co my zrobimy?

– Przynajmniej wszędzie będą się kręcić policjanci.

Bobbie prychnęła z pogardą.

– Ciekawe, jak poradzą sobie z martwą dziewczyną, która pojawia się w lustrze.

– Z drugiej strony, jeśli przeżyjemy, czeka nas dzień wolny od zajęć.

Bobbie uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– A jakie są złe wieści? Potrzebne mi będą środki uspokajające, zanim je usłyszę?

– Doktor Price chce się z tobą widzieć w swoim gabinecie.

Bobbie miała wrażenie, że materac przemienił się nagle w łóżko wodne. A może po prostu

zakręciło jej się w głowie.

– Wspaniale – odparła.

\*\*\*

Przycupnąwszy na skraju sofy ustawionej między drzwiami do ambulatorium a wejściem do izolatki, Bobbie oplotła ciało rękoma niczym rękawami kaftana bezpieczeństwa, czekając, aż zostanie wezwana do gabinetu doktor Price. Z jakiegoś powodu w starym skrzydle szkoły było zawsze jakieś dziesięć razy chłodniej niż w pozostałych częściach budynku. Bobbie dobiegło z oddali trajkotanie dziewcząt zmierzających do sali jadalnej na kolację. Możliwość spędzenia dodatkowego dnia poza szkołą wywołała gwar kojarzący się z Bożym Narodzeniem. Dziewczęta, które tak jak ona nigdzie się nie wybierały, milczały, żeby nie odbierać koleżankom radości.

– Roberto? Zapraszam. – Otworzyły się drzwi i doktor Price ruchem ręki zawołała ją do wnętrza gabinetu. – Wybacz, że musiałaś czekać, ale odebrałam ważny telefon.

– Nic nie szkodzi.

Bobbie ruszyła do środka ze spuszczoną głową. Przez te kilka lat niewiele razy miała okazję tu zaglądać. Na przekór deklaracjom umieszczanym w szkolnych broszurkach głoszących, że w Piper's Hall chętniej się chwali, niżli gani, tylko

dziewczęta, które wpadły w poważne tarapaty, miały okazję znaleźć się w obrębie owych czterech ścian.

Doktor Price zajęła miejsce za okazałym biurkiem, którego drewniane powierzchnie lśniły niczym wypolerowane kasztany, po czym gestem kazała jej usiąść. Bobbie jednak poczuła, że stopy wrosły jej w dywan pokryty roślinnym motywem. Całkiem zapomniała o lustrze.

Charakterystycznym elementem gabinetu dyrektorki było ostentacyjne zwierciadło zawieszane na ścianie za biurkiem. Niewątpliwie był to antyk, ale Bobbie nie potrafiłaby zgadnąć, z jakiego okresu pochodzi. Okalała je misterna złota rama balansująca na granicy złego smaku, która przywodziła na myśl wnętrze pałacu wersalskiego. Jeśli Bobbie dobrze pamiętała, lustro zostało sprezentowane szkole w dniu jej otwarcia. Naturalnie martwiło ją nie tyle bogactwo ornamentów, co widniejące w szkle odbicie. Obejmowało ono całe pomieszczenie i Bobbie wiedziała, że gdyby się dobrze przypatrzeć, ona też się gdzieś tam czaiła.

– Jak się czujesz, moja droga?

Bobbie skupiła się na chwili obecnej, omijając wzrokiem powierzchnię lustra.

– Yyy, jestem jeszcze trochę osłabiona –

oznajmiła, zapadając się w obite pluszem siedzenie.

– Tak, słyszałam, że źle się czułaś. Dlatego właśnie chciałam z tobą pomówić. Zauważyłam, że od paru dni nie jesteś sobą.

To, że doktor Price mogła wiedzieć, jak Bobbie zazwyczaj się zachowuje, było dla niej sporym zaskoczeniem. W ciągu ostatnich pięciu lat ich ścieżki rzadko się ze sobą krzyżowały.

– Chyba miałam jakiegoś wirusa – odparła, nie będąc w stanie spojrzeć kobiecie w oczy.

Doktor Price podparła palcami podbródek. Paznokcie miała pomalowane lakierem, którego kolor idealnie pasował do apaszki okręconej wokół jej szyi.

– Roberto, wiesz może, co oznacza wyrażenie *in loco parentis*?

Bobbie siedziała z założonymi rękami.

– Tak, rodzicielska odpowiedzialność czy coś w tym stylu?

– Zgadza się. Dosłownie: zamiast rodziców. Wiem, że nieczęsto miałyśmy do tej pory okazję rozmawiać, ale szczerę się tym, że każdą z wychowanek szkoły staram się dobrze poznać. Sama nigdy nie miałam dzieci. Nawet nie czułam takiej potrzeby, skoro mam was wszystkie.

Zażyły ton, w jaki uderzyła dyrektorka, był co

najmniej niepokojący. Bobbie zawsze wierzyła, że nauczyciele sypiają w hermetycznie zamkniętych plastikowych pojemnikach ukrytych w głębi swoich szafek. Sam pomysł, że mogli prowadzić życie seksualne, wydawał jej się niesmaczny.

– Jestem więc w stanie stwierdzić, że coś cię gryzie – zakończyła przemowę dyrektorka.

Bobbie nagle zrobiło się gorąco i poczuła się skołowana.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Jestem tylko trochę chora.

Doktor Price przyjrzała jej się uważnie zielonymi oczami, w których błyszczał lisi spryt.

– Bobbie, jeśli to ma związek z Sadie, a tak właśnie mi się wydaje, to muszę wiedzieć, o co chodzi. Być może wydaje ci się, że kogoś chronisz... może myślisz, że chronisz samą Sadie, ale z każdą upływającą minutą sytuacja robi się coraz poważniejsza. Także dla ciebie, jeśli faktycznie coś ukrywasz.

Bobbie zmuszona była zacisnąć mocno wargi, że powstrzymać się od pełnego goryczy połączenia śmiechu z płaczem. Ale nowina. Czas przeciekał jej przez palce, a ona nie mogła zrobić nic, żeby powstrzymać jego wpływ. Zostały już niecałe dwa dni. Była wyczerpana. Może nadeszła pora, żeby wszystko wyznać.

– I tak pani nie uwierzy...

– W co? W co nie uwierzę?

Bobbie zamarła w pół zdania. Ona znajdowała się w gabinecie. W najodleglejszym zakątku lustra, w punkcie, gdzie kończył się rząd szafek, ale jeszcze nie zdążyło zacząć się okno. Mary stała wciśnięta w cień, a blask lampy doktor Price wydobywał z półmroku jedynie jej blade jak ściana policzki i brodę.

– Bobbie... w co nie uwierzę?

Bobbie instynktownie przekręciła się na krześle, żeby sprawdzić, czy Mary naprawdę znajduje się w kącie. Zgodnie z jej przypuszczeniem wcale jej tam nie było, ale gdy się obracała, szafka znajdująca się najbliżej miejsca, gdzie wcześniej stała Mary, otworzyła się z nienacką. Z górnej półki zsunął się segregator oraz kilka teczek na dokumenty, które naparły na drzwiczki szafki i posłały lawinę papieru na podłogę gabinetu.

– A niech to.

Doktor Price wstała i wyszła z za biurka, żeby uprzątnąć bałagan.

– Oto kara za upychanie rzeczy bez ładu i składu.

Bobbie uklęknęła, żeby jej pomóc. „Rany, nauczyciele naprawdę mają sporo papierkowej roboty do odwalenia” – pomyślała, zbierając

dokumenty. Bóg jeden wiedział, co zawierały – wyglądały jak kopie szkolnych akt.

– Nie trzeba, Bobbie, dziękuję, zostaw to mnie. Trzeba je będzie posegregować we właściwy... – Głos dyrektorki zamilkł, a Bobbie dopiero po chwili uświadomiła sobie dlaczego. W roztargnieniu zakasała rękawy, żeby pomóc w zbieraniu papierów, odsłaniając blizny na rękach. Cholera.

– Bobbie, coś ty sobie zrobiła w ręce?

– Nic! – pisnęła, dokładnie wiedząc, jak to musi wyglądać.

– Okaleczasz się?

– Nie! Boże, nie! Przysięgam, że nie o to chodzi. Daję słowo.

– W takim razie o co?

Bobbie zaczęła desperacko szukać w głowie rozsądnie brzmiącego wyjaśnienia. Koło kłamstw, którym kręciła w wyobraźni, zatrzymywało się jedynie na niewiarygodnie słabych wymówkach, a ona musiała je jakoś uwiarygodnić.

– To przez kota.

Wiedziała, że nie może powiedzieć prawdy. Kazano by jej zobaczyć się z lekarzem, a nie było na to czasu – nie miała zamiaru zmarnować potencjalnie ostatniego dnia życia na wizytę u psychologa.

– Kota? – Doktor Price wyprostowała się

i zamknęła szafkę.

– Tak. Znam pewnego chłopca. Nazywa się Caine. Mieszka w Oxsley. Spotykam się z nim w weekendy, ma małego kotka. Jest strasznie milutki, ale drapie jak opętany! – Bobbie zdobyła się na figlarny uśmiech. „Jejku, ależ ze mnie dziwaczka!”.

Doktor Price patrzyła na nią jak na wariatkę. Opowieść o duchu wywołałaby pewnie lepszą reakcję.

– Roberto, samookaleczenie to poważna sprawa. Traktuję wasze dobro jako...

– Wiem. Przysięgam, że nie o to chodzi. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła.

Doktor Price odwróciła się do biurka, wcale nie wyglądając na przekonaną.

– Bobbie, będę cię miała na oku, jasne?

– Tak, proszę pani.

Kolejne przeszywające na wskroś spojrzenie.

– Jesteś absolutnie pewna, że nie chcesz się ze mną podzielić żadnymi informacjami?

– Nie, proszę pani.

– No dobrze. W takim razie idź już lepiej na kolację, póki jeszcze podają jedzenie.

– Tak, proszę pani.

Wychodząc z gabinetu, Bobbie odważyła się jeszcze spojrzeć za siebie. W lustrze nie było ani



śladu po Mary.

Bobbie ruszyła w kierunku sali jadalnej, miętosząc mankiety swetra, a jej żołądek skurczył się do rozmiarów ziarnka grochu. Nie ulegało wątpliwości, że nie uda jej się przełknąć nawet kęsa, mimo że dziś wieczorem podawano jej ukochaną szarlotkę rabarbarową z kruszonką. Patrząc jej na ręce doktor Price sprawi, że nadchodzące dwa dni staną się jeszcze trudniejsze do zniesienia. Gdyby tylko wiedziała, co przyniesie ze sobą jutro...

Większość dziewcząt kończyła właśnie posiłek i wracała do odpowiednich skrzydeł szkoły dwu- lub trzyosobowymi grupkami. Bobbie dostrzegła Grace dopiero, gdy było już za późno.

– O, cześć, Bobbie, mogę zamienić z tobą słówko?

Blondynka była od stóp do głów pokryta imionami i nazwiskami mężczyzn: Jack Wills, Tommy Hilfiger, Abercrombie and Fitch.

Bobbie momentalnie zaczęła mieć się na baczności. Jak daleko sięgała pamięcią, Grace nigdy wcześniej nie zwróciła się do niej jej prawdziwym imieniem, a nie przezwiskiem „Bobbie”.

– Tak, jasne.

Bobbie poprawiła okulary na nosie i dyskretnie

rozejrzała się dookoła, żeby sprawdzić, czy ich rozmowa będzie miała świadków. Nie. W korytarzu prowadzącym do sali jadalnej było pusto, a jedyny obecny tu dźwięk stanowiło echo szczęku tac i talerzy.

Grace wbiła w nią spojrzenie podkreślonych idealną kreską oczu, a następnie odezwała się niskim, pełnym powagi głosem:

– Słuchaj, wiem, że opuściłaś dziś teren szkoły. Elodie Minchin widziała cię w autobusie w towarzystwie Caine’a.

– Grace, mogę to wyjaśnić...

– Naprawdę, nie ma potrzeby – odparła Grace głosem ociekającym słodyczą. – Wiem, że moim obowiązkiem jako przewodniczącej szkoły jest zgłaszać tego typu przypadki doktor Price, ale na Boga, jesteśmy w końcu przyjaciółkami. Chyba masz mnie za jakiegoś potwora, co?

Bobbie z wielkim trudem powstrzymała się od śmiechu, rozdziawienia ust ze zdziwienia lub udzielenia szczerzej odpowiedzi. Od kiedy niby się przyjaźnią?

– To nie tak, jak myślisz...

Grace próbowała się uśmiechnąć, ale być może jej twarz była fizycznie niezdolna do wyrażania życzliwości. Kąciki ust uniosły się co prawda, ale oczy pozostały obojętne.

– Po prostu chciałam z tobą pogadać, bo się martwiłam.

– Martwiłaś?

– Tak. Powinnaś wiedzieć, że Caine Truman to straszny pies na baby.

Aha. Zaczyna się. Fascynująca sprawa – Grace po raz pierwszy wykroczyła poza zwykłe groźby dotyczące uszczerbku na zdrowiu fizycznym i psychicznym, co oznaczało, że nie tylko uznała w końcu fakt jej istnienia, ale też dostrzegła w niej godną konkurentkę. Przypominało to sytuację z filmu *Bliski wróg*, ale było całkowicie niepotrzebne, zważywszy na to, jak wysoką pozycję zajmowała Grace w szkolnym łańcuchu pokarmowym. Ich rozmowa przypominała pogawędkę tygrysa z domowym kotkiem.

– Tak? – Bobbie postanowiła udawać głupią. – Wydawał się fajny.

– Och, Bobbie, oni wszyscy na początku wydają się fajni. Dzięki temu udaje im się zdobyć to, na czym im zależy.

– Aha.

Grace żarliwie pokiwała głową. Zbyt żarliwie.

– Po prostu chciałabym oszczędzić ci upokorzenia.

– Upokorzenia?

– Chłopcy tacy jak Caine... pewnie założył się

z kimś, że dopnie swego. Panienki z Piper's Hall są dla nich niczym trofea, którymi przechwalają się potem w Radley. Nie daj mu tej satysfakcji, dobrze? – Brzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba.

Bobbie prawie oniemiała z wrażenia. Stała się ofiarą werbalnego odpowiednika ataku kwasem.

– Yyy... dzięki.

– Nie ma za co. My, dziewczyny, musimy trzymać się razem, prawda? – Grace wyszczerzyła zęby w rekinim uśmiechu. – Przypieczętujemy to uściskiem.

Złapała ją w objęcia, ale Bobbie ostentacyjnie opuściła ręce wzdłuż ciała.

– Muszę iść na kolację – wymamrotała, odsuwając się od Grace.

Jakby nie dość jej było problemów, teraz musiała martwić się nie tylko doktor Price i martwą dziewczyną, lecz także Grace.

## Rozdział 17.

### Aport

Świst powietrza wydobywającego się z nozdrzy leżącej na sąsiednim łóżku Nai pomógł Bobbie w końcu zapaść w płytki sen. Tym razem niemalże modliła się o wizję, która pozwoliłaby jej odnaleźć kolejną wskazówkę dotyczącą przeszłości Mary. Tej nocy jednak dane jej było oglądać tylko oderwane od siebie strzępki wydarzeń przypominające kawałki rozprutej kołdry patchworkowej.

Najpierw znalazła się w jakiejś zimnej sali. Rozpoznała małe audytorium po zatechłym zapachu i aksamitnej kurtynie, która i w jej czasach wisiała nad sceną. Pomieszczenie było puste, a wszystkie światła pogaszone. Bobbie siedziała przy starym pianinie takim jak to, którego używano podczas prób chóru – fortepian wytaczano tylko wtedy, gdy na widowni mieli pojawić się rodzice. Jej palce niepewnie wisiały nad klawiaturą. Zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Jego zapach uderzył ją, jeszcze zanim go dostrzegła. Woń czystości i mydła z nutką wody kolońskiej – mieszanka jednocześnie męska i upajająca, dokładnie taka jak podczas ich pierwszego spotkania w bibliotece. Przystojny

nauczyciel. Opierał się o skraj pianina, przyglądając się, jak gra.

– Grasz pięknie, ale coś ci pokażę – oznajmił.

Bobbie zaczęła się podnosić z za pianina.

– Nie, zostań. Obserwuj moje dłonie.

Trącił ją lekko, a ona przesunęła się na taborecie, żeby mógł usiąść obok niej. Jego udo przycisnęło się do jej uda, a ramię do ramienia. Biło od niego intensywne ciepło – była pewna, że w porównaniu z nim przypomina bryłę lodu. Grał akordy niezwykle umiejętnie, jego palce przesuwwały się po klawiszach płynnie niczym woda.

– Teraz ty spróbuj.

Próbowała go naśladować, ale miała wrażenie, że jej palce stały się sękate i niezgrabne jak serdelki. W porównaniu z granymi przez niego nutami wydobywane przez nią dźwięki były wymęczone.

– W ten sposób – powiedział, biorąc jej dłoń do ręki, a następnie ustawiając palce we właściwym szyku. – Rozumiesz?

Zrozumiała. Tym razem klawisze poruszyły się w idealnej harmonii. Jego dłoń podniosła się z jej dłoni, po czym spoczęła na kolanie Bobbie. Nie próbowała jej z siebie strząsnąć. Jego dotyk był obezwładniający i nie chciała skrócić go ani

o sekundę. Czuła, jak jej policzki płoną, a w piersi pojawia się piekący żar, zupełnie jakby w samym jej wnętrzu doszło do erupcji wulkanu.

Wydarzyły się też inne rzeczy, ale były zbyt ulotne, żeby Bobbie udało się je uchwycić w formie innej niż strzępki kolorów i dźwięków. Następne, co zobaczyła wyraźnie, było dopiero skute lodem szkolne podwórko. Z zadaszania biegnącego po obrzeżach dziedzińca zwisały sople, a bieżnia została odkopana spod zabarwionego na pomarańczowo, zmieszanego ze żwirem śniegu. Żałosne, przypominające talk płatki śniegu wirowały, jakimś cudem przeciwstawiając się grawitacji, podczas gdy dziewczęta biegały w tę i w tę, obrzucając się nawzajem śnieżkami, albo lepiły bałwana. Bobbie ledwo je zauważyła.

Po drugiej stronie podwórka siedział jej nauczyciel, ściskając w okrytych rękawiczkami dłoniach kubek parującej herbaty. Dmuchał na gorący napój, ale ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku. Jak zwykle siedziała samotnie opatulona w zimowy płaszcz. Nawet pośród tłumu widzieli tylko siebie nawzajem.

To był ich mały sekret.

Nigdy wcześniej nie czuła się równie wyjątkowa.

Strzępki snu rozwiały się niczym dym na

wietrze. Bobbie gwałtownie się przebudziła, świadoma obecności ciała, które pojawiło się obok niej. Sprężyny w materacu zaskrzypiały, gdy Naya wsunęła się jej do łóżka, pewnie wystraszona własnym snem.

– Wszystko w porządku, Nayo? – zapytała Bobbie ochryłym głosem, po czym odchrząknęła.

Z sąsiedniego łóżka dobiegł ją pomruk. Nawet w panującym w pokoju półmroku Bobbie była w stanie dostrzec, jak Naya przewraca się na drugi bok.

„Kto w takim razie leży ze mną w łóżku?” – spytała sama siebie.

Bobbie skuliła się i przyciągnęła kolana do piersi. Wcisnęła się w kąt, w którym rama łóżka stykała się ze ścianą. Całkiem już obudzona, odważyła się usiąść i rozejrzeć szeroko otwartymi oczami. Ktoś znajdował się pod kołdrą – drobne ludzkie ciało, którego głowa nadawała kołdrze kształt namiotu.

– Naya! – próbowała zawołać Bobbie, ale głos uwiązł jej w gardle.

Chwyciła kolana dłońmi i przyciągnęła je do piersi, żeby odsłonięta skóra nie miała szansy zetknąć się z ciałem intruza.

– Naya! – powtórzyła, ale jej przyjaciółka tylko wymamrotała coś przez sen i nawet nie drgnęła.



Postać siedziała nieruchomo pośrodku łóżka. Usta Bobbie otworzyły się, ale nie było z nich żadnego pożytku. Zapięły ją oczy. Po policzku stoczyła się jej łza, ale Bobbie nie była w stanie się poruszyć. Strach trzymał ją w uścisku jak w imadle – była sparaliżowana.

Z jakiegoś dziwnego powodu przypomniało jej się, jak mieszkała kiedyś w okolicach Sydney, gdy jej mama grała w australijskiej telenoweli. Pewnej nocy usłyszała w sypialni szelest. Podekscytowała ją wizja spotkania ze śliczną myszką albo oposem, ale gdy otworzyła oczy, dostrzegła, że po poduszce drepcze olbrzymi włochaty pająk. Strach, którego obecnie doświadczała, był identyczny. Mimo że każda synapsa w mózgu kazała jej uciekać, mięśnie jej ciała przemieniły się w kamień.

Przygarbiona postać – Bobbie zakładała, że nie może to być nikt inny tylko Mary – również trwała w bezruchu. Obie trzymały głowy na tej samej wysokości, co sprawiało wrażenie, jakby się nawzajem przedrzeźniały. Bobbie była pewna, że Mary widzi ją nawet przez kołdrę.

– Naya... – Bobbie po raz ostatni bezskutecznie spróbowała obudzić współlokatorkę.

Mary w dalszym ciągu się nie poruszała. Bobbie dobiegło spod kołdry odrażające rzeźenie.

– M-Mary? – szepnęła Bobbie. – To ty?

Pytanie było durne, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy. Gdy sięgnęła dłonią ku lampce nocnej, postać poruszyła się gwałtownie do przodu – tylko odrobinę, ale to wystarczyło, żeby Bobbie z piskiem przycisnęła kręgosłup do ramy łóżka.

– Po co to robisz? – Po jej policzku zbiegła kolejna łza. – Przecież... próbuję ci pomóc...

Postać nadal się nie poruszała, ale kołdra unosiła się i opadała w rytm oddechu martwej dziewczyny. Tak jak w przypadku pająka, Bobbie próbowała sama siebie przekonać, że istota znajdująca się w jej łóżku nie była w stanie jej skrzywdzić, ale jedno spojrzenie na ślady na rękach wystarczyło, żeby podkopać tę wiarę. Mimo wszystko jednak musiała stawić czoło dziewczynie, która ją prześladowała.

– Powiedz, co mam zrobić, Mary...

W głowie miała wirującą pustkę, a jej dłoń drżała, ale i tak sięgnęła po kołdrę. Już czas. Na jej wargi spłynęły łzy i poczuła na języku ich słony smak.

Chwytając za krawędź kołdry, wydała z siebie okrzyk, jakby wypełniająca jej ciało adrenalina musiała wydobyć się z gardła w fizycznej formie. Poderwała kołdrę ruchem matadora. Znajdujące się pod nią ciało rozpląnęło się w powietrzu niczym

w ogranej do bólu sztuczce scenicznej magika. Pod spodem nikogo nie było.

To niemożliwe. Nawet w ciemności Bobbie widziała kształt ciała znajdującego się pod wymiętoszoną kołdrą. Naya zbudziła się i pociągając nosem, zaczęła wracać do życia. Bobbie zastanawiała się, czy Mary w jakiś sposób była w stanie podtrzymać jej stan nieświadomości. Bobbie przekręciła się na łóżku, a następnie zapaliła lampkę.

– Co się dzieje? – stęknęła Naya.

– Była tu.

– Co?

– Siedziała na moim łóżku.

Naya wyprostowała się jak rażona piorunem.

– Żartujesz.

– Wyglądam, jakbym żartowała?

Bobbie otarła łzy z twarzy, po czym ostrożnie ujęła palcami rozek przedmiotu leżącego w nogach łóżka. Światło pozwalało jej jedynie dojrzeć, że jest to jakiegoś rodzaju książka o okładce koloru londyńskiego autobusu.

– Co to takiego?

– Chyba to dla mnie zostawiła...

Bobbie wyciągnęła książkę spod kołdry. Był to zeszyt, ale inny od tych, z których obecnie korzystały. Wyglądał prawie na antyk, a jego

kartki miały barwę plam po herbacie. Bobbie założyła, że należał do Mary. Otworzyła zeszyt. Nienaganny pochyły charakter pisma okazał się o wiele bardziej dziewczęcy, niż Bobbie mogła się spodziewać. Zeszyt wyglądał na brudnopis – wypełniały go różne esy-floresy oraz równania kalkulatora miłości. Prawie każde z nich sprawdzało, czy różni chłopcy pasują do Mary Worthington. Bobbie przewróciła kolejną stronę i ujrzała niezwykle okrutny (nie wspominając o tym, że wulgarny) rysunek dziewczyny, która nie mogła być nikim innym tylko Mary – lecz po co miałyby ona tworzyć równie złośliwe autoportrety? Dopiero wtedy Bobbie przyszło na myśl, żeby sprawdzić, czyje imię wypisane było na okładce.

Zeszyt należał do Judy Frier. Chwilę zajęło jej przypomnienie sobie, gdzie wcześniej słyszała to nazwisko. Judy Friar była jedną z dziewczyn, które nękały Mary we śnie, którego akcja rozgrywała się w damskiej toalecie.

Dzień czwarty

## Rozdział 18.

### Judy

Bobbie ustawiła budzik na wyjątkowo wczesną godzinę, a ponadto nocne spotkanie nie dało jej zaznać snu z prawdziwego zdarzenia. Gdy budzik zadzwonił o szóstej, kleiły jej się powieki, ale zmusiła się do wstania z łóżka.

Odszukała w telefonie stronę WWW z listą absolwentek Piper's Hall, co było nie lada wyczynem, zważywszy na nikły zasięg sieci w okolicy klifów. Udało jej się wczytać stronę i wyszukać informacje na temat Judy Frier, dopiero gdy do połowy wychyliła się z okna. Uzyskała w ten sposób odpowiedzi na dwa pytania. Po pierwsze: Judy była uczennicą szkoły w latach 1949–1955. Dzięki temu można było zawęzić przedział czasu, który spędziła tu Mary. Po drugie: Judy nigdy nie opuściła Oxsley. Poświęcona jej podstrona z dumą obwieszczała, że urodziła się i wychowała w miasteczku, i – aż do przejścia na emeryturę – pracowała jako dyrektorka miejscowej podstawówki.

Z jakiegoś powodu Mary wskazywała im ową kobietę. To niewiele, ale zawsze coś. Pozostał im już tylko jeden dzień, więc Bobbie nie miała

zamiaru zaglądać darowanym wskazówkom w zęby.

Drugą rzeczą, którą zrobiła, było wpisanie w wyszukiwarkę hasła „PRZEDMIOTY PRZENOSZONE PRZEZ DUCHY”. Do tej pory Naya zdążyła się już rozbudzić i zaczęła robić brzuszki na podłodze, głośno przy tym sapiąc.

– Jesteś szalona – przypomniała jej Bobbie.

– Przytyłam z półtora kilo! – poskarżyła się Naya. – Muszę odzyskać kaloryferkę na brzuchu!

Bobbie cmoknęła z dezaprobatą. Zjechała w dół strony, ignorując chłam z forów poświęconych zjawiskom paranormalnym, a następnie kliknęła na link zawierający słowo „aport”. Okazało się, że coś takiego było możliwe – przynajmniej w opinii specjalistów z dziedziny parapsychologii. Według informacji zamieszczonych na stronie terminem „aport” określano „pojawienie się przedmiotu niewiadomego pochodzenia dzięki siłom nadprzyrodzonym”. Zjawisko to wiązano z działaniem złośliwych duchów. Poważnie. Na YouTube dostępnych było również kilka nagranych w podczerwieni filmów, w których udało się zarejestrować przejawy obecności zjaw: kubki przesuwające się po kuchennym blacie, otwierające się samodzielnie szuflady czy zabawki, które same układały się w schludne sterty.

Bobbie odwróciła się do Nai, otrząsając się ze świeżej fali ciarek, które przeszły jej po plecach.

– Nayu, masz dziwne sny?

– Nie, proszę pani.

– Na pewno?

– Pewnie, że na pewno. Idę pobiegać. Chcesz się przyłączyć?

– Chyba żartujesz.

– Jeśli zaczniesz mnie ścigać przerażający upiór z lustra, chcę być w stanie uciec!

Naya chwyciła butelkę wody i wybiegła z pokoju.

Bobbie wysłała SMS do Caine'a. Bez względu na to, czy doktor Price miała ją na oku, czy nie, wolała wydalenie ze szkoły niż śmierć. Będą musieli skorzystać z tej samej sztuczki co dzień wcześniej i być dobrej myśli. Ku zaskoczeniu (i zachwytowi) Bobbie Caine odpisał prawie od razu, co według Nai: a) prawie nigdy się nie zdarzało, i b) oznaczało, że facet cię lubi.

„Spoko. Dzisiaj mam samochód. Jakies dziwaczne sny?” – brzmiała jego odpowiedź.

„Jeszcze gorzej. Miałam gościa. Pojawił się nowy trop”. Rozważała umieszczenie na końcu litery X, ale zauważyła, że on tego nie zrobił, więc postanowiła zachować profesjonalny ton i ograniczyć się do rozmowy o duchach.



„Fajnie. W tym samym miejscu, o tej samej porze”. W dalszym ciągu zero całusów. Ale to przecież żaden problem. *Skądże znowu*. Bobbie rzuciła telefon na łóżko i poszła wziąć prysznic, zanim w łazience pojawią się poranne tłumy.

Wcześniejsze rozpoczęcie się przerwy weekendowej oznaczało, że dzień będzie wariacki: większość dziewcząt wyjedzie zaraz po lekcjach, a niektóre zostaną odebrane ze szkoły nawet wcześniej. Nie dziwota, że gdy tylko rozniosły się wieści dotyczące zaginięcia Sadie, wielu rodziców postanowiło zabrać córki ze szkoły tak szybko, jak to tylko możliwe: kilka dziewcząt już wczoraj wieczorem pojechało do domów. Bobbie miała nadzieję, że w całym tym chaosie wykradanie i wkradanie się do szkoły okaże się dziś łatwiejsze.

Zamknęła się w łazience i zrzuciła z siebie szlafrok. Baczenie przyjrzała się w lustrze upiornym zadrapaniom i było jej wszystko jedno, czy dostrzeże w nim Mary (której tam jednak nie widziała). Skrzywiła się. Ślady się rozprzestrzeniły. Rany pokrywały obecnie także obojczyk, żebra oraz uda. Skóra usiana była czerwonymi kresczkami. To nie miało sensu. Przyszło jej do głowy, że Mary sama musiała się pociąć – takie rzeczy zdarzały się obecnie wśród wychowanek szkoły, a niektórym z nich nawet nie chciało się

kryć z bliznami. Bobbie tego nie rozumiała, ale nie miała zamiaru ich osądzać. Jednak w takich przypadkach dziewczęta kaleczyły sobie ręce lub nogi, i to w jakimś określonym, trącącym pewną schludnością porządku. Jednak jej rany wyglądały na całkowicie przypadkowe – każda miała inny rozmiar i pozycję na ciele. Było w nich coś szalonego.

Jedno stało się dla Bobbie jasne. To im Krwawa Mary zawdzięczała pierwszy człon swojego przydomku.

\*\*\*

Po wzięciu prysznic (w trakcie którego odkryła, że żadna ilość mydła nie pomoże pozbyć się ran zadanych przez ducha) Bobbie założyła dzinsy i kupiony na pchlim targu wełniany sweter, a następnie z łatwością wymknęła się z Piper's Hall, wmieszawszy się w grupkę dziewcząt wyjeżdżających wcześniej na weekend. To, że inne uczennice również nie miały na sobie mundurków, uczyniło ucieczkę milion razy łatwiejszą niż dzień wcześniej.

Pomocna okazała się również mroźna mgła, która przysłała znad morza. Gęste niczym suchy lód opary przetoczyły się po trawniku i podjeździe, przywodząc na myśl opowieści o Kubie Rozpruwaczu. Bobbie nie była w stanie widzieć

dalej niż na wyciągnięcie ręki i nagle ogarnął ją strach przed niespodziewanym zbliżeniem się do krawędzi klifu.

Caine zaparkował w tym samym miejscu co dzień wcześniej Mark – tuż obok krzywego drogowskazu, którego jedna strzałka wymierzona była w szkołę oraz położone w dokładnie odwrotnym kierunku Oxsley, a druga w ścieżkę prowadzącą na wybrzeże. Tym razem samochód okazał się prawdziwym Barbiemobilem – był to perłowej barwy volkswagen garbus w wersji kabriolet. Auto musiało należeć do mamy Caine’a. Gdy Bobbie gramoliła się na fotel pasażera, zauważyła ustawioną za tylną szybą kolekcję pluszowych zabawek oraz ozdobne poduszeczki na tylnym siedzeniu.

– Niezła bryka – powiedziała z ironicznym uśmiechem.

– Podobają ci się moje miśki? – Caine wyszczerzył zęby.

Bobbie parsknęła śmiechem, a na jego twarzy momentalnie pojawiła się urażona mina.

– Mówię poważnie. Są moje. Jestem kolekcjonerem.

– A... Przepraszam, nie...

– Wkręcam cię przecież, głupolu.

Bobbie westchnęła z ulgą.

– Jedźże już, niemądry młokosie.

Ruszyli przez zatopioną w szarości wiejską okolicę, wchodząc w zakręty w nieznośnie żółtym tempie, bo mgła ciągle nie ustępowała. Światło reflektorów nie było w stanie się przez nią przedrzeć, a ze stojących na poboczach krętych dróg drzew opadały ostatnie uschłe liście, nadając im kościsty wygląd.

Wierząc się na siedzeniu, Bobbie opowiedziała Caine'owi o wydarzeniach zeszłej nocy, a on uwierzył w każde jej słowo bez mrugnięcia okiem.

– Jezu, ale masakra. Siedziała u ciebie na łóżku?

– Tak. Pewnie już nigdy nie zasnę. Im bliżej jesteśmy prawdy, tym gorzej to wszystko wygląda.

Caine na moment oderwał oczy od szosy i spojrzał na nią pełnym troski wzrokiem.

– Tobie obrywa się z nas wszystkich najbardziej.

Nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

– Tak, rzeczywiście. Ty już niczego więcej nie widziałeś?

Caine nerwowo przesunął się w fotelu.

– Jest coś jeszcze...

– Co takiego?

– Zerknij na mój telefon.

Urządzenie leżało na desce rozdzielczej, więc

Bobbie wzięła je do ręki i przesunęła palcem po ekranie.

– Obejrzyj zdjęcia.

Bobbie uniosła brew.

– Myślisz, że nie pożałuję? – spytała.

Nie wiadomo, co mogła zawierać galeria zdjęć siedemnastoletniego chłopaka.

– Nic ci nie będzie. Chyba.

Bobbie postąpiła zgodnie ze wskazówkami. W galerii zdjęć, jak to zwykle bywa, najpierw wyświetliły się te ostatnio zrobione.

Na każdym z nich był Caine. Spał spokojnie z twarzą wciśniętą w poduszkę.

– Kto je zrobił?

Chwila ciszy.

– A jak myślisz? – zapytał Caine.

– O Boże. – Bobbie głośno przełknęła ślinę. – Zupełnie, jakby... jakby jej na tobie zależało.

Bobbie przypomniała sobie, jak mocno Mary pragnęła nauczyciela, jak nieokiełznane było jej uczucie, i zaczęła się zastanawiać, co to oznaczało dla Caine'a. Martwa dziewczyna miała niewątpliwą obsesję na ich punkcie i ani na chwilę nie spuszczała z nich wzroku. Czyżby mieli upiorną wielbicielkę? Z każdym dniem moc Mary wydawała się rosnąć – jej działania stawały się coraz bardziej natarczywe i trudne do zniesienia,

a odliczanie do dnia numer pięć powoli dobiegało końca. Kto wie, jak potężna okaże się jutro. I co z nimi zrobi.

– Ciągle też mam te sny. Stają się coraz wyraźniejsze, wiesz, o co mi chodzi?

Bobbie skinęła głową.

– Tak. Co się w nich dzieje?

Caine znowu zaczął się wiercić. Widać było, że czuje się niezręcznie.

– Są w nich sceny dozwolone od lat osiemnastu. Nie mogę ci powiedzieć...

– Bo jestem dziewczyną? Wiesz, Caine, ja tak naprawdę nie jestem zakonnica.

Zarumienił się.

– Nie o to chodzi, po prostu są zbyt... pikantne. Takie nie w moim stylu. Mama nauczyła mnie, jak powinno się traktować kobiety.

Bobbie nie wiedziała, co odrzec. Co prawda nie uwierzyła w ani jedno słowo Grace, gdy ta zaczęła znaczyć swoje terytorium rzucanymi Bobbie ostrzeżeniami, ale i tak uznała, że Caine „lubi bujać się po mieście” i niezły z niego „ściemniacz” – które to określenia były eufemistycznymi odpowiednikami słowa „zdzira” stosowanego w odniesieniu do podobnie się prowadzących dziewcząt. Z góry założyła, że chłopak musi być bardziej doświadczony od niej.

– Caine, muszę wiedzieć, co widziałeś. To może nam pomóc.

– No dobra – westchnął. – Przede wszystkim w tych snach nie jestem sobą, bo mam białą skórę. Jestem w towarzystwie białej dziewczyny, ale nie mogę dojrzeć jej twarzy. Jest ciemno i widzę tylko strzępki obrazów. Drzewa, zza których prześwieca księżyc, bladą skórę – plecy, brzuch albo szyję – dziewczyny. Jest zimno, ale jestem cały rozpalony i po plecach spływa mi pot. Jestem... yyy... na pewno jestem goły – ona zresztą też – no i... wiesz. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że leżymy na jakimś kamieniu. Wydaje mi się, że znajdujemy się na cmentarzu.

– Na naszym cmentarzu?

Bobbie nie była pewna, w którym dokładnie momencie cmentarz stał się ich własnością, ale pytanie wyskoczyło jej z ust, zanim była w stanie się powstrzymać.

– Tak mi się wydaje.

– Cmentarny seks. Jakie to dostojne i w ogóle nie dziwne.

Caine wyszczerzył zęby.

– Ha! Powiedziałaś „seks”!

– Dzieciuch! – Figlarnie trąciła go pięścią w biceps. – Moje sny też nie są dla dzieci.

– Tak?

– Nie ma w nich może tyle... potu, ale za to odgrywam w nich rolę Mary, która zakochała się w kimś ze szkolnego personelu. Wydaje mi się, że w nauczycielu.

– Fu, co za lafirynda.

Bobbie pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– No, wiem. Z początku myślałam, że to całkiem ekscytujące, ale nie jestem już tego taka pewna. Był od niej przecież dużo starszy. Zirytował mnie, bo totalnie ją wykorzystał.

– Co za zboczek.

Bobbie westchnęła.

– Z drugiej strony nie był jakimś lubieżnym starcem. Mary nie widziała w tym nic złego. I tego właśnie chciała. Strasznie jej na nim zależało.

– Wow. Pokręcona historia.

Caine uśmiechnął się i nic już nie powiedział.

Bobbie poczuła w sobie znajomy żar. Nagle w samochodzie zrobiło się duszno, a samo auto wydało się mniejsze niż chwilę wcześniej, co sprawiło, że zdała sobie sprawę z bliskości ich ciał. Bardzo chciała dotknąć Caine'a – położyć dłoń na jego udzie, tak jak zrobił to nauczyciel we śnie. Zwalczyła jednak to pragnienie. Caine odezwał się w końcu, zmieniając temat i oczyszczając tym samym parną atmosferę.

– Według tego, co mówiłaś, powinniśmy już



dojeżdżać na miejsce.

Bobbie wbiła wzrok w mgłę i zmrużyła oczy. Po obu stronach drogi ciągnął się wysoki żywopłot. W którymś momencie Bobbie mignęła za nim jakaś chata.

– Stop! – zawołała. – Chyba ją właśnie minęliśmy.

– A, okej. Musimy gdzieś zaparkować.

Najbliższa zatoczka znajdowała się dwie minuty jazdy dalej. Caine zatrzymał samochód i pieszo ruszyli w kierunku chaty. Judy mieszkała na odludziu w pokrytym strzechą domku na skraju niewielkiego lasu. Gdzieś niedaleko rwący nurt strumyka wydawał dźwięki przypominające oklaski. Co za sielska okolica.

Bobbie popchnęła skrzypiącą drewnianą bramę i podążyła nierówną brukowaną ścieżką w kierunku drzwi wejściowych. Zerknęła na Caine'a, a potem zastukała kołatką w kształcie lwiego łba. Gdy po minucie nikt nie odpowiedział, spróbowała raz jeszcze.

– O Boże, ona musi być w domu – jęknęła Bobbie, którą załapała nowa fala bezsilności.

– Mogę w czymś pomóc? – dobiegł ich głos zza pleców.

Oboje podskoczyli jak postaci z kreskówki.

– Wystraszyła mnie pani – powiedziała Bobbie,

przycisnąwszy dłoń do piersi.

Za rogu chatki wyszła starsza kobieta. Jej białe niczym wata włosy zostały zwinięte na czubku głowy we fryzurę przypominającą ptasie gniazdo. Staruszka miała na sobie woskowaną kurtkę, a na stopach różowe pantofle z polaru. W rękę trzymała wiadro z karmą dla kur.

– Zbieracie na fajerwerki? Na skrzynce na listy jest przecież napisane, że nie życzę sobie żadnych nieproszonych gości. Ani żadnych ulotek z menu, nie interesuje mnie pizza ani curry, dziękuję bardzo.

Bobbie wzięła się w garść i przypomniała sobie o manierach wyniesionych z Piper's Hall.

– Proszę wybaczyć to najście, ale czy mamy przyjemność z panią Judy Frier?

Kobieta zmrużyła przenikliwe szarobłękitne oczy skryte za grubymi soczewkami okularów.

– Przestałam nosić to nazwisko już czterdzieści pięć lat temu. Nazywam się Judy Ledger. Kto pyta?

– Dzień dobry. Mam na imię Bobbie, a to jest Caine. Chodzę do Piper's Hall.

Kobieta obdarzyła ją uśmiechem.

– Coś takiego, czyżbyście zaczęły osobiście roznosić szkolny biuletyn? Nie wiedziałam, że włączono go do kanonu lektur obowiązkowych.

Bobbie odpowiedziała uśmiechem –

najwyraźniej Judy traktowała misję Piper's Hall równie poważnie jak ona sama.

– Muszę... musimy porozmawiać z panią o czymś, co wydarzyło się dawno temu. Chodzi o Mary Worthington.

Na wzmiankę tego nazwiska policzki Judy poblady. Kobieta spuściła wzrok na ścieżkę.

– Ojej, tak dawno już nie słyszałam jej imienia. Lepiej wejdźmy do środka.

\*\*\*

Przez prowadzące na patio drzwi Bobbie widziała stadko kurczaków wydziobujących ziarno pomiędzy bruku. Usiedli przy prostym drewnianym stole ustawionym pośrodku wyłożonej łupkiem podłogi. Podtrzymujące nisko zawieszony sufit belki nadawały pomieszczeniu mroczne, ale i przytulne wrażenie. W piecu piekł się chleb, a Judy postawiła przed nimi dzbanek z herbatą.

– Jesteście może spokrewnieni z Mary? To wasza babcia?

– Jezu, nie – chlapanął Caine, częstując się trzecim już herbatnikiem.

– Tak myślałam. – Judy usiadła z nimi przy stole. – Muszę przyznać, że nie spodziewałam się jeszcze kiedyś usłyszeć to imię. Upłynęło tak dużo czasu, że to wszystko wydaje się nierealne, zupełnie jakby ten okres życia był opowiedzianą

mi przez kogoś historią.

Judy naląła herbaty do filiżanki Bobbie, która odezwała się:

– Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale musimy wiedzieć wszystko, co jest nam pani w stanie przekazać na temat Mary.

Judy naląła i sobie herbaty, po czym odparła:

– Moja droga, minęło już ponad sześćdziesiąt lat. Oj, słabiotka wyszła ta herbata.

– Wiem... ale każdy szczegół może nam pomóc.

Staruszka przyjrzała się jej znad porcelanowej filiżanki.

– Coś się wydarzyło, tak?

Żołądek podszedł Bobbie do gardła, ale wiedziała, że nie może wyjawiać prawdy, bo kobieta w okamgnieniu wystawiłaby ich za drzwi.

– Nie, dlaczego?

Judy zacisnęła cienkie, pokryte zmarszczkami wargi, po czym upiła łyk herbaty, sprawiając wrażenie, jakby szykowałą się do spowiedzi.

– Gdy pracowałam jako nauczycielka, uczniów dało się podzielić na tych grzecznych, no i rozrabiaki. W końcu to dzieci, prawda? Jednak raz na jakiś czas zdarzał się chłopiec lub dziewczynka, którzy różnili się od reszty. W ich oczach było coś mrocznego – byli w stanie zmrozić człowieka wzrokiem do szpiku kości. Mówiąc

krótko, nie mieli w sobie za grosz dobroci. Czasami własne matki się ich bały. Mary była taką właśnie dziewczynką. Było z nią coś nie tak, rozumiecie? Już przy pierwszym spotkaniu stawało się to jasne.

– Co ma pani na myśli? – wymamrotał Caine.

– Chciałabym móc określić to bardziej precyzyjnie, ale chodziło raczej o pewne wrażenie. Jej obecność wywoływała... niepokój. Rety, jak można by to opisać? Przypominało to uczucie towarzyszące odpłynięciu za daleko od brzegu, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że traci grunt pod nogami.

Caine wzruszył ramionami.

– Nie rozumiem – wyznał.

– Myśmy też nie rozumiały. Wiedziałyśmy tylko, że przebywanie w jej towarzystwie wywoływało... niepokój.

– To dlatego byłyście dla niej takie podłe?

Bobbie nie wiedziała, dlaczego wyrzuciła to z siebie tak nagle. Zdawała sobie sprawę, jak niegrzecznie musiało zabrzmieć jej pytanie – najwyraźniej liczyła na szczerą, spontaniczną reakcję.

Judy uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Naszego okrucieństwa wobec niej nie da się w żaden sposób usprawiedliwić. Gdy człowiek zdaje sobie sprawę, że stał się zwykłym

dręczycielem, wyrzutem sumienia nie ma końca.

– To po co się tak zachowywałyście?

Kobieta wyrzuciła ręce w powietrze.

– Bo tak działa szkoła! Pięćdziesiąt lat pracowałam jako nauczycielka i wiem, że takie miejsca nigdy się nie zmieniają. Szkoła to szkoła – przetrwają tylko najsilniejsi i tak dalej. Zawsze będą istniały dziewczęta takie jak Susan Fletcher i Mary Worthington.

Bobbie momentalnie przypomniał się uśmiech na twarzy Grace dorównujący serdecznością paszczy muchołówki.

– Ciekawa sprawa, wiecie, co stało się z Susan Fletcher, gdy ukończyłyśmy Piper's Hall?

Bobbie pokręciła głową.

– Absolutnie nic. Była królową szkoły, a potem... koniec. Po świecie chodziło wystarczająco dużo pięknych dziewcząt, więc okazała się nikomu do niczego niepotrzebna. Po odejściu ze szkoły panująca w niej hierarchia przestaje obowiązywać.

Bobbie ugryzła się w język, żeby nie wyznać, że jeśli nie powstrzymają Mary, przyszłość jej i Caine'a dobiegnie jutro końca.

– Ale co się stało z Mary?

– To ty mi powiedz, moja droga. Zniknęła.

– Zniknęła? Super.

Na twarzy Caine'a pojawił się grymas rozczarowania.

– Miałam potworne wyrzuty sumienia. Myślę, że w głębi serca Susan też, chociaż nic nigdy na ten temat nie mówiła.

– Co dokładnie się wydarzyło? – Bobbie wstrzymała oddech.

Judy zrobiła pauzę, żeby przemyśleć swoje następne zdanie.

– Musicie zrozumieć, że przyjazd Mary Worthington do Piper's Hall owiany był tajemnicą. Pojawiła się w szkole pewnego dnia i nikt ani słowem nie zająknął się o jej pochodzeniu. Naturalnie wywołało to wiele pytań. Oraz plotek.

– Czego dotyczyły te plotki?

– Młoda damo, mam nadzieję, że w przyszłości zamierzasz zostać detektywem albo reporterką.

Bobbie skwitowała tę uwagę uśmiechem, ale się nie odezwała, bo chciała, żeby Judy kontynuowała opowieść.

– Było ich tak wiele, że trudno było oddzielić prawdę od wymysłów. Niektórzy twierdzili, że była sierotą, inni, że jej rodzice siedzieli w więzieniu, a jeszcze inni utrzymywali, że uciekła z pogrążonej w wojnie Europy. Część dziewcząt posunęła się nawet do posądzania jej o... – Judy urwała.

– O co?

– Och, to były zwykłe bzdury. Bełkot o Cyganach, klątwach i demonach. Ja tam wiem tylko tyle, że z pojawieniem się tej dziewczyny na naszą szkołę padł jakiś mroczny cień. Nie miało to nic wspólnego z jej wyglądem – na swój sposób była bardzo ładna – chodziło raczej o pewne wrażenie. Dziwną, złowróżbną aurę, która towarzyszyła jej wszędzie, gdzie się pojawiała.

– Kiedy zniknęła?

– Był rok 1954, pamiętam to jak dziś. Nie wiem, czy była to prawda, ale Mary zyskała wątpliwą reputację. Susan osobiście zajęła się rozgłaszaniem plotek, według których Mary wymykała się do Oxsley na schadzki z młodymi mężczyznami. Nie było w tym nic wyjątkowego. Wbrew temu, co mogliście słyszeć, nawet w tamtych czasach lubiliśmy trochę, że tak powiem... poszaleć, ale Mary często kręciła się po cmentarzu przy kościele Świętego Pawła. Dziwaczne to było.

Bobbie przypomniała się opowieść Sadie. Miała wrażenie, że wysłuchała jej wieki temu, a nie w zeszłą sobotę.

– Myśli pani, że uciekła z jakimś facetem?

Bobbie nie przyszło wcześniej do głowy, że Mary mogła widywać się z więcej niż jednym mężczyzną.

Judy opuściła głowę.



– Taka była najpopularniejsza teoria.

– Czyli wcale się nie powiesiła? – spytał Caine, sypiąc z ust okruszkami.

– Powiesiła? Boże święty, nie. Przynajmniej nic nie było nam na ten temat wiadomo.

Bobbie i Caine wymienili spojrzenia. Nie tak brzmiała oficjalna wersja dotycząca tamtych wydarzeń.

– Jak pani myśli, co się naprawdę stało?

– Mary nie czuła się dobrze w Piper’s Hall. Nie zdziwiło mnie, gdy uciekła, ale powiem jedno: gdy tylko zniknęła, atmosfera od razu się poprawiła, zupełnie jakby ktoś zdjął ze szkoły zły czar. Ujmę to w ten sposób: nikt tam za nią nie tęsknił.

Bobbie zapiekły oczy od napierających łez.

– Pani Ledger, ona wcale nie była zła, tylko samotna.

– A skąd ty miałabyś to wiedzieć?

– Po prostu wiem. – Bobbie przełknęła gorzką pigułkę wypełnioną złością i współczuciem. – Potrzebny jej był przyjaciel.

Judy pokręciła głową.

– Gdybyś tam wtedy była, zachowywałabyś się dokładnie tak jak my.

– Wątpię. – Bobbie sięgnęła po plecak. Nadeszła pora, aby się zbierać. – Nie sądzę, żeby Mary uciekła. Myślę, że coś się jej stało, tylko nikomu nie

chciało się tego sprawdzić.

Na twarzy Judy najpierw odmalowała się złość, a chwilę potem smutek.

– Nigdy się nie dowiemy.

– My się dowiemy – oznajmiła Bobbie krnąbrnym tonem. Gdy zarzucała plecak na ramię, przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl. – Aha. Gdy chodziła pani do Piper’s Hall, czy pracował tam nauczyciel o krótkich ryzawych włosach?

Judy zmarszczyła brwi.

– No tak. Pan Millar. Kenton Millar.

Bobbie szeroko otworzyła oczy. Ależ była głupia.

## Rozdział 19. Nieśmiertelność

Bobbie i Caine stali w opustoszałej auli głównej, gdzie jedynymi dźwiękami były dobiegające z oddali kroki i dziewczęcy chichot. Oczekali w Oxsley, aż skończą się lekcje, żeby ułatwić sobie wślizgnięcie się do Piper's Hall. Bobbie domyślała się, że pozostałe w budynku uczennice czekają pewnie w strefie relaksu, aż ktoś je odbierze, albo przygotowują się na wyjątkowo długi weekend w opustoszałej szkole. Caine stał obok niej z kapturem naciągniętym na głowę.

– Jeśli ktoś spyta, to jesteś bardzo mocno zbudowaną seniorką, jasne?

– Nazywam się jakoś?

Bobbie się uśmiechnęła.

– Udawaj, że jesteś Nayą.

– Spoko – odparł Caine w najgorszej imitacji amerykańskiego akcentu, jaką Bobbie kiedykolwiek słyszała. – Na co właściwie patrzemy?

Bobbie wskazała na wiszący wysoko na ścianie obraz olejny. Linia włosów trochę się cofnęła, a na twarzy pojawiła się zadbana ruda broda, ale faktem było, że mierzyła palcem w portret Kentona

Millara, byłego dyrektora szkoły.

– To ten koleś ze snu?

– Tak. Ależ ze mnie idiotka. Od pięciu lat codziennie widuję, czytaj: ignoruję, ten obraz, a nie byłam w stanie rozpoznać go w snach.

– Pewnie wyglądał w nich dużo młodziej.

– No tak, ale mimo wszystko... – Bobbie oblała się rumieńcem. Przez cały ten czas miała go dosłownie przed, a raczej ponad samym nosem. – Zadedykowano mu całe skrzydło szkoły.

– I naprawdę myślisz, że to on posuwał Mary?

– Jestem tego pewna.

Naturalnie spytali Judy, czy jej zdaniem było to możliwe, ale z miejsca odrzuciła taki pomysł. Żadna z krążących na temat Mary Worthington plotek nie wspominała o nawiązaniu przez nią romansu z nauczycielem. Bobbie sama zastanawiała się, czy przedmiotem jej snów nie były przypadkiem zwykłe fantazje, ale wiedziała, że chodzi o coś więcej – czuła przecież zapach wody kolońskiej Kentona Millara.

– Kiedy rządził szkołą?

– Tu jest napisane, że był dyrektorem w latach 1974–1985.

– W jakim mógł być wieku w twoich snach?

– Był młody. W 1954 roku musiał dopiero zacząć pracę.

– Jeny, dlaczego dziewczynom zawsze podobają się nauczyciele, nawet ci paskudni?

Bobbie odwróciła się do niego.

– Mi nie. Cała ta historia przyprawia mnie o dreszcze.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę! Może dziewczynom imponują faceci u władzy. Albo chcą znaleźć sobie kogoś, kto zastąpi im ojca, których to chęci osobiście nie podzielałam. Co jest o tyle dziwne, że mój tatuś był jakimś anonimowym Węgrem z plastikowym pojemnikiem w dłoni.

Caine spojrzał na nią, żeby uzyskać pozwolenie na parsknięcie śmiechem, a ona mu go udzieliła.

– Wybacz. Nie powinienem się z tego śmiać.

– Chyba nie mówisz poważnie? Jeśli wydaje ci się, że mój tato jest śmieszny, poczekaj, aż poznasz moją mamę!

Oboje zamilkli. Bobbie zrozumiała, że spotkanie z rodzicami dziewczyny to poważna sprawa. Przynajmniej taką mogłaby się okazać, gdyby mieli przed sobą jakąkolwiek przyszłość.

Bobbie zmieniała temat z powrotem na Mary.

– Caine, to było niewłaściwe. On był jej nauczycielem... a ona była tak strasznie samotna. I bezbronna.

Bobbie spojrzała na zadowoloną z siebie twarz

Millara, na której widniała mina z gatunku „śmiało patrzmy w przyszłość”. Tylko że oni nie mieli, w co patrzeć. Bobbie westchnęła, a następnie weszła na znajdującą się na samym końcu auli scenę i zwiesiła z niej nogi.

– To była strata czasu. Nie mam pojęcia, dlaczego Mary tak bardzo zależało, żebyśmy spotkali się z Judy... w niczym nam to nie pomogło.

– Nieprawda. – Caine dołączył do niej na scenie, w dalszym ciągu nie zdejmując kaptura. – Teraz już wiemy, że wcale się nie zabiła.

– Wcale nie. Wiemy tylko, że nie zrobiła tego tutaj...

– To już coś.

– Kończy nam się czas... – przypomniała Bobbie ze smutkiem. Może to niedorzeczne, ale przed nastaniem tego tygodnia nie zdawała sobie nawet sprawy, jak wielką przyjemność sprawia jej życie. Zrozumiała, jak bardzo go nie doceniała. – Wcale nie chcę umierać.

Jeśli miała być całkowicie szczerą, to w tym tygodniu po raz pierwszy poczuła, że naprawdę żyje. Zrozumiała, że jej starania mające na celu wmieszanie się w tłum i bycie niezauważaną sprawiały, iż wiodła bezbarwną egzystencję, której monotonię rekompensowała jej jedynie fikcja

literacka. Była fikcyjną dziewczyną. Natomiast w tym tygodniu – bez względu na to, jak okropny i przerażający się okazał – czuła wyraźnie każdą przeżytą minutę i chciała czuć je nadal. Za ową zmianę w dużej mierze odpowiedzialna była nowa i dziwna istota stojąca teraz u jej boku.

– Ja też nie – zgodził się Caine ze wzrokiem wbitym w dłoń.

– Nie wiem jak ty, ale ja totalnie nie doceniałam tego, co mam. I to nie tylko w tym tygodniu. Odliczałam dni, które jeszcze zostały mi do ukończenia szkoły. Czekałam, aż to pięcioletnie piekło dobiegnie końca, żebym mogła zacząć naprawdę żyć, ale teraz okazuje się, że nic takiego się nie stanie. Nie udało mi się osiągnąć niczego oprócz paru niezłych ocen oraz opowiadań, które trzymam pod łóżkiem.

– Ale ponura wizja.

– Powinieneś je kiedyś przeczytać.

Caine uśmiechnął się znacząco.

– Jeśli uda nam się przetrwać jutrzejszy dzień, przeczytam wszystko, co napisałaś – a ja nigdy nie czytam.

– Dzięki.

– Moja mama zawsze powtarza te banały o życiu chwilą obecną. Pewnie o to właśnie jej chodzi. Żeby nie odkładać na później czegoś, co

można zrobić już dziś.

– Bo jutro można już nie żyć – dokończyła Bobbie. – Chyba jest odrobinę za późno na sporządzenie listy rzeczy do zrobienia przed śmiercią, co?

– Co chciałabyś zrobić?

Bobbie dobrze wiedziała, na co ma ochotę, ale nie miałyby pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Nie wiem. Nigdy tak naprawdę nie zastanawiałam się nad tym, co chciałabym zrobić przed śmiercią. Wydawało mi się, że mam na to jeszcze całą wieczność.

Była to prawda. Bobbie wychodziła do tej pory z założenia, że nigdy nie zabraknie jej dwóch rzeczy: czasu i wolności wyboru. Okazało się jednak, że nie ma już ani jednego, ani drugiego. Postrzeganie siebie jako istoty nieśmiertelnej było z jej strony strasznie głupie i dziecinne.

– Niezła zagwozdzka – stwierdził ni stąd, ni zowąd Caine.

– Uwaga na dziwne słowa. Co konkretnie masz na myśli?

– Gdybyśmy nie wzięli udziału w tym durnym wygłupie, nigdy byśmy się nie poznali. Ale z tej samej przyczyny nigdy się nie dowiemy, co byłoby dalej.

– Nie jestem pewna, czy zagwozdzka to dobre



słowo, ale rozumiem, o co ci chodzi. – Bobbie zdjęła okulary i usunęła pyłek z jednej z soczewek.  
– Ale co masz na myśli przez: „co byłoby dalej”?

Caine zerknął na nią kątem oka, wstydząc się spojrzeć jej prosto w twarz. Miny równie urocze powinny być zakazane przez prawo.

– No wiesz, czy do siebie pasujemy, czy nie.

Serce Bobbie zaczęło dokazywać we wnętrzu jej klatki piersiowej niczym rozbrykany mały labrador.

– A chciałbyś, żebyśmy do siebie pasowali?

Tym razem spojrział jej prosto w oczy, a ona ledwo była w stanie znieść jego wzrok.

– Tak, myślę, że tak.

– Ja też.

Bobbie nawet nie próbowała zgrywać obojętnej, słowa wydobyły się jej z ust bez zastanowienia, jakby była wystraszoną małą dziewczynką. I przecież tak właśnie było.

Caine przysunął się bliżej i poczuła jego ciepły oddech na policzku.

– W końcu powinienem żyć chwilą obecną, co nie?

Gdy ich twarze spotkały się w pół drogi, Bobbie zamknęła oczy, mając nadzieję, że całowanie było wrodzoną umiejętnością, w której można było być dobrym już za pierwszym razem.

Pocałowali się.

A więc to takie uczucie. Pełne ciepła i bardzo intymne. Pocałunek jednocześnie pobudził i uspokoił Bobbie, i pozwolił jej zapomnieć o całym świecie.

Liczyły się tylko ich usta.

Jego wargi muskały jej wargi delikatnie niczym spadające piórka, a Bobbie zaczęła martwić się poziomem francuskości pocałunku. Uznała, że najlepiej zrobi, naśladowując Caine'a, i gdy rozchylił wargi, odpowiedziała tym samym.

Nigdy wcześniej nie doświadczyła równie wspaniałego uczucia. Nic dziwnego, że inne dziewczyny były tak skore do pocałunków. Bobbie przez chwilę robiła sobie wyrzuty, że odwlekąca ten moment tak długo, ale chwilę później rozplynęła się w objęciach Caine'a, całkowicie się w nich zatracając. W końcu wsunęła dłoń pod kaptur jego bluzy. Jego skóra była gładka i rozgrzana, a on sam zadrżał pod wpływem jej dotyku. Uznała to za dobry znak.

Kąciki jego warg uniosły się w uśmiechu. Bobbie musiała przyznać, że jak na pierwszy raz jest z siebie całkiem dumna. Caine wsunął kosmyk jej włosów za ucho, a potem z uśmiechem rozpoczął drugą rundę. Pocałunek był dla niej portalem prowadzącym do całkowicie nowego

świata. Nie była pewna, co kryje się po drugiej stronie, i było jej wszystko jedno. Bobbie czuła się, jakby zaliczyła jakiś ważny test.

Zanim mieli okazję odnaleźć wspólny rytm, znajomy dźwięk brutalnie przywołał ją do rzeczywistości. W kontraście z cudownością pocałunku dzwonek telefonu brzmiał ostro i nieprzyjemnie.

– To mój – stwierdziła przeproszającym tonem.

– W porządku. Nigdzie się nie wybieram – odparł Caine. – Przynajmniej na razie.

Bobbie wyjęła komórkę. Na ekranie wyświetlił się miejscowy numer stacjonarny.

– Halo? – powiedziała.

– Halo, czy rozmawiam z Bobbie? Z tej strony Judy Ledger.

Bobbie na wszelki wypadek zostawiła kobiecie swój numer.

– O, dzień dobry. To Judy – szepnęła do Caine'a.

– Przepraszam, że wcześniej niewiele wam pomogłam, ale po waszym wyjściu przypomniało mi się coś jeszcze. Taka tam głupota. Jestem pewna, że to tylko kolejna plotka.

Bobbie w dalszym ciągu czuła się oszołomiona pocałunkiem, jakby przemienił jej mózg w miłosną papkę.

– A, okej. Co to takiego?

– No cóż, po jej zniknięciu wiele dziewcząt...  
Musisz zrozumieć, Bobbie, że w tamtych czasach urodzenie nieślubnego dziecka było całkiem inną sprawą niż obecnie.

Bobbie pojęła wreszcie, o czym mowa.

– A... Chce pani powiedzieć, że Mary...

– Tak. Ludzie gadali, że Mary była w ciąży.

Rozdział 20.  
Coraz bliżej

– Szybko, droga wolna.

Bobbie wyciągnęła Caine'a z tajnego przejścia i znaleźli się w skrzydle Brontë. Wieczory robiły się coraz bardziej zimowe, a większość wychowanek Piper's Hall przebywała obecnie w domach, gdzie jadły przygotowane przez swoje mamy posiłki przed kominkami i panoramicznymi ekranami telewizorów.

Zatrzymali się dopiero po dotarciu do pokoju Bobbie. Zaniepokojona Naya czekała tuż za drzwiami, które zatrzasnęła za nimi, gdy tylko znaleźli się w środku.

– Ledwo zipię – wysapał zgięty wpół Caine, chwytając się za serce.

Naya spojrzała na nich spode łba.

– Nocujemy u siebie faceta. – Naya wydeła usta, komentując treść SMS-a otrzymanego wcześniej od Bobbie. – Muszę przyznać, że twój plan mający na celu wydalenie nas ze szkoły nie może się nie powieść.

Bobbie zignorowała zgryźliwą uwagę.

– Powinniśmy trzymać się razem. Nie wiem dlaczego. Po prostu tak czuję.

– Moja mama pracuje dziś na nocnej zmianie.

Caine przekazał Nai tę samą informację, którą wcześniej wyjawiał Bobbie. Co prawda przenocowanie go w ich pokoju wiązało się ze sporym ryzykiem, ale i tak wydawało się o wiele mniej groźne w skutkach niż pozwolenie mu na spędzenie nocy w pustym domu.

Naya dała za wygraną.

– Niech będzie. Przytargałam ze stołówki tyle jedzenia, ile byłam w stanie. Kucharka musiała dojść do wniosku, że albo robię zapasy na zimę, albo po prostu lubię się obżerać.

Naya wskazała na szeroki wybór kanapek, chipsów i jogurtów rozłożonych na biurku pod oknem. Niezły podkurek.

Bobbie zdjęła adidasy, a potem klapnęła na łóżku, krzyżując nogi niczym Budda.

– Sprawa zaczyna w końcu nabierać sensu.

– Tak?

Naya zdjęła z ucha duży kolisty kolczyk, a Caine usiadł na podłodze i oparł się plecami o łóżko.

– Tak! Mary była w ciąży, co tłumaczy płacz niemowlęcia w filmie zrobionym przez Marka, a do tego wyjaśnia, dlaczego uciekła.

Caine pokiwał głową.

– Czy w 1954 roku istniały przytułki dla

nędzarzy? Założę się, że uciekła do jednego z nich.

Bobbie pogłaskała Caine'a po włosach, a jej rozkochane dłonie nie były w stanie się od niego oderwać.

– Ciekawy pomysł, chociaż to nie ten wiek.

– Czy w tamtych czasach mogła zrobić aborcję?  
– spytała Naya, siadając na swoim łóżku w identycznej pozycji co Bobbie.

– Nie wiem – przyznała Bobbie. – Ale domyślam się, że nawet jeśli aborcje były legalne, to raczej nie gawędziło się o nich przy śniadaniu z koleżankami.

Naya podskoczyła zniecierpliwiona na łóżku.

– Widzieliście *Dirty Dancing*?

– Ta-ak...

Bobbie spojrzała na Caine'a, nie wiedząc, do czego zmierza jej przyjaciółka. Głowa chłopaka opierała się o jej łydkę i na razie jej to wystarczało, chociaż szacowała, że jakieś dwanaście procent powierzchni jej mózgu pochłonięte było rozpamiętywaniem pocałunku.

Nawet jeśli Nai rzuciła się w oczy ich rosnąca z każdą chwilą bliskość, przejawiająca się niechęcią do odsunięcia się od siebie choćby na milimetr, to w ogóle o niej nie wspomniała. Bobbie podejrzewała, że zostanie poddana przesłuchaniom, gdy zostaną same. Czas miał

pokazać, czy dane im będzie odbyć jeszcze jedną sesję wymiany ploteczek.

– W *Dirty Dancing* była scena, w której tancerka imieniem Penny idzie na wykonywaną pokątnie przez jakiegoś konowała aborcję i prawie umiera.

Bobbie myślała chwilę nad tą teorią i wnioski okazały się całkiem obiecujące.

– Niezły pomysł. Była młoda, wystraszona i zdesperowana, więc zrobiłaby pewnie wszystko, byle tylko pozbyć się dziecka.

– Przecież we śnie widziałaś co innego – przypomniał jej Caine. – Mówiłaś, że Mary była z Millarem szczęśliwa.

– Racja.

Bobbie zmarszczyła brwi, po czym zwięźle poinformowała przyjaciółkę o tożsamości potencjalnego tajemniczego kochanka Mary. Rozumiała już radość, której doznawała Mary w towarzystwie nauczyciela – sama odkryła jej smak podczas pocałunku w auli, czując się niczym dziecko, któremu udało się ukradkiem upić łyczek szampana na weselu. Sny, w których wcielała się w Mary, przypominały przetworzone w Instagramie barwne zdjęcia w wysokiej rozdzielczości ukazujące tę samą eksplozję uczuć, której Bobbie sama niedawno doświadczyła. Wszystko w nich wskazywało na to, że Mary była



bez pamięci rozkochana w Millarze. Ale była też samotna, a skoro brakowało jej towarzystwa...

– A może po prostu urodziła to dziecko?

– Może urodziła dziecko i *umarła przy porodzie!* – zaproponowała Naya przerażająco radosnym tonem. – W tamtych czasach to zdarzało się nagminnie.

– Boże, ależ wylewają się dzisiaj z ciebie makabryczne fakciki! – Bobbie skrzywiła się z niesmakiem. – Ale pomysł jest niezły. Wszystko się ze sobą łączy. Mary, Millar, dziecko. Zbliżamy się do sedna, jesteśmy naprawdę bardzo, bardzo blisko.

Caine sapnął z irytacji. Podniósł się i zaczął przebierać w jedzeniu, które zwędziła dla nich Naya.

– To dobrze, bo został nam już niecały dzień.

Jego słowa, delikatnie mówiąc, nieco ostudziły ich zapał. Bobbie odwróciła się do Nai.

– Jesteś pewna, że niczego nie widziałaś w swoich snach?

Jej przyjaciółka wzruszyła ramionami, po czym zarzuciła długimi czarnymi włosami.

– Mówiłam ci już, że od tygodnia nic mi się nie śniło. Zero. *Nada*.

Caine spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Co? Przez cały tydzień nie miałaś ani jednego

snu? Niemożliwe.

– No... sama nie wiem. Przypomina to sen. Wiecie, jakie to uczucie, gdy człowiek ma świadomość, że śni. Tyle że nic się w tym śnie nie dzieje.

– Hm?

Caine zaczął wyciągać sałatę z kanapki, krzywiąc się w reakcji na nadmiar musztardy.

– W tym śnie nic nie ma, tylko mrok. I jest zimno.

– Czyli to jednak jest sen. Śni ci się, że znajdujesz się w jakimś zimnym ciemnym miejscu.

– Może. Ale nie jestem w stanie się ruszać. Zupełnie jakbym gdzieś utknęła.

Po kręgosłupie Bobbie przebiegł lodowaty dreszcz.

– Utknęła? Czy została pogrzebana?

Naya się wzdrygnęła.

– Nie wiem... Może. Nie myślałam o tym w taki sposób... może rzeczywiście.

Caine przełknął kęs kanapki, a resztę wyrzucił do kosza.

– Co za popaprana historia.

– Boże, nawet nie chcę sobie tego wyobrazać.

Naya otuliła się ramionami.

Ale Bobbie nie była teraz w stanie myśleć o niczym innym (z wyjątkiem tematu

zarezerwowanego dla tamtych dwunastu procent powierzchni mózgu). „Co się wydarzyło, Mary? – myślała. – Czy właśnie o to chodzi? To chciałaś nam uświadomić?”. Mieli pięć dni, ale to mogło okazać się za mało.

– Co teraz zrobimy? – spytał Caine.

– Nie wiem. Nie możemy ryzykować szwendania się po szkole. To, że nikt cię do tej pory nie zobaczył, to istny cud.

Z racji tego, że większość dziewcząt miała wrócić dopiero w poniedziałek, w szkole panował o wiele większy spokój niż zwykle, dzięki czemu pani Craddock mogła poświęcać pozostałym w budynku uczennicom podwójną uwagę.

– Musimy pozbyć się lustra.

Bobbie wskazała na szafę. Na samą myśl o skrzypnięciu jej drzwi w środku nocy...

– Masz rację – zgodziła się Naya. – Jak chcesz to zrobić?

\*\*\*

Okazało się, że lustro zostało przykręcone do wewnętrznej strony drzwi. Wyjęcie śrub zajęło im kilka minut. Jeśli nawet Mary znajdowała się gdzieś w środku, to tym razem Bobbie jej nie dostrzegła – z drugiej strony jednak starała się, jak mogła, unikać patrzenia w odbicie. Razem z Nayą zdjęły lustro z drzwi i poniosły je między sobą

niczym nosze w kierunku strefy relaksu, a Caine czekał na nie w pokoju. Zostały dostrzeżone przez pulchną juniorkę, którą Naya przegoniła przesadnie ostrym słowem.

– Wracajmy – zasugerowała Naya, opierając lustro o ścianę. – Nie powinniśmy zostawiać wieszkiego na górze bez opieki.

– Chwileczkę. – Bobbie się zawahała. – Muszę coś załatwić.

Upewniwszy się, że nikogo nie ma w zasięgu słuchu, ruszyła w kierunku Łoży, a Naya poszła do pokoju, żeby Caine nie wyszedł ich szukać. Bobbie weszła do środka, nie zawracając sobie głowy zapalaniem światła. Wzięła głęboki oddech, po czym wykręciła numer swojej matki.

Mama odebrała po czwartym sygnale.

– Cześć, skarbie, co słychać?

– Wszystko w porządku. Jesteś zajęta?

– Nie, nie, mam przerwę. Tak między nami, skarbie, Jared zaczyna mi już działać na nerwy. Nie chce mu się nawet kiwnąć palcem, dopóki reżyser nie przekona go, że dany pomysł wyszedł od niego samego.

Bobbie się uśmiechnęła. Życie toczyło się utartym torem. Nawet gdyby umarła, jej mama nigdy by się nie zmieniła.

– Co nowego?

– Nic. Chciałam cię tylko przeprosić za swoje dziwaczne zachowanie podczas naszej poprzedniej rozmowy.

– Nie wygłupiaj się. Od tego są matki! Martwiłam się o ciebie, kochanie. Tak rzadko mnie o cokolwiek prosisz, że na poważnie zaczęłam rozważać kupienie sobie biletu na najbliższy nocny lot.

Bobbie zacisnęła powieki. Nie będzie płakać. Jej ostatnia rozmowa z mamą nie będzie łzawa.

– Nie trzeba. Nic mi nie jest.

– Na pewno? Nie za późno dla ciebie, kochanie? Nie powinnaś już leżeć w łóżku?

Bobbie usłyszała w słuchawce, jak ktoś w tle zawołał: „pięć minut”, a potem rozległo się wycie syreny nowojorskiej karetki. Dźwięki były głośne, więc jej mama musiała znajdować się na ulicy – prawdopodobnie z olbrzymią café latte oraz papierosem w dłoni.

Bobbie nie przemyślała tego, co chciałyby wyznać, i teraz trochę żałowała. Ostatnie słowa powinny być wzniosłe, poruszające i godne zapamiętania. A ona miała pustkę w głowie.

– Mamo, naprawdę nic mi nie jest. Nie chcę, żebyś się o mnie martwiła, już nigdy, bo wszystko jest okej. Baw się dobrze i nie myśl o mnie.

– Skarbie, czy ty coś piłaś?

Bobbie parsknęła śmiechem.

– Nie. Chciałam tylko choć raz powiedzieć to, co naprawdę chodzi mi po głowie.

– Słusznie. Sama cię uczyłam, żeby zawsze wyrażać swoje uczucia.

– To prawda, uczyłaś. Chcę ci więc wyznać, że cię kocham. – Było to nietypowe wyznanie jak na Brytyjkę i w jej ustach brzmiało niedorzecznie. – Naprawdę.

Tym razem to mama parsknęła śmiechem.

– No cóż, nie wiem, co w ciebie wstąpiło, Bobbie Rowe, ale nie zamierzam narzekać. Też cię kocham. Bardziej niż kogokolwiek innego.

„Mogło być gorzej” – pomyślała Bobbie. Kto powiedział, że pomyślne życie musi być długie? Prawdopodobnie jutro umrze, ale przynajmniej czuła się kochana. Zawsze tak było. Było to nie lada osiągnięcie.

– Okej, mamó, muszę kończyć.

Była to mniej więcej prawda. Nie oszuka matki, rzucając na pożegnanie coś w stylu „do usłyszenia” albo „pogadamy wkrótce”.

– Cześć, mamó.

Okazało się, że świadomość tego, iż człowiek żegna się z kimś po raz ostatni, niczego nie ułatwia.

Gdy otarła oczy (jej opanowanie rozpadło się

na kawałki wraz z odłożeniem słuchawki) i wróciła do pokoju, Caine siedział na jej łóżku z plecami przyciśniętymi do ściany i łokciami wspartymi o zgięte kolana. Rozmawiał z Naya, ale kiedy weszła do środka, przerwał i spytał Bobbie:

– Myślisz, że trzeba je było stłuc?

– Nie uważasz, że lustra przyniosły nam już wystarczająco dużego pecha? – Bobbie zdobyła się na półuśmiech w nadziei, że nie widać po niej, iż przed chwilą pozbyła się połowy masy ciała w postaci łez. – Ten tydzień w zupełności mi wystarczy, niepotrzebne mi kolejne siedem felernych lat.

Caine odwzajemnił uśmiech i spojrzał na nią spod ciemnych brwi.

– Nie ma mowy, żebym dzisiaj zasnął. Co jeśli ona pojawi się w nocy?

– Racja – zgodziła się Naya. – Może będziemy spać na zmianę?

Caine pokręcił głową.

– Nie trzeba. Nie zamierzam umrzeć we śnie jak jakiś emeryt. Jeśli się pojawi... nie poddam się bez walki.

Zapadła cisza, w trakcie której bez słów zdecydowano, że Bobbie i Naya również nie pójną spać. To był już koniec. Ostatni spoczynek. Jej mózg był zbyt zmęczony, żeby zastanawiać się nad

tym, co mógł przynieść ranek. Coś czekało na nich po drugiej stronie nocy. Gdy cisza stała się nie do zniesienia, Bobbie z błyskiem w oku spytała:

– Znacie jakieś dobre historie o duchach?



Dzień piąty

## Rozdział 21. Nieoczekiwany obrót sprawy

W którymś momencie Bobbie nie była już dłużej w stanie walczyć z opadającymi powiekami i usnęła. W jednej chwili słuchała opowieści Nai o tym, jak dziewczyna otarła się o śmierć podczas strzelaniny na Brooklynie, a w drugiej znajdowała się już na cmentarzu.

Noc była parna, wilgotne powietrze całowało jej skórę. Gdy rzuciła się biegiem przez las, długo wyczekiwana letnia bryza zaszeleściła liśćmi. Bobbie zachichotała. Gonił ją – bawili się w chowanego. Zdawała sobie sprawę, że przychodzili tu już wcześniej; to było ich umówione miejsce, gdzie mogli spotykać się z dala od wścibskich oczu wychowanek i personelu Piper's Hall.

Bobbie przycupnęła za drzewem i zasłoniła usta dłonią, żeby stłumić śmiech. „Nigdy mnie tu nie znajdzie”. Tak naprawdę jednak bardzo chciała zostać odnaleziona. Gdy przestały dobiegać ją jego kroki, wychyliła się zza grubego pnia i ujrzała, że on czeka po drugiej stronie. Skoczył na nią, wydając z siebie lwi ryk, a ona rzuciła mu się w ramiona.

Zaczął okręcać ją wokół siebie, wywijając piruety między nagrobkami. Drzewa oraz żywopłot uniemożliwiały dojrzenie tej części cmentarza z okien szkoły czy kościoła. To było ich miejsce.

Mężczyzna przyłożył ciepłą dłoń do policzka Bobbie. Tego wieczoru rękawy jego flanelowej koszuli zakasane były po łokcie, a ona miała na sobie letnią sukienkę w paski oraz sandały z odkrytymi palcami. Rozpuściła włosy, oddając im wolność. Już się go nie wstydziła – pierwsza pocałowała go w usta, łapczywie poszukując jego języka. Bez wysiłku uniósł ją silnym ramieniem i usadził na długim płaskim sarkofagu. Bobbie położyła się na plecach, z wdzięcznością witając chłodny dotyk kamienia na rozgrzanej lepkiej skórze nóg. Kenton położył się na niej. Gdy raz za razem całował jej szyję, uchyliła powieki na wystarczająco długą chwilę, żeby dostrzec ponad jego barkiem rozsypane po niebie gwiazdy. Nigdy wcześniej nie widziała ich tak wielu i miała wrażenie, że wszystkie zabłyśły specjalnie dla niej.

Przebiegł ją rozkoszny dreszcz, któremu całkowicie się poddała.

Bobbie przebudziła się gwałtownie i odgarnęła z twarzy włosy oblepiające ją niczym pajęczyna. W pierwszym odruchu wzięła zmiętą kołdrę za Millara i gorączkowo zaczęła ją od siebie

odpychać. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, gdzie się znajduje. To tyle, jeśli chodzi o niezasypianie. Przyciągnęła kolana do piersi i usiadła prosto, na wypadek gdyby Mary znajdowała się na łóżku.

Sen wystraszył ją równie mocno, co upiorne blizny czy wizje w lustrze. Czują się zbrukana, jakby dłonie Millara naprawdę chwilę wcześniej błędziły po jej skórze. Uczucie było nieprzyjemnie realistyczne. Mary mogło się to podobać, ale jej ani trochę. „Jak Mary mogła być tak głupia?”

W pokoju panowała cisza. Perłowy brzask sączył się do środka pod zasłonami, a jej towarzysze niedoli smacznie spali. Caine leżał rozciągnięty w śpiworze na podłodze z rękoma wetkniętymi pod głowę. Bobbie miała ogromną ochotę wsunąć mu swoje ramię pod pachę i użyć jego barku jako poduszki – odzyskać spokój ducha w objęciach Caine’a. Słoneczne uczucie, którego doświadczała w jego towarzystwie, było dokładnym przeciwieństwem tego, co czuła, przebywając z Millarem – czegoś mrocznego i dławiącego jak smoła.

Odczuwała jakiś dziwny rodzaj wdzięczności – w końcu to dzięki Mary poznali się z Caine’em. Jeśli to faktycznie miał być jej ostatni tydzień na tym łez padole, przynajmniej mogła stwierdzić, że

poczuła to magiczne coś. Miała wrażenie, że po trwającej całe jej życie zimie przyszła w końcu wiosna. Gdy spojrzała na Caine'a – jego zamknięte powieki i nieznacznie uchylone pełne wargi – w końcu to zrozumiała.

Otworzył oczy, a Bobbie szybko odwróciła wzrok w nadziei, że nie dostrzegł, iż się na niego gapiła. W hierarchii dziwacznych zachowań wpatrywanie się w śpiących ludzi z pewnością zajmowało niechlubne pierwsze miejsce. Caine zamrugął i zmarszczył brwi, jakby zdziwiła go własna obecność w obcym otoczeniu.

– Hej – zachrypiał. – Wszystko okej?

– Ciągle jeszcze żyjemy. – Bobbie założyła pasemko włosów za ucho. – Chyba że piekło ma postać szkoły z internatem dla dziewcząt.

– Obie te rzeczy mogą być prawdą – stwierdziła Naya z twarzą wciśniętą w poduszkę.

Bobbie wiedziała dobrze, co czuje jej przyjaciółka. Pragnienie pozostania w łóżku i przespania całego piątego dnia było niezwykle kuszącą perspektywą.

– Nie – mówił dalej Caine – chodziło mi o twoją twarz.

Nawet z zapuchniętymi powiekami i w wymiętoszonych ubraniach nadal był piękny. Bobbie wzdrygnęła się na myśl o tym, jak okropnie

sama musi wyglądać chwilę po przebudzeniu. Zeszłego wieczoru (ze wstydem) odkryła, że nie ma ani jednej piżamy, którą można by uznać za fajną czy seksowną. Jasnoniebieski flanelowy komplet z puszystą chmurką naszytą na piersi nieoczekiwanie okazał się najmniej żenującym wariantem.

Niepokój widoczny w oczach Caine'a przeważył nad wstydem.

– Co takiego? Co jest nie tak z moją twarzą?

– Masz na niej nowe rany.

Dłonie Bobbie powędrowały ku policzkom. Przypomniawszy sobie, że w pokoju nie było lustra, zaczęła obmacywać skórę. Na czole i kościach policzkowych wyczuła cztery czy pięć nowych blizn. Z każdym dniem było coraz gorzej.

– O Boże – powiedziała i dostrzegła panikę w oczach Caine'a. – Nie, nie, w porządku. Nie bołą, naprawdę.

Bołały, ale tylko trochę.

Głowa Nai wychyliła się spod kołdry.

– Jesteś pewna, kotku?

Bobbie skinęła głową, chociaż myślała tylko o tym, żeby obejrzeć się w lustrze. Będzie musiała zwalczyć tę pokusę.

– No to się zaczęło. – Caine usiadł i wygładził koszulkę na ciele. – Dzień piąty.

– Wygląda jak każdy inny dzień – zauważyła Bobbie.

Ptaki siedzące na drzewie za oknem były równie rozmowne co zawsze i gawędziły ze sobą beztrzesko.

– Nie spodziewałem się, że w ogóle nastanie świt – wyznał Caine. – Na wszelki wypadek zasnąłem dopiero po wschodzie słońca.

Może przyglądał się jej, gdy spała. O dziwo, nie miała nic przeciwko temu. Sama myśl o tym sprawiała, że czuła się bezpieczniej.

– Przepraszam, że zasnąłem. Nie mogłem się powstrzymać.

– Nie ma sprawy. – Caine sprawiał wrażenie, jakby chętnie dołączył do niej w łóżku. – To co teraz zrobimy?

Bobbie podniosła się z materaca, a następnie rozsunała zasłony przy akompaniamencie przekleństwa, które wydobyło się z ust Nai. Kolejny mglisty i mżysty dzień. Czwartek jak każdy inny. Nikt nie podejrzewał nawet, jak bardzo był dla nich ważny. Bóg jeden wiedział, z czego tak bardzo cieszyły się rozszczebiotane ptaki.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Mój plan tak daleko nie sięgał. Nie ma dzisiaj lekcji. Większość dziewczyn pojedzie pewnie do Oxsley albo będzie oglądać telewizję.

Caine nie wydawał się zachwycony tymi możliwościami.

– Może mamy czas aż do północy, żeby wyszło pełne pięć dni. To w dalszym ciągu daje nam szesnaście godzin na znalezienie jakiegoś haka na tę szaloną wiedźmę.

Bobbie skinęła głową.

– Masz rację. Tylko nie przychodzi mi do głowy nic, co jeszcze moglibyśmy zrobić. Dokładnie sprawdziliśmy każdy, najmniejszy nawet trop, jaki nam podsunęła. Może jednak Mary wcale nie chce, żebyśmy doszli do sedna sprawy.

– Jeśli została gdzieś pogrzebana, to może być wszędzie – mruknęła Naya spod kołdry. – Dosłownie. Co mamy zrobić? Zacząć kopać, gdzie popadnie?

Bobbie zachichotała.

– Niegłupi pomysł.

Naya zsunęła z siebie kołdrę.

– Mówisz poważnie?

– Chodziło mi nie tyle o kopanie, gdzie popadnie, co o odnalezienie jej ciała. – Bobbie usiadła na krześle i nałożyła okulary. – Wiemy, że Mary żyła naprawdę, bo Judy chodziła z nią do szkoły, ale nie istnieją żadne ślady jej obecności w Piper's Hall ani nie ma jej na liście absolwentek.

– Może mogłybyśmy pogadać z doktor Price? –



zapropnowała Naya.

– Hm. I tak jest już pełna podejrzeń, a zaczęła pracować w Piper’s Hall zaledwie kilka lat przed naszym pojawieniem się tu, więc raczej nam nie pomoże. Wczoraj poszliśmy z Caine’em na cmentarz i nie znaleźliśmy jej grobu.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – zauważył Caine. – Przecież uciekła. Mogła zostać pogrzebana gdziekolwiek. W dowolnym miejscu na świecie.

Bobbie zmrużyła oczy.

– W każdym razie myślę, że warto wziąć to pod uwagę. Mówi się, że ciało powinno zostać pochowane w poświęconej ziemi, dobrze pamiętam?

Caine wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Możemy jeszcze raz zajrzeć na cmentarz, skoro śnił się i mi, i Bridget.

Bobbie westchnęła.

– Mi też. Caine, wydaje mi się, że zeszłej nocy nasze sny w końcu połączyły się w całość.

Chłopak szeroko otworzył oczy.

– Tak? Aha.

Oblał się rumieńcem.

– Rozumiem już, dlaczego nie chciałeś o nich rozmawiać...

Zerknął na nią, nie mogąc powstrzymać się od lekkiego uśmiechu.

– Chyba musicie sobie znaleźć jakiś zaciszy kącik. Najlepiej w jakimś innym pokoju – zadrwiła z nich Naya, po czym skopała z siebie kołdrę, godząc się z tym, że już nie zaśnie.

Bobbie opadła szczeka. „To niemożliwe” – pomyślała. Gwałtownie zamrużyła oczami, ale nic to nie zmieniło. Dalej widziała to, co widziała.

Naya wstała z łóżka, a Caine zaczął się cofać, pełzając po podłodze w śpiworze, jakby bał się do niej zbliżyć.

Naya stanęła jak wryta w reakcji na ich zachowanie.

– A wam co dolega...

Zamilkła, bo gdy wstała, sama dostrzegła, o co im chodziło. Zatkła usta dłońmi. Jej oddech zadrżał, a następnie z jej ust dobyło się kwilenie przypominające płacz zagubionego bezbronno dziecko.

Naya była w bardzo, ale to bardzo zaawansowanej ciąży.

## Rozdział 22. Ciężka urojona

Gdy Naya podciągnęła do góry bluzę od piżamy, szczeka Bobbie opadła jeszcze niżej. „To dzieje się naprawdę”. Śniady brzuch Nai był nabrzmiały i wystawał z niego pępek. Pod napiętą skórą można było dostrzec ruch – w ciele jej przyjaciółki coś się wiło, chcąc wydostać się na wolność. Coś żywego.

– O Boże! – krzyknęła Naya, a jej dłonie ogarnęły spazmy. – O Boże!

Bobbie zmusiła się do cofnięcia znad krawędzi szaleństwa. Teraz jeszcze bardziej niż wcześniej Naya musiała wziąć się w garść – nawet jeśli miała tylko udawać. Zerwała się z krzesła i złapała przyjaciółkę za nadgarstki.

– Nayu, spójrz na mnie. Spróbuj się uspokoić.

– Bobbie... Bobbie... Ja jestem...

– Wcale nie! – zawołała Bobbie głośniej. – Nie jesteś!

Bobbie przypomniało się, jak Naya gadała o swoim brzuchu i przybieraniu na wadze. Jezu święty, przecież ona od tygodnia cierpiała na poranne nudności! Przez cały czas Bobbie sądziła, że z ich trójki Nai najmniej się oberwało, ale

najwyraźniej wcale tak nie było. A co, jeśli ona naprawdę...? Nie, to niemożliwe.

– Jesteś pewna...? – spytał Caine nieśmiało.

Obie dziewczyny odwróciły się ku niemu z pogardliwymi minami. Przyziemny charakter tego pytania pomógł im trochę ochłonąć.

– Nie mogę być w ciąży! – zawyła Naya. – A już na pewno nie *w takiej!*

– Wiem, wiem.

Bobbie próbowała ją uspokoić. Zmusiła się, by raz jeszcze rzucić okiem na dziwacznie napęczniały brzuch, i mogłaby przysiąc, że był mniejszy niż jeszcze chwilę wcześniej. Znajdująca się w środku istota ponownie kopnęła, sprawiając, że Bobbie się wzdrygnęła.

– Nayu, to dzieło Mary.

Jej przyjaciółki wcale nie pocieszyły te wieści.

– Przecież twoje bliźny są prawdziwe!

Nie. To niemożliwe. Nie było mowy, żeby przyjaciółka mogła nosić w sobie prawdziwe dziecko, ale taką właśnie konkluzję Naya miała wypisaną na twarzy. Bobbie próbowała ją uspokoić, ale dziewczyna wyrwała się jej, nie chcąc być pocieszana.

– To co innego.

– Wyciągnijcie je ze mnie!

– O Boże. – Caine pobladł na twarzy.

Bobbie westchnęła. Nie mogła zajmować się jednocześnie panikującą Nayą i wystraszonym Caine'em.

– Caine, tylko mi tu nie zemdlej!

– Wybacz... ale to... – wskazał na brzuch Nai – to już lekka przesada.

– Bobbie, błagam... – Po policzkach Nai ciekły łzy.

Bobbie zrobiła głęboki wdech. Czuła dudnienie w skroniach, jakby krew zbyt szybko napływała do mózgu. Naprawdę miała wrażenie, że głowa jej zaraz eksploduje. Ile jeszcze mogli znieść? Mary poddawała ich torturom.

– Nayu, usiądź. W twoim stanie powinno się unikać pozycji stojącej.

– Bobbie. To nie jest śmieszne.

Jednak udało się ją lekko uspokoić i zamiast popaść w głębszą histerię, Naya wyglądała obecnie tylko na wściekłą.

– Wiem, ale wszyscy musimy się rozluźnić. To – objęła ruchem ręki cały pokój, jakby ich panika była czymś namacalnym – wcale nie pomaga. To nie jest prawdziwe.

– Wydaje się prawdziwe.

– Sny też wydawały się prawdziwe. Tak jak wtedy, gdy miałam wrażenie, że Mary siedzi na moim łóżku... ale pod kołdrą nikogo nie było.

Teraz jest dokładnie tak samo. Cięża urojona w dosłownym znaczeniu tego wyrażenia. Nie ma mowy, żebyś nosiła w brzuchu dziecko.

Naya otarła łzy z policzków, tym razem uważniej jej słuchając. Wybrzuszenie robiło się coraz mniejsze.

– Widzisz? Ona tylko chce nam coś pokazać. Opowiada swoją historię.

– Ależ to wszystko pokręcone – stwierdził Caine, a jego oczy znowu zaczęły wyglądać normalnie.

– Chyba to rozgryzłam. – Bobbie przyklękła przed Naya, nie wypuszczając jej dłoni z uścisku. – Wiem, dlaczego potrzebne jej pięć dni. Ona czeka... zbiera siły.

Naya pociągnęła nosem.

– Co masz na myśli?

– Pierwszego dnia dostaliśmy tylko krwotoku z nosa, ale potem było coraz gorzej. Zupełnie jakby rosła w siłę... zyskiwała nad nami coraz większą kontrolę. Spójrz na mnie. Jestem cała w bliznach. Potrafi sprawić, żebyś wyglądała, jakbyś była w ciąży.

– Chyba mi się upiekło – zauważył Caine przepraszającym tonem.

– Najwyraźniej. – Bobbie wzruszyła ramionami. Przypomniało jej się, że Mary obserwowała

śpiącego Caine'a, i zaczęła się zastanawiać, czy nie odgrywał dla niej roli Millara – obiektu uwielbienia. Może do północy uraczy ich jakimiś nowymi sztuczkami.

– Ale jeszcze zobaczymy, przed nami cały dzień.

Caine nie wydawał się zachwycony tą perspektywą.

– W każdym razie to oznacza, że Judy miała rację. Mary naprawdę zaliczyła wpadkę.

– Cudownie.

Naya raz jeszcze przyjrzała się nabrzmiałemu brzuchowi. Unosił się i opadał w rytm jej oddechu, rozszerzając się i kurcząc niczym uwięziony w jej ciele balon.

– O to chodziło, Mary? – Bobbie zwróciła się bezpośrednio do ducha, kierując głos w sufit. – Rozpracowaliśmy sprawę! Zaszłaś w ciążę z Kentonem Millarem! Co teraz?

Jak można się było spodziewać, nie uzyskała żadnej odpowiedzi. Bobbie zastanawiała się, czy innym wychowankom Piper's Hall – tym z przeszłości – udało się zająć równie daleko. Czy w ogóle próbowały. Czy Mary przyzna im dodatkowe punkty za dobre chęci?

Naya zerwała się z łóżka i przesunęła dłońmi po coraz mniejszym wybrzuszeniu.

– Chyba znika.

– Widzisz? Mówiłam ci... ona chciała mieć pewność, że dowiemy się o dziecku. Chyba.

Na tym etapie, po wszystkim, przez co przeszli, Bobbie nie do końca była w stanie ręczyć za motywy kierujące działaniami zmarłej dziewczyny.

– Dobrze. – Caine westchnął z ulgą. – Tyle że tak naprawdę to niczego nie zmienia, nadal musimy odszukać ciało Mary. Zanim będzie za późno.

Bobbie skinęła głową.

– Muszę wziąć prysznic. – Naye przeszedł dreszcz. – Czuję się brudna w bardzo dziwny sposób.

– Nie – zatrzymała ją Bobbie. – Nie możesz iść do łazienki. Tam jest lustro.

Naya przez chwilę się zastanawiała.

– W łazience przewodniczącej szkoły jest wanna i nie ma lustra.

– Przecież nie jesteś przewodniczącą szkoły.

Naya otarła wilgotne od łez policzki, odzyskując fason.

– Po pierwsze: szkoła jest prawie pusta. Po drugie: noszę w brzuchu małego duszka, więc wszyscy powinni zrozumieć, że potrzebuję trochę czasu dla siebie.

Bobbie uściskała przyjaciółkę. Jeśli była w stanie żartować ze swojego stanu, nic jej nie



będzie.

– Okej. Idź pierwsza, a potem ja się trochę odświeżę i pojedziemy na cmentarz.

– Spoko.

Naya wzięła do ręki kosmetyczkę i zasłoniła brzuch szlafrokiem, mimo że wybrzuszenie wskazujące początkowo na trzeci trymestr ciąży skurczyło się już do rozmiaru niewinnego sadełka. Przesunęła po nim dłonią, ale nic nie powiedziała. Nie było prawdziwe.

– Trzymaj się z dala od luster... włącznie z tym, które zostawiłyśmy w strefie relaksu. Za minutkę do ciebie dołączę, nie powinniśmy się rozdzielać.

– Dobrze, proszę pani. Bob, dzięki, wiesz za co...

Bobbie domyślała się, że jej przyjaciółka ma na myśli udzielone jej wsparcie.

– Jesteś niesamowita. Kocham cię, dziewczyno.

Naya ją uścisnęła, a Bobbie poczuła, jak policzki oblewają jej się rumieńcem. Wcale nie czuła się niesamowita – raczej jak aktorka grająca rolę dziewczyny, która dobrze radzi sobie ze stresem. Chodziło o to, żeby Caine i Naya wierzyli, że ona ma wszystko pod kontrolą. Naya złożyła jej całusa na czole, po czym wyszła z pokoju, a drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

Bobbie po raz pierwszy od czasu pocałunku

w auli została sam na sam z Caine'em. Zerknęła na niego, a potem szybko odwróciła wzrok onieśmielona. Udało jej się rozwiązać kolejną zagadkę: dlaczego tak wiele wychowanek Piper's Hall co weekend udaje się do Oxsley, żeby wystawać w towarzystwie chłopców przed witrynami sklepów? Odpowiedź: bo to uzależniało. Pragnęła pocałować go raz jeszcze, po części, żeby sprawdzić, czy pocałunek rzeczywiście był tak wspaniały jak w jej wspomnieniach, a po części dlatego, że dzięki niemu doznała nieznanego wcześniej stanu.

Chciała znowu wypełnić się uczuciami, które stały się jej udziałem w auli – doświadczyć galopu serca.

Bobbie otrząsnęła się ze snów na jawie. Spędzenie ostatniego dnia życia na całowaniu przystojnego chłopca było jednocześnie najlepszym i najgorszym pomysłem, jaki kiedykolwiek przyszedł jej do głowy.

– No cóż, tego się nie spodziewałam.

– Co nie? Porąbane to było.

Pokój nagle zaczął wydawać się większy, niż był, jakby znajdowali się za daleko od siebie. Caine musiał to wyczuć, bo wygramolił się ze śpiwora i usiadł obok niej.

– Można? – spytał.

– Tak.

Coś mówiło Bobbie, że Caine nie będzie się do niej przystawiał, ale ona miała ogromną ochotę dotknąć jego skóry. Pogłaskała go po szyi, czując pod palcami szorstkość w miejscu, gdzie zaczynała się linia wygolonych włosów. Tym razem to ona go pocałowała. Było równie wspaniale jak w jej wspomnieniach – a nawet lepiej.

Caine odchylił się do tyłu.

– Uwaga! Poranny oddech!

– Mój? – zapytała przerażona Bobbie.

– Nie, nie! Chodziło mi o mnie!

– Twojemu oddechowi nic nie dolega.

Bobbie uśmiechnęła się, a następnie złożyła na jego wargach mniej ryzykowny, krótki pocałunek. Caine objął ją i mocno przytulił. Od lat nie czuła się równie bezpiecznie jak teraz, skryta w jego silnych ramionach. Kiedy ktoś ją ostatnio przytulił? Naya była zawsze skłonna do uścisków, a Grace wzięła ją przez zaskoczenie – ale to się nie liczyło. Mama przytulała ją ostatnio, gdy Bobbie była mała, a od tego czasu upłynęło już wiele lat. Uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej fizycznego kontaktu i dlaczego ludzie tak za nim przepadali, dlaczego poświęcali długie godziny na poszukiwania chłopaka czy dziewczyny – po to, żeby mieć kogo przytulać. Położyła głowę na

szerokim ramieniu Caine'a. Z jej oka wydobyła się łza, która chwilę później wsiąkała w cienką bawełnę jego koszulki.

– Płaczesz na mnie? – Po głosie słysząc było, że uśmiecha się psotnie.

Odsunęła się od niego i otarła oko.

– Nie, tylko oko mi przecieka. Wybacz. Może to, co powiem, nie będzie zbyt odkrywczе, ale nie chcę tego stracić.

Caine pogłaskał ją po plecach, poruszając kciukiem, jakby grał na harfie.

– Tak, wiem.

Bobbie ujęła jego dłonie w swoje. Nie wiedzieć czemu, jej usta wypowiedziały na głos jeden z jej najgłębszych lęków.

– Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za dziwaczkę, co?

Tym razem to on na nią spojrzał.

– Tylko w najlepszym znaczeniu tego słowa – odparł.

Kolejna łza zagroziła wynurzeniem się z jej oka, ale Bobbie ją powstrzymała. Dobrze. Jeśli zostanie porwana przez niemogącego znaleźć ukojenia ducha, przynajmniej umrze, wiedząc, że znalazła kogoś, kto ją rozumie. Fajne uczucie.

– Masz ochotę na śniadanie? – spytała. – Mogłabym coś zwałić ze stołówki.

– Tak, chętnie. Podasz mi wodę?

– Pewnie. – Na biurku stały przyniesione wieczorem szklanki. – Która jest twoja?

– Ta wyższa.

Bobbie podała mu do połowy pełną szklankę.

– Dzięki.

Bobbie rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu ubrań, które mogłaby na siebie narzucić, żeby przynieść im śniadanie. Znowu ogarnęła ją nieśmiałość i jednocześnie chciała i nie chciała rozebrać się przy Cainie.

– Co jest?!

Chwilę po okrzyku, który wydobył się z ust Caine'a, szklanka rozbiła się o przetarty dywan.

– Co...

– Była w szklance. – Caine wciągnął nogi na łóżko.

– Co takiego?

– Widziałem ją w wodzie. Spójrz!

Bobbie przyjrzała się kałuży rozlewającej się po podłodze. Dywan był do tego stopnia cienki, że nie mógł wchłonąć wody, której ciemny krąg zajmował coraz większe terytorium. W pierwszej chwili Bobbie widziała w kałuży tylko swoje odbicie, ale potem tuż za nią pojawiła się inna twarz, jakby jej właścicielka naprawdę znajdowała się za jej plecami. Bobbie z wrzaskiem rzuciła się

do tyłu i wpadła na szafę.

Wtedy wydarzyło się coś jeszcze.

Z kałuży wynurzył się siny koniuszek martwego palca, przekraczając granicę między odbiciem a rzeczywistością. Bobbie wrzasnęła raz jeszcze. Ona naprawdę po nich szła.

Nie była w stanie oderwać wzroku od trupiego palca, więc nie widziała, jak Caine chwytą kołdrę, która chwilę później znalazła się na plamie i momentalnie wchłonęła wilgoć. Bobbie rzuciła się na podłogę i zaczęła przyciskać kołdrę do dywanu. Gdy ją uniosła, kałuża i upiorne palce zniknęły.

Spojrzała na Caine'a. Słowa były niepotrzebne. Gra dobiegała końca. *Ona* nadchodziła.

– Już nawet nie jest jej potrzebne lustro. Stała się wystarczająco silna, żeby przejść przez dowolne odbicie.

Caine skrył twarz w dłoniach, a chwilę później zerwał się na równe nogi.

– A co z Naya?

Bobbie zmarszczyła brwi i doznała uczucia przypominającego uderzenie kowadła w żołądek.

– Boże! Wanna!

\*\*\*

Oboje rzucili się biegiem przez skrzydło Brontë, a Bobbie miała gdzieś, że ktoś może ich zobaczyć. Nie zastanawiała się, w jak wielkie tarapaty by

wpadła, gdyby nakryto w szkole Caine'a. Teraz liczyło się tylko jedno.

– Gdzie ta łazienka?! – zawołał wyprzedzający ją o kilka kroków Caine.

Drzwi pokoi znajdujących się w skrzydle Brontë rozmazywały się, gdy mijali je rozpędzeni.

– Piętro wyżej! Na końcu skrzydła Dickinson.

– Gdzie?

– Za mną!

Bobbie przejęła prowadzenie. Nie było czasu, żeby zawracać sobie głowę tajnymi przejściami, więc ruszyli do głównych schodów. Do tej pory narobili takiego hałasu, że z jednego z pokoi w skrzydle Austen wychyliły się głowy kilku pozostałych w szkole dziewcząt.

Bobbie poruszała się zbyt szybko, żeby je rozpoznać, ale była pewna, że jedna z nich zawołała:

– O Boże! To jakiś chłopak!

Jeszcze parę dni wcześniej sama byłaby zgorszona.

Wbiegała po dwa schodki naraz, a Caine deptał jej po piętach. „Nie Naya... błagam, tylko nie Naya” – myślała. Jej gardło było tak bardzo zaciśnięte i wyschnięte, że aż bolało. Dotarli na piętro pomiędzy skrzydłami Christie i Dickinson.

– Naya! – wrzasnęła Bobbie.

Pociągnęła za dwuskrzydłowe drzwi prowadzące w głąb skrzydła Dickinson, ślizgając się w skarpetkach po chłodnych płytkach podłogi.

Łazienka przewodniczącej szkoły znajdowała się tuż obok głównej łazienki i wyposażono ją w jedyną wannę, z której mogły korzystać uczennice. Ów przywilej był właściwie jedynym powodem, aby zostać przewodniczącą szkoły. Bobbie wpadła na drzwi i szarpnęła za klamkę. Były zamknięte na klucz.

– Naya! – Bobbie zaczęła walić w nie pięścią.

– Bob? Co się dzieje? – Ze środka dobiegł głos Nai. – U mnie w porządku, brzuch zniknął.

Bobbie usłyszała chlapnięcie wody, gdy Naya usiadła prosto.

– Naya, natychmiast wyłaź z wanny!

– Co? Dlaczego? Chce ci się siku czy... – Urwała w pół zdania.

Bobbie przycisnęła ucho do drzwi.

– Naya?

Caine zaczął łomotać pięścią o drzwi.

– Naya, wyłaź! To nie żart!

– Naya!

Bobbie szarpała się z klamką. Nigdy nie była przewodniczącą szkoły, więc tylko raz czy dwa miała okazję zajrzeć do środka i nie pamiętała, jak wygląda zamek. Rzuciła się na drzwi całym ciałem,



ale nawet nie drgnęły.

– Nie! – Załkała.

Nie mogła stracić najlepszej przyjaciółki – sama myśl o życiu bez niej była nie do zniesienia. Bezwarunkowe uczucie, którym darzyła ją Naya, było kolejną niedocenianą przez Bobbie rzeczą.

– Caine! – zawołała. – Zrób coś!

Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie.

Chłopak staranował drzwi barkiem, sprawiając, że z pokoi w skrzydle Dickinson zaczęły wychylać się głowy. Drzwi wgięły się do środka, ale pozostały zamknięte.

Dobiegło ich donośne pluśnięcie, a po nim dźwięk zasysanego łąpczywie powietrza, jakby Nai udało się wynurzyć na powierzchnię, walcząc o oddech.

– Bobbie! – krzyknęła płaczliwym głosem.

Ktoś wciągał ją pod wodę.

Bobbie padła na kolana. Sama ledwo była w stanie oddychać przez łyzy. Pomiędzy klamką a framugą drzwi powstała maleńka szpara. Wydobywało się z niej światło. Bobbie zajrzała przez szczelinę, przymykając drugie oko.

Pomieszczenie wypełnione było parą. Nad poszczerbioną emaliowaną wanną zwisała tandetna matowa zasłonka. W łazience panowała cisza i nic nie wskazywało na to, żeby faktycznie

odbyła się tu walka, którą słyszała zza drzwi.

– Naya? – szepnęła, ale jej przyjaciółki tam nie było.

Cisza, przetykana tylko miarowym kapaniem.

Na krawędzi wanny zacisnęły się palce. Lepkie, szare, martwe paluchy. Paznokcie o barwie łupku. Na podłogę pociekła z nich różowa woda. Potem ze środka wyłoniły się mokre czarne włosy.

Z wanny zaczęła wynurzać się Mary.

Rozdział 23.  
Izolotka

Bobbie odskoczyła od drzwi i wpadła na Caine'a. Klapnęła na pupę, ciągnąc go ze sobą.

– Ona nadchodzi! – Słowa z trudem przecisnęły jej się przez gardło.

– Co?

Obróciła się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

– W środku jest Mary! Porwała Nayę!

Dwuskrzydłowe drzwi na końcu korytarza otworzyły się gwałtownie i wdarł się do niego przeciąg.

– Co tu się dzieje, u licha? – Pani Craddock ruszyła ciężkim krokiem w ich kierunku, trzymając w dłoni nadgryziony tost. – Roberto Rowe! Co ty wyprawiasz?

Bobbie podniosła się z podłogi i obróciła do wychowawczyni tak szybko, że do ust wślizgnęło jej się kilka kosmyków włosów.

– Pani Craddock, musi nam pani pomóc. Ona schwyciła Nayę.

Na twarzy starszej kobiety odmalował się wyraz dezorientacji.

– Co takiego? Co ty wygadujesz?

Bobbie złapała ją za rękaw i odciągnęła od

drzwi łazienki.

– Mary. Mary Worthington. Porwała Sadie, a teraz chce dopaść nas.

Mina pani Craddock zmieniła się z poirytowanej w zaniepokojoną.

– Bobbie, kochanie, musisz się uspokoić. Dobrze się czujesz? Kim jest ten młodzieniec?

Caine zrobił krok do przodu. Na jego czole lśniły kropelki potu.

– Bobbie mówi prawdę. Tam jest duch.

Wskazał na drzwi drżącym palcem.

W panią Craddock na nowo wstąpiła złość.

– Och, na litość boską! Dostyc tych bzdur! Gdzie jest Naya?

– Niech pani przestanie zadawać pytania! – warknęła Bobbie. – Nie ma na to czasu!

– Nie wolno ci mówić takim tonem do szkolnego personelu!

W drzwiach pojawiła się chuda, kanciasta sylwetka doktor Price. Dyrektorka stała z rękoma splecionymi na piersi i wydętymi ustami.

– Roberto, masz dokładnie minutę na wyjaśnienie mi, co ten chłopiec robi na terenie Piper's Hall oraz dlaczego wydzierasz się wniebogłosey o ósmej rano. – Głos kobiety jak zwykle pozbawiony był emocji.

Bobbie nie mogła się dłużej hamować. Utrata

Nai wybiła dziurę w mentalnej tamie, przez którą wylały się tłumione wcześniej emocje.

– Doktor Price, proszę nam pomóc. Błagam. Musi nam pani pomóc.

Ciekło jej z nosa, ale miała to gdzieś.

– Bobbie, przestań w tej chwili. Weź się w garść.

– Ale ona porwała Nayę. I Sadie.

– O kim ty mówisz?

– O Mary Worthington.

Bobbie musiała powstrzymać się przed wykrzyczeniem tego imienia i nazwiska, a zaraz potem dodała:

– O Krwawej Mary!

Dyrektorka przewróciła oczami, a na jej wargach pojawił się lekki uśmiech.

– Na litość boską, Roberto, nie mam czasu na bajeczki o duchach.

– Musi nam pani uwierzyć – warknął Caine.

Doktor Price spojrzała na niego pogardliwym wzrokiem dorównującym chłodem arktycznej zamieci.

– Jesteś intruzem, więc nie chcę słyszeć od ciebie ani słowa.

Bobbie przestała nad sobą panować i z szaleńczym uporem uchwyciła się ostatniej szansy, którą stanowiła dla nich osoba dyrektorki.

– To wszystko prawda! Pięć dni temu wypowiedzieliśmy jej imię przed lustrem. Piątego dnia miała po nas przyjść i już tu jest! Porwała Nayę!

Okropność tego faktu zaczęła do niej docierać. Gdyby wcześniej cokolwiek zjadła, pewnie by to teraz zwróciła, a tak jej żołądek skręcał się tylko boleśnie.

– Porwała Nayę... – powtórzyła bezsilnie.

Doktor Price ścisnęła opuszkami palców nasadę nosa.

– Wydawało mi się, że słyszałam już każdą możliwą wymówkę, ale twoja, Bobbie, bije je wszystkie na głowę.

Obcasy dyrektorki zastukały o płytki podłogi, gdy kobieta podeszła do drzwi łazienki.

– Nie! Niech pani ich nie otwiera! Tam jest Mary!

– Zresztą są zamknięte od środka – przypomniał Caine.

Doktor Price zapukała do drzwi.

– Nayu Sanchez? Jesteś tam? Tu doktor Price, wpuść mnie natychmiast.

Nikt nie odpowiedział. Dyrektorka złapała za klamkę.

– Nie! – krzyknęła Bobbie.

Doktor Price przekręciła klamkę i drzwi

otworzyły się bez żadnego oporu, wypuszczając na korytarz kłęby pary.

– Wcale nie były zamknięte – zauważyła.

– Co? To niemożliwe. – Caine zmarszczył brwi.

– Przysięgam, że...

– Prosiłam, żebyś się nie odzywał, prawda?

Doktor Price weszła do łazienki. Bobbie zmusiła się, żeby tam zajrzeć. Naturalnie Mary zniknęła. Zaczęła się zastanawiać, czy ona w ogóle jest w stanie ukazać się osobom, które jej nie wywołały. To wyjaśniałoby, dlaczego Kellie i Lottie nie wspomniały o niej, gdy zniknęła Sadie. Bobbie otarła wilgotną od łez twarz. Na razie byli bezpieczni. Woda w wannie nadal kołysała się lekko na boki.

– Roberto, co tu się dzieje?

– Już pani mówiłam – odparła, odzyskując wewnętrzną siłę.

– Gdzie jest Naya?

Było po sprawie. Spóźnili się. Naya zniknęła, chociaż wydawało się to niemożliwe. Jakim cudem ktoś tak ważny jak Naya mógł tak po prostu zapaść się jak kamień w wodę? Bobbie zalała falą smutku. Nie była pewna, co dokładnie przyniosłaby Nai przyszłość, ale z pewnością byłoby to coś spektakularnego. Wzrok Bobbie zaczął się rozmazywać.

– Mary ją zabrała – szepnęła. – Po nas też przyjdzie.

Wokół nich zgromadziło się niewielkie grono pozostałych w szkole dziewcząt, które przyszły sprawdzić, o co tyle hałasu. Trajkotały sobie nawzajem do uszu niczym kąśliwe wróbelki. Bobbie była zbyt rozemocjonowana, żeby zauważyć Grace i Caitlin stojące wśród gapiów.

– Dosyć tego! – Doktor Price po raz pierwszy podniosła głos. – Sprawa jest poważna. Roberto Rowe, gdzie jest Naya?

– Już pani mówiłam! Mary ją zabrała! – odparła Bobbie piskliwym tonem.

Doktor Price uniosła brew.

– Ostatnie ostrzeżenie. Nie pozwolę ci tak się do mnie odnosić. Gdzie-jest-Naya?

Bobbie poczuła się jak naciągnięta do granic wytrzymałości gumka recepturka, która w końcu pęka.

– To bez sensu! Nie wierzy nam pani! Mówię prawdę. Mary zabiła Nayę, a teraz Caine i ja też umrzemy i jeśli nas pani nie wysłucha, to będzie pani wina!

Bobbie obróciła się do niezbyt licznej widowni.

– Grace! Byłaś tam z nami! Powiedz, co zrobiliśmy!

Grace zrobiła pauzę, a następnie bezradnym



gestem uniosła dłonie. Po jej wargach przemknął prawie niezauważalny uśmiech.

– Doktor Price, nie mam pojęcia, o czym ona mówi.

– Ty suko! – wrzasnęła Bobbie.

– Kłamie! – dodał od siebie Caine.

Doktor Price stanęła między Bobbie a Grace.

– Dosyć! Porozmawiamy o tym, gdy odzyskasz maniery wychowanki Piper's Hall. – Dyrektorka rozejrzała się w poszukiwaniu wsparcia. – Pani Craddock, Grace, pomożecie mi odprowadzić pannę Rowe do izolatki?

– Oczywiście.

Grace była niezmiernie skora do pomocy.

– Nie możecie mnie tam zamknąć!

Bobbie zaczęła się cofać w głąb korytarza ciągnącego się przez skrzydło Dickinson, ale została otoczona przez Grace i panią Craddock.

– Nie będę w stanie uciec, jeśli ona...

– Nie dotykaj jej.

Caine zastąpił Grace drogę, ale jego wzrost nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia i odgoniła go od siebie machnięciem dłoni niczym natrętną muchę.

Doktor Price chwyciła Caine'a za ramię i zaczęła prowadzić go do drzwi, ale się wyrwał.

– Jeśli w ciągu dwóch minut nie opuścisz terenu

szkoły, zadzwonię po policję. Rozumiemy się?

– Nie może pani tego zrobić!

– Zaraz się przekonamy. – Doktor Price poprowadziła ich w kierunku głównych schodów. – Roberto, ochłoniesz w izolatce, a potem odbędziemy poważną rozmowę, zrozumiano?

Grace i pani Craddock zaczęły ciągnąć ją w kierunku schodów.

– Błagam... nie! Nie zamykajcie mnie tam!

– Decyzja nie należy do ciebie.

\*\*\*

Izolatka była pomieszczeniem o rozmiarach schowka na przetwory, mieściła się na parterze, tuż obok ambulatorium. Caine został wyprowadzony ze szkoły przez główne wejście, a potem trzaśnięto mu drzwiami przed nosem. Prowadzona do celi Bobbie nadal słyszała, jak chłopak tłucze o nie pięściami.

– Proszę! – błagała. – Nie zostawiajcie mnie tam samej!

– Musisz się uspokoić – powtórzyła idąca przodem doktor Price.

– Ona mnie dopadnie, gdy tylko zostanę sama!

– Może powinnyśmy wezwać doktora Robinsona? – zaproponowała pani Craddock.

– Zobaczymy. Jeśli nie przestanie się wściekać, może faktycznie trzeba będzie zaaplikować jej coś

na uspokojenie.

Bobbie momentalnie przestała się szarpać. Gdyby podano jej środki uspokajające, na pewno nie byłaby w stanie stawić czoła Mary.

– Proszę tylko, żeby ktoś mnie pilnował...

Doktor Price obdarzyła ją spojrzeniem, w którym dostrzec można było coś na kształt współczucia.

– Zapewniam cię, że będziemy cię dobrze pilnować – obiecała, po czym otworzyła szeroko drzwi do izolatki. – Zapraszam do środka. Tylko zdejmij okulary. Bez wątplenia masz skłonności do samookaleczania.

W całym tym zamieszaniu Bobbie całkiem zapomniała o bliznach na twarzy. Zrezygnowana oddała okulary i natychmiast ogarnęła ją dezorientacja. Grace z niepotrzebną satysfakcją popchnęła ją ku drzwiom przypominającego trumnę pomieszczenia. We wnętrzu wąskiego prostopadłościanu znajdowały się tylko dwa podłużne okienka na samej górze jednej ze ścian. Pod nimi stało szpitalne łóżko, na którym nie było ani jednego koca.

– Do środka – powiedziała doktor Price.

Bobbie przesunęła stopami po podłodze i weszła głębiej. W słoneczny dzień pomieszczenie sprawiało posępne wrażenie. W ponury dzień było

przytłaczająco mroczne.

– Wróć po ciebie za godzinę – oznajmiła dyrektorka, po czym obróciła się do pani Craddock. – Musimy odszukać Nayę. Jeśli zaginęła, trzeba od razu zawiadomić policję.

Drzwi zatrzasnęły się i Bobbie została uwięziona w betonowej trumnie. Niezbyt dobrze znosiła przestrzeń zamkniętą – nawet windy wywoływały u niej ataki klaustrofobii, a to pomieszczenie okazało się znacznie gorsze. Zwłaszcza gdy w zamku zazgrzytał klucz. „Życzę powodzenia policji” – pomyślała z goryczą. Nie znajdą Nai. Nikt jej nie znajdzie. Przepadła.

Na myśl o przyjaciółce Bobbie poczuła palący ból pod mostkiem i musiała ugryźć się w język, żeby powstrzymać się od krzyku.

Klapnęła na łóżko, którego sprężyny zaprotestowały zrzedliwym skrzypnięciem. Zamknęła oczy i skupiła się na wykonywaniu głębokich wdechów, które zaleciłaby jej mama, gdyby z nią teraz była. Niewiele to jednak dało. Caine został sam w świetle pełnym luster. Zresztą lustra okazywały się niepotrzebne – wystarczyło cokolwiek, co dawało odbicie. Jego los był przesądzony. Rozglądając się po pokoju, zdała sobie sprawę z jedynej jego zalety, czyli braku odblaskowych powierzchni.

Została już tylko ona. Sadie i Naya zniknęły, Caine miał lada chwila podzielić ich los, a Bobbie została uwięziona. Ponieśli porażkę. Jeszcze nigdy nie czuła się równie bezsilna. Mogła tylko czekać.

Jedynym, czego nie brakowało jej w celi, był czas na rozmyślanie. Starła się odgonić od siebie wspomnienia związane z Naya, ale nie była w stanie: impreza, na którą poszły przebrane za Bellatriks i Zgredka; Naya obmacująca gołe pośladki posągów w Muzeum Brytyjskim, a potem wyprowadzana z budynku przez ochroniarza; „anonimowe” walentynki, które co roku od niej otrzymywała. Bobbie strasznie za nią tęskniła. Stłumiła śmiech, bo było coś pocieszającego w tym, że pustka w sercu miała jej towarzyszyć jeszcze przez co najwyżej dwanaście godzin. Kto wie, może wszyscy się jeszcze spotkają.

Myślała też o Cainie, któremu na chwilę udało się zamienić jej życie w bajkę i wywołać w niej jakąś fundamentalną zmianę. Obudził ją ze snu pocałunkiem. Przez pięć dni przeżyła więcej niż w ciągu ostatnich szesnastu lat. A teraz już go przy niej nie było, a ona pragnęła go tak, jak nigdy wcześniej niczego nie pragnęła (nawet starej maszyny do pisania, o którą męczyła mamę w wieku dwunastu lat).

Przezywając w izolatce, nie dało się precyzyjnie

określić upływu czasu. Bobbie w dalszym ciągu była ubrana w piżamę i nie miała przy sobie ani zegarka, ani telefonu. Z zewnątrz dobiegały ją dźwięki fal rozbijających się o podnóża klifów oraz miarowe stukanie kropli deszczu o podwórzec. Musiała też przeciekać rynna, bo na ścieżkę za oknem lał się nieprzerwany strumyczek wody.

Nie... chwileczkę. „To musi być sprawka Mary” – uświadomiła sobie nagle. Krople wody spadające na płytki w holu, pod prysznicem, w łazience przewodniczącej szkoły. Słyszała je od tygodnia... gdzieś w oddali. Teraz kapanie stało się o wiele bardziej intensywne.

Bobbie siedziała na łóżku tak długo, że zdrętwiały jej nogi i pośladki. Zaczęła chodzić w tę i we w tę, żeby pobudzić krążenie, ale rozmiary pomieszczenia nie sprzyjały spacerom. Burza zaczęła przybierać na sile, co sprawiło, że pokój stał się jeszcze mroczniejszy i jakby mniejszy. Grzmoty przypominały burczenie w żołądku głodnego nieba, po którego obliczu w nieregularnych odstępach czasu przemykały błyskawice.

Co jakiś czas za matową szybką z pleksiglasu w drzwiach pojawiała się czyjaś rozmyta twarz. Domyślała się, że to doktor Price sprawdza, co u niej słychać, ale nie miała pewności. Wraz

z upływem minut, a może i godzin Bobbie czuła, że zaczyna tracić nad sobą panowanie. Caine i Naya, Naya i Caine. Panika zmieniła się w złość i dłonie zaczęły jej drżeć od nadmiaru nerwowej energii.

W końcu nie wytrzymała i rzuciła się na drzwi. Nie mogła już dłużej czekać. Starając się zabrzmieć jak osoba zrównoważona i zdrowa na umyśle, zawołała:

– Halo! Jest tam kto? Już się uspokoiłam! Mogę rozmawiać.

Nie otrzymała odpowiedzi. Przycisnęła twarz do szkła, nie była jednak w stanie niczego dojrzeć ani nie dobiegały jej żadne dźwięki z korytarza.

– Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co się dzieje?  
Cisza.

Zmarzła. Wróciła na łóżko, pocierając ramiona, żeby je ogrzać. Przycisnęła plecy do chłodnej ściany i wbiła wzrok w drzwi. Naprawdę się już uspokoiła, ale nie miała zamiaru kłamać. Jeśli to będzie konieczne, zacznie od samego początku: wybryk przed lustrem, Sadie, Bridget, Judy. Bez względu na to, jak bardzo szalona wydawała się ta historia, nikt nie mógł zaprzeczyć, że wydarzyło tu się coś, co w słownikach określano mianem zjawisk paranormalnych. Jeśli będzie trzeba, Bobbie wymusi na doktor Price telefon do Judy albo do szpitala. Wystarczyło chwilę się zastanowić

i wszystkie tropy układały się w jedną dziwną całość – każdy mógł to dostrzec.

Bobbie zamknęła oczy i oparła głowę o ścianę.

Strużka wody za oknem zmieniała się w rytmiczne kapanie.

Kap, kap, kap.

Otworzyła oczy. Kątem jednego z nich dostrzegła jakiś ruch.

Bobbie jęknęła i stoczyła się z łóżka na podłogę.

Ze ściany, która jeszcze chwilę wcześniej była gładka i płaska, wyzierała twarz dziewczyny. Gipsowa powierzchnia rozciągała się i napinała, jakby wykonano ją z lateksu, a po obu stronach upiornego oblicza widać było napierające od zewnątrz palce. Mary próbowała dostać się do pokoju przez ścianę.

Bojąc się odwrócić wzrok, Bobbie zaczęła przesuwać się do tyłu na pupie. Twarz zapadła się w gipsie, a ściana odzyskała normalny wygląd.

– O Boże...

Ściana położona najbliżej niej zafalowała, wyciągnięta dłoń ponownie próbowała się przez nią przedrzeć. Bobbie z krzykiem zerwała się na równe nogi i przycisnęła plecy do przeciwległej ściany. Para chudych ramion wysunęła się, żeby ją schwytać, jednak znajdowała się poza ich zasięgiem i w końcu się wycofała.



Chwilę później odcisk twarzy Mary pojawił się tuż obok twarzy Bobbie, która znowu rzuciła się do drzwi.

– Wypuście mnie! – wrzasnęła, waląc w nie pięściami. – Ona próbuje tu wejść! Błagam!

Zdawała sobie sprawę, że takie zachowanie nie pomoże jej odzyskać reputacji osoby zdrowej na umyśle, ale wolała być uznana za wariatkę, niż pożegnać się z życiem.

– Proszę! Czy ktoś mnie słyszy?

Twarz Mary przepłynęła z otwartymi ustami całą powierzchnię ściany, która rozciągała się, gdy upiór próbował się przez nią przedrzeć. Bobbie obróciła się gwałtownie, żeby stawić czoło martwej dziewczynie.

– Tu nie ma żadnych luster, Mary! Nie uda ci się wejść.

Wystająca ze ściany twarz zastygła w bezruchu, a potem zwróciła się ku niej z pytającą miną.

– Czego ty chcesz? – wymamrotała przerażona Bobbie. – Zrobiłam wszystko, o co prosiłaś... Próbowałam ci pomóc... Czemu nie dajesz mi spokoju?

Dlaczego właśnie ona? Dlaczego ze wszystkich dziewczyn na całym świecie, które wypowiedziały jej imię, to do niej Mary przyssała się jak pijawka?

Twarz zaczęła się cofać – powoli, jak w transie.

Bobbie trzymała się kurczowo framugi drzwi niczym tratwy ratunkowej. Mary była potężniejsza niż kiedykolwiek wcześniej, ale najwyraźniej w dalszym ciągu potrzebowała odblaskowej powierzchni, żeby móc całkiem przenieść się do realnego świata.

– Wypuście mnie.

Bobbie oparła głowę o drzwi, wiedząc, że nikt jej nie słyszy.

– Proszę... – dodała bezsilnie.

W obskurnym pokoiku zapadła cisza. Ściany wróciły do normalności. Jedynym dźwiękiem był nierówny oddech Bobbie, która z plecami przyciśniętymi do drzwi badała wnętrze celi wzrokiem. Mary nie podda się tak łatwo, zwłaszcza gdy jej popisy zyskały mimowolnego widza.

– Mary? – spytała Bobbie szeptem. – Gdzie jesteś?

Kap.

Dźwięk spadających kropli stał się głośniejszy. I bliższy.

Kap, kap.

Wtedy Bobbie dostrzegła jego źródło. Pod sufitem biegły rury grzewcze znikające w przeciwległych ścianach. Pośrodku jednej z nich znajdowało się przerdzewiałe złącze, z którego wyciekała woda. Krople przez chwilę wisały bez

ruchu, a potem opadały na podłogę z mokrym płaskiem.

Bobbie rozdziawiła usta z zaskoczenia. To Mary. Ona za to odpowiadała.

Kap, kap, kap.

Pośrodku linoleum zaczęła powstawać kałuża. Mary budowała portal. Krople zmieniły się w nieprzerwaną strużkę – przeciek przybierał na sile.

Bobbie obróciła się do drzwi i zaczęła okładać je pięściami.

– O Boże, wypuście mnie stąd!

Z kałuży wynurzyła się blada jak śmierć dłoń.

## Rozdział 24. Gdy cił utract...

Bobbie usłyszała dźwięk przekręcane go w zamku klucza. Drzwi otworzyły się do środka, popychając ją w kierunku rozczapierzonych paluchów Mary. Wtedy jednak ktoś chwycił ją za ramiona i wyciągnął na korytarz. Bobbie zatrzęsnęła za sobą drzwi w nadziei, że martwa dziewczyna zostanie za nimi uwięziona.

Odwróciła się na pięcie i ujrzała Caine'a. Rzuciła mu się w ramiona, a on przytulił ją w pustym korytarzu. Przyciskała twarz do jego piersi, a gdzieś z oddali dobiegało ją monotonne brzęczenie alarmu pożarowego.

– Już dobrze – szeptał jej we włosy. – Już dobrze.

Spojrzała na niego, a potem pocałowała go mocno w usta. Z kilku powodów. Po pierwsze, nigdy wcześniej nie cieszyła się równie mocno na widok drugiego człowieka – byłaby skłonna ucałować panią Craddock, gdyby to ona otworzyła drzwi. Po drugie, to przecież Caine. Po trzecie, naprawdę sądziła, że już nigdy więcej go nie zobaczy, i jeśli ten pocałunek miał być ich ostatnim, to chciała, żeby był naprawdę

wyjatkowy. Odsunęła się, ale on nie wypuścił jej z objęć, jakby nie mógł znieść myśli o utraceniu jej po raz kolejny.

– Żyjesz – zauważyła zdyszana.

– Zgadza się.

– Jak udało ci się tu wrócić?

– Włączyłem alarm pożarowy... Nie słyszałaś go?

– W środku nie... ale nie byłam tam sama.

– Co?! – Caine obrócił głowę, żeby zajrzeć do pokoju. – Wszystko w porządku?

– Teraz już tak. Musimy stąd iść, bo nie jestem pewna, czy drzwi są w stanie ją zatrzymać.

Ruszyli korytarzem mocno przytuleni.

– Która godzina? – spytała Bobbie.

– Dochodzi trzecia.

– Siedziałam tam *cały dzień*?

– Coś w tym stylu. W budynku roіło się od policjantów. Musiałem poczekać, aż odjadą, zanim zaryzykowałem powrót do środka. – Podał jej okulary. – Proszę, leżały na półce obok drzwi.

W geście Caine'a czuło się tak wielką troskę, że ledwo się powstrzymała przed ponownym pocałowaniem go. Jednak czułości musieli odłożyć na później.

– Pewnie szukają Nai. – Bobbie skupiła się na bieżącej sytuacji. – Muszą sprawdzić, czy sama nie

uciekła, zanim cokolwiek ogłoszą.

Caine wziął ją za rękę i poprowadził w kierunku jadalni.

– Chodźmy. Mamy mało czasu. Niedługo zorientują się, że to fałszywy alarm, i ktoś sobie na pewno przypomni, że siedzisz tu zamknięta.

Bobbie podreptała za nim do wejścia znajdującego się nieopodal kuchni. Wiedziała, że podczas alarmów pożarowych zarówno personel, jak i uczennice miały obowiązek wyjść na szkolne boisko. To dawało im co najmniej kilka minut, ale i tak nie miała czasu, aby się przebrać czy chociaż włożyć jakieś buty. Pociągnęła Caine'a za rękę, dając mu sygnał, żeby zwolnił.

– Dziękuję, że po mnie wróciłeś.

Zrobił zaskoczoną minę.

– Chyba żartujesz? – Przez chwilę szukał potrzebnych mu słów. – Możesz na mnie liczyć.

Uśmiechnęła się, wiedząc, że na tak wczesnym etapie związku nie mógł powiedzieć nic więcej – o ile faktycznie ich relację można było określić tym właśnie słowem.

– Dziękuję – powtórzyła.

I żeby oboje nie mieli wątpliwości w kwestii tego, co dokładnie ich łączy, ponownie go pocałowała. Miała zamiar w pełni korzystać z każdej pozostałej im minuty.

Caine oblał się rumieńcem.

– Lepiej przestań. Podniecenie nie ułatwi mi uciezki...

Bobbie zrozumiała, co ma na myśli, i już chciała pokusić się o komentarz, ale Caine pociągnął ją do wyjścia. Gdy wybiegli na podwórzec łączący starą część szkoły ze skrzydłem imienia Millara, alarm nadal brzęczał. Niebo było ciemne jak w nocy i przypominało bolesny siniec. Krople ulewnego deszczu odbijały się od betonowych płyt. Dziedziniec pokryty był rozległymi kałużami.

Bobbie puściła rękę Caine'a i osłoniła głowę dłońmi.

– Czekaj. Gdzie idziemy?

Caine zatrzymał się pośrodku podwórca, a po twarzy ściekały mu strugi deszczu.

– Nie wiem. Na razie oddalmy się stąd, zanim zostanę aresztowany za uprowadzenie ciebie.

– Chodźmy na cmentarz. Może uda nam się znaleźć...

Nagle zrozumiała, co się za chwilę stanie, ale było już za późno. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, gdy zobaczyła, że Caine stoi w samym środku gigantycznej kałuży, to myśl, że przemoczy sobie stopy. Chwilę później jednak...

– Caine! – wrzasnęła.

Biała niczym marmur dłoń wynurzyła się

z wody i zacisnęła wokół jego kostki. Gdy Caine zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, otworzył szeroko oczy i rozdziawił usta w bezgłośnym krzyku przerażenia.

Jego stopa zniknęła w kałuży, zupełnie jakby gdzieś pod nim otworzyła się zapadnia, a dłoń zaczęła wciągać go coraz głębiej. Gdy Bobbie do niego doskoczyła, zapadł się już po pas.

– Caine!

Obiema rękami złapała go za prawą dłoń i z całej siły pociągnęła. Jednak chłopak znacznie przewyższał ją masą ciała, a istota, która miała go w uścisku, była niezwykle potężna.

– Bob...

Caine zacisnął zęby, a jego lewa dłoń na próżno szukała czegoś, czego mogłaby się złapać. Zazgrzytał paznokciami o mokre płyty dziedzińca. Zanurzył się po pierś.

Bobbie ciągnęła z całych sił odchyloną do tyłu, zapierając się stopami. Nie miała szans. Kolana się pod nią ugięły i upadła na pupę, po czym zaczęła przesuwać się razem z Caine'em.

– Nie puszczaj! – zawołała do niego.

Zapadł się aż po szyję. Odchylił głowę do tyłu, żeby utrzymać twarz na powierzchni. Bobbie szarpnęła go za ramię i poczuła, jak coś strzela mu w stawie. Wszystko na nic.



– Bobbie – powiedział. – Ja...

Zanurzając się, Caine zamknął oczy i teraz z wody wystawało tylko jego ramię.

– Nie puszczę cię! – syknęła przez zaciśnięte zęby.

Jej przemoczone skarpetki ślizgały się po płytach dziedzińca i z trudem była w stanie utrzymać równowagę. Palce Bobbie zsunęły się z jego mokrej dłoni równie łatwo, jakby ktoś wysmarował ją łojem. „Nie puszczaj”. Gdy poczuła, że Caine wymyka się z jej uścisku, krzyknęła. „Za nic go nie puszczę”.

Bobbie runęła twarzą w kałużę.

ciemność

kompletna ciemność czerni ślepotą

„Caine, nie puszczaj... Caine... proszę... Caine... CAINE.

spadam  
znikam  
tracę kształt

nicność

bezkres, nieskończoność

Gdzie jestem?

*Bobbie Rowe.*

Caine?

pustka  
próżnia  
niebyt

*Bobbie Rowe.*

Gdzie jesteś? Skąd dobiegł jego głos?

Moje ręce... Nie czuję dłoni.

rozpuszczam się  
wyparowuję  
osiągam stan nieważkości

Ryk zawodzącego wiatru. Burza. Wicher.

*Bobbie Rowe.*

Caine, Caine, spadam. Nie mogę się zatrzymać.

*Kruszę się... Rozpływam... Rozpadam...*

*Bobbie Rowe.*

*pustka bezradność smutek ból cierpienie żal niedola męczarnia*

światło  
okno

Widzę je... Widzę.

*Bobbie Rowe.*

## Rozdział 25.

### Prawda

Bobbie przeleciała przez lustro i znalazła się na wytartym dywanie. Przewróciła się na plecy i zachłysnęła powietrzem, jakby chwilę wcześniej naprawdę tonęła w mroku. Miała wrażenie, że jej płuca wypełniły się pustką. Zbadała się dokładnie, żeby sprawdzić, że jej ciału niczego nie brakuje. „Dwie ręce, dwie nogi...”. Nic jej nie dolegało. Co to było za miejsce? Przypominało... nicość. Czowała się tam tak strasznie samotna i zagubiona. Nie miała kształtu ani czucia, tylko mętną świadomość bycia podrzucaną przez skłębione fale.

– Caine? – spytała ochrypłym głosem. – Caine?

Nie otrzymała odpowiedzi. Głos należał do niego. To on doprowadził ją do lustra, ale gdzie teraz był? Czyżby nadal tkwił w tym... koszmarze?

Bobbie zmusiła się do uspokojenia oddechu, a następnie omiotła pomieszczenie wzrokiem. Znajdowała się w obskurnym zadymionym pokoju. Upadła obok niskiego stolika do kawy, wokół którego rozstawione zostały cztery pękate staromodne fotele – ciemnozielone obicia ze skóry przytwierdzonej do ram metalowymi bolcami. Pośrodku stołu stała przepelniona popielniczka.

Zielona bankierska lampka oświetlała stojące pod ciemnym oknem biurko zavalone czekającymi na sprawdzenie zeszytami. Odzyskawszy część sił, Bobbie podźwignęła się z dywanu i stanęła na nogach, które wydawały się zrobione z galarety (ale przynajmniej je czuła). „Chwileczkę... Znam przecież ten pokój”. To gabinet doktor Price. Lustro, z którego wypadła, miało bogato zdobioną połączaną ramę. Co prawda brakowało tu okazałego biurka, ale ostentacyjne zwierciadło *wisi* na swoim miejscu.

Bobbie spuściła wzrok i dostrzegła, że znowu ubrana jest w drapiącą klasyczną wersję mundurka uczennicy Piper's Hall. Raz jeszcze przemieniła się w Mary.

Drzwi otworzyły się, a ukryta za jednym z foteli Bobbie wzdrygnęła się, spodziewając się, że do środka wtargnie Mary. Na progu pojawiła się jednak znajoma męska sylwetka. Kenton Millar. Gdy tylko ją dostrzegł, rozdziawił usta z przerażenia.

– Mary, co ty, u licha, robisz w pokoju nauczycielskim? – Aha, czyli w roku 1954 pomieszczenie pełniło tę właśnie funkcję. – Co ci strzeliło do głowy? Przecież jak zwykle mieliśmy się spotkać o jedenastej na cmentarzu.

– Przepraszam – powiedziała Bobbie bezwolnie.

Mary sprawowała nad nią kontrolę. Słowa nie należały do niej, mimo że wydobywały się z jej ust. Mary była teraz bardzo silna. Bobbie wyprostowała się niczym marionetka poruszana przez trzymającego jej sznurki lalkarza. To wcale nie był sen – zmuszona była przeżywać wspomnienia Mary i nie mogła nic na to poradzić.

Nauczyciel uśmiechnął się, a następnie obejrzał przez ramię, żeby upewnić się, że nikogo nie ma w pobliżu.

– To nic. Już tu jesteś, a zresztą trochę dzisiaj za chłodno na wędrowniki po cmentarzu, nieprawdaż? Myślę, że nikt nas tu nie usłyszy.

Przyciągnął ją do siebie, objął i mocno pocałował w usta. Smakował jak papierosy i mocna kawa. Teraz, gdy rozmyśla się już senna otoczka, wydał jej się odpychający. Odsunęła się.

– Co się stało, kwiatuszku?

Bobbie poczuła, że po policzku ścieka jej łza. Należała jednak nie do niej, tylko do Mary. Bobbie była w stanie przewidzieć, co zaraz powie, jeszcze zanim Mary wprawiła jej wargi w ruch.

– Proszę pana... ja chyba jestem w ciąży.

Mężczyzna skrzywił się, jakby wymierzyła mu policzek.

– Co takiego? – Zrobił przeciągły wydech. – Jesteś pewna?

– T... tak, proszę pana. Bez dwóch zdań. Proszę się na mnie nie złościć.

Bobbie nie mogła zatrzymać potoku słów. Jej ciało odgrywało scenę z przeszłości.

Kenton Millar kurczowo zacisnął palce na oparciu najbliższego fotela, jakby miał ochotę cisnąć meblem przez pokój.

– To jakiś żart?

– Nie... nie, proszę pana.

Obrócił się i spojrzał na nią zimnym, pełnym okrucieństwa wzrokiem.

– Skąd niby wiesz, że to moje dziecko?

Z jej oczu popłynęły kolejne łzy. Dlaczego on tak się zachowywał?

– Pan... pan jest jedynym mężczyzną, z którym kiedykolwiek...

Prychnął pogardliwie.

– Sam nie wiem, co myśleć. Słyszałem te wszystkie historie... o tobie i chłopcach z Radley. Bez wątpienia wiedziałaś co i jak.

Bobbie dotkliwie odczuła zaskoczenie i niedowierzanie, które stały się udziałem Mary. Taki czuły, łagodny mężczyzna. Przypominało to sytuację, gdy pies obraca się przeciwko własnemu panu – atak był szybki, bezwzględny, brutalny.

– Klnę się na Boga, że nie byłam z nikim innym. To pana dziecko, przysięgam.

Z trudem była w stanie oddychać przez łyżę. Wyciągnęła do niego rękę.

– Proszę, niech mnie pan przytuli. Tak bardzo bałam się to wyznać.

Kenton Millar podszedł do okna i przyglądał wypomadowane włosy. Obrócił się, niechętnie przycisnął ją do piersi i zaczął bez przekonania głaskać ją po głowie.

– To jeszcze nie koniec świata. Dobrze, że do mnie przysłaś. Wszystko się ułoży. Mam mnóstwo pieniędzy, zapłacę za... pozbycie się go.

Bobbie szlochała, czując ogrom żalu doświadczanego przez Mary. „Skoro mnie kocha, to dlaczego mówi tak okropne rzeczy?”. Odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

– Przecież... to nielegalne!

– Na litość boską, przestań skamlać, dziewczyno! – ryknął, zapominając, że może zbudzić całą szkołę. – Nie rozumiesz? Oczekuję już jednego dziecka!

– Słucham?

– Mary, dobrze wiedziałaś, jak wygląda sytuacja.

Nie miała pojęcia, jakim cudem do tej pory jej to umykało, ale Millar nosił na palcu złotą obrączkę. Może po prostu nie chciała jej dostrzec.

– Posłuchaj, mam szansę zostać nowym

zastępcą dyrektora, więc nie mogę pozwolić, aby jeden głupi błąd pokrzyżował mi szyki, chyba sama rozumiesz?

– Proszę! – błagała Bobbie. – Przecież pan mówił, że mnie kocha!

– Och, Mary. Pewnego dnia zrozumiesz, że to była tylko zabawa. Nie ma w tym nic złego, każdy lubi się czasami rozerwać, ale nie możesz doszukiwać się w niej niczego więcej – mamrotał, próbując ją udobruchać. – Też się dobrze bawiłaś, prawda? Rozumiesz już?

– Nie! Nie rozumiem! To nasze dziecko.

Bobbie ogarnęła fala czystej, obezwładniającej miłości, którą Mary czuła do nienarodzonego maleństwa.

Wzrok Millara znowu stał się chłodny.

– A więc na tym polegał twój plan? Chciałaś zająć w ciążę i zmusić mnie do zostawienia żony? No cóż, nic z tego, Mary, słyszysz mnie wyraźnie? Co, myślałaś, że będziemy się bawić w szczęśliwą rodzinę? Że gdzieś razem uciekniemy? Nie ma takiej możliwości, Mary. Jesteś moją uczennicą, jesteś tylko dziewczynką.

Bobbie otarła policzek rękawem. Zdradził ją. Jedyne pozytywne aspekty jej życia przepadły. Nie było sensu dalej się łudzić, nie było już sensu się starać. Miłość, która do tej pory wypełniała jej



serce, przemieniła się w krążący w żyłach czarny jad. Nadeszła pora, by to ona zadała mu cios.

– Nie może mi pan tego zrobić, bo... wszystkim opowiem, czego się pan dopuścił!

Zaśmiał się jej prosto w twarz.

– Nie odważysz się.

– Właśnie że odważę!

– Ciekawe, kto będzie skłonny uwierzyć takiej przybłędzie jak ty? *Cyganec*. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Podszedł bliżej i poczuła na twarzy jego gorący oddech.

Bobbie nie dawała za wygraną – pragnęła zranić go równie mocno jak on ją.

– Urodzę to dziecko i każdemu, kto będzie chciał słuchać, opowiem, jak mnie pan wykorzystał!

Gdy sięgnęła po klamkę, Millar złapał ją za ramiona i odciągnął od drzwi.

– Słuchaj no, ty mała suko...

Bobbie zaczęła się szarpać i udało jej się mu wyrwać. Rzuciła się do drzwi, ale mężczyzna chwycił ją za włosy i pociągnął do siebie. Bobbie zawyła z bólu.

– Nie ma mowy, żebym pozwolił ci urodzić tego... *bękarta*, słyszysz mnie? Jeśli będzie trzeba, to własnymi rękami go z ciebie wydłubię.

Bobbie wrzasnęła na całe gardło, aż zadrżały ściany. Millar próbował zatkać jej usta dłonią, ale mu się wyrwała.

– Nie ruszaj się!

– Na pomoc! – krzyknęła.

W jej ciele tętniła adrenalina i raz jeszcze spróbowała się uwolnić, ale Millar chwycił ją za ramię i zakręcił nią niczym olimpijskiej klasy młociarz. Dwukrotnie przewyższał ją masą ciała, więc bez problemu cisnął ją przez cały pokój.

Nie będąc w stanie się zatrzymać ani nie mając czasu na osłonięcie twarzy, Bobbie wyrznęła prosto w lustro o pozłacanej ramie. Gdy jej nos zetknął się ze szkłem, jednocześnie poczuła i usłyszała bolesne chrupnięcie. Nie była pewna, co ustąpiło pierwsze – kość czy lustro.

Oszołomiona i zamroczona Bobbie zwała się na podłogę. Próbowała wstać, chwytając się olbrzymiej ramy. Kręciło jej się w głowie, a przed oczami tańczyły rozmyte czarne gwiazdy. Rozległ się głośny trzask przypominający dźwięk pękającej struny skrzypiec. Podłoga zaczęła przechylać się pod jej stopami.

– Mary! – zawołał Kenton Millar.

Jednak to nie podłoga się unosiła, tylko ściana zaczęła opadać. Zresztą nie tyle ściana, co lustro. Odczepiło się od ściany. Mary nie mogła nic zrobić.

Lustro zwałło się prosto na nią i ostatnią rzeczą, jaką Bobbie widziała, była zakrwawiona twarz przerażonej Mary Worthington.

## Rozdział 26. Ellen Price

Bobbie zaczęła spadać. Osłoniwszy twarz ramionami, wpadła na biurko doktor Price, z którego posypały się długopisy, dokumenty i kubki do kawy. Siłę uderzenia odczuła w biodrach, łokciach i kolanach, a kant biurka wbił jej się prosto w brzuch i pozbawił tchu. Bobbie osunęła się na podłogę, a jej oczy zaczęły się przyzwyczajać do półmroku panującego w pustym gabinecie.

Niebo za oknem było już prawie czarne jak smoła – ile czasu spędziła w rzeczywistości należącej do Mary? Miała wrażenie, że wszystko trwało zaledwie kilka minut, ale przeczył temu zmrok, który zdążył tymczasem zapaść.

Odbijające się echem kapanie było głośniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Bobbie odsunęła z drogi krzesło doktor Price i podźwignęła się na nogi. Od upadku bolało ją całe ciało.

– Au – jęknęła, wygładzając wymiętoszoną piżamę.

A więc taki właśnie los spotkał Mary Worthington. Ostatni kawałek układanki trafił na swoje miejsce. Sześćdziesiąt lat temu zginęła w tym

właśnie pokoju. Był to co prawda wypadek, ale winę za niego ponosił Kenton Millar.

Kątem oka Bobbie dostrzegła jakieś drgnięcie i od razu wiedziała, o co chodzi. Ech, błąd żółtodzioba...

Stała odwrócona plecami do lustra.

„To jeszcze nie koniec” – pomyślała.

Obróciła się bardzo ostrożnie. Żadnych... gwałtownych... ruchów. Była tam, skradała się ku odbiciu Bobbie, która w końcu mogła dokładnie przyjrzeć się Mary. Judy się nie myliła, Mary była na swój sposób piękna – miała pełne, ładnie zarysowane wargi, wysokie kości policzkowe i lodowato błękitne oczy. Jednak mocny rzymski nos sprawiał, że zamiast słowa „ładna” bardziej pasowało do niej określenie „przystojna”.

Dojście do tego wniosku wymagało od Bobbie zignorowania potoków krwi. Upadające lustro i rozbite szkło poznały twarz i ciało Mary dziesiątkami nacięć, które – w przeciwieństwie do widmowych ran Bobbie – ociekały krwią. Wijące się szkarłatne strugi spływały jej po twarzy. Mundurek dziewczyny nasiąkł purpurą, a jej długie czarne włosy kleiły się do głowy.

Mary nie spuszczała z niej wzroku. Z każdym krokiem była coraz bliżej i wyciągała ku niej dłoń. Bobbie wiedziała, że przyszedł na nią czas. Pod

wpływem impulsu zrobiła jedyną rzecz, jaka wpadła jej do głowy. Chwyciła stojące obok biurka krzesło i zamachnęła się nim na lustro w tym samym momencie, gdy ze szkła wynurzyły się splamione czerwienią palce Mary.

Z wrzaskiem zadała lustru cios. Rozległ się ogłuszający brzęk, a Bobbie poczuła, jak napinają się mięśnie jej ramion, gdy krzesło odbiło się od szkła. To jednak wystarczyło. Z bogato zdobionej ramy posypały się ostre trójkąciki i ze szcękaniem poleciały na podłogę. Nie chcąc ryzykować, zamachnęła się ponownie na resztki lustra. Chwilę później u jej stóp spoczywała kupka szklanych okruchów, a ona sama cofnęła się o krok.

– Spróbuj przejść przez to – powiedziała.

Bobbie wypuściła krzesło z drżących rąk. Gdyby pokój przestał w końcu wirować, może udałoby się jej obmyślić kolejny krok. Dla równowagi złapała się biurka. Czuła ogarniające ją smutek i rozpacz, ale nie mogła pozwolić im sobą zawładnąć, bo miała kilka problemów do rozwiązania. Caine i Naya. Straciła ich. Zawiodła. Pustka, której doświadczyła w mroku panującym w lustrze – czy tym właśnie jest śmierć: nicością? Wieczną nicością, ale taką, której jest się świadomym – było to zbyt okropne, żeby dało się pojąć. Na samą myśl, że Naya i Caine mieli już zawsze spadać

przez tę próżnię...

„Czy oni coś czują? Czy są przytomni?”. Dla ich dobra miała nadzieję, że nie. Woląca wyobrażać sobie, że śpią, śniąc o czymś przyjemnym.

Zza pleców dobiegło ją ostre skrzyknięcie. Obróciła się szybko, spodziewając się, że Mary wyskoczy z lustra zawieszonego w innym punkcie gabinetu. Bobbie przyłożyła dłoń do piersi. To tylko drzwi od szafy, których zawiasy przydałoby się naoliwić. Przez chwilę zastanawiała się przerażona, czy po wewnętrznej stronie nie było przypadkiem zamontowanego lustra, ale przypomniała sobie, że gdy pomagała doktor Price sprzątać dokumenty, niczego takiego nie widziała.

Chwileczkę. Bobbie nie wierzyła już w zbiegi okoliczności.

– Znowu ta szafa – mruknęła, po czym zapaliła lampkę na biurku, żeby lepiej widzieć.

Bobbie raz jeszcze badawczo przyjrzała się kupce roztrzaskanego szkła, po czym wyszła z biurka. Przypomniało jej się, że gdy ostatnio tu była, Mary kręciła się przy tej samej szafie, która wtedy też się otworzyła. Uświadomiła sobie, iż to tu właśnie Mary próbowała ją przyprowadzić, zabrawszy jej okulary. Z jakiegoś powodu zależało jej, aby Bobbie zajrzała do środka.

Doszła do wniosku, że jeśli nawet przetrwa

kolejne kilka godzin, to wydalenie ze szkoły miała gwarantowane, więc włamanie do szafy nic nie zmieniało. Założyła włosy za uszy i zabrała się do pracy. Szafa wypełniona była niezliczonymi segregatorami, których większość oznaczono nazwą danej polityki szkoły: polityka żywieniowa, polityka wyznaniowa, polityka tworzenia polityk. Na dwóch najwyższych półkach znajdowały się akta uczennic, a pierwsza z nich zawierała dokumentację dotyczącą byłych wychowanek. Bobbie dobrze wiedziała, czego szukać: roku 1954. Każdy z segregatorów obejmował okres około pięciu lat (Bobbie domyśliła się, że tyle czasu zajmowało większości dziewcząt ukończenie szkoły). Nie przejmując się bałaganem, upuszczała niepotrzebne jej dokumenty na podłogę w poszukiwaniu tego właściwego. Jakiś czas później otaczało ją już istne morze szeleszczącego papieru.

Wszystko na próżno – akta sięgały zaledwie do lat dziewięćdziesiątych. Na ostatnim piętrze szkoły położone było archiwum, gdzie musiała znajdować się większość starych dokumentów. Ale w takim razie, po co Mary miałyby ją tu skierować?

– Gdzie jesteś? – syknęła Bobbie przez zaciśnięte zęby.

Chwilę myślała, a potem przesunęła wszystkie



pozostałe na półce akta na jedną stronę. Za nimi ukryta była prosta szara koperta ze skórzanym zamknięciem.

Wyciągnęła ją. Na wierzchu znajdował się napis: „Poufne dane uczennic – tylko do wglądu dyrekcji szkoły”. Co to miało znaczyć? Bobbie otworzyła kopertę i klapnęła na podłogę pośród rozrzuconych dokumentów.

W środku znajdowały się zdjęcia dziewcząt. Pierwsze z wierzchu ukazywały Taylor Keane i Abigail Hanson, a do fotografii dołączono raporty policyjne oraz artykuły dotyczące ich zaginięcia. Dziewczyn było jednak dużo więcej – wszystkie były wychowankami Piper’s Hall i wszystkie zniknęły. Przez M a r y. Teraz do makabrycznej listy można było dopisać Sadie i Nayę. Bobbie obróciła plik zdjęć i dokumentów do góry nogami, żeby przyjrzeć się pierwszej zaginionej dziewczynie – samej Mary.

Zgodnie z jej przypuszczeniami było tu wszystko, czego nie udało jej się znaleźć w internecie. Portret szkolny, zdjęcie klasowe (na którym Mary stała lekko z boku, bo nikt nie chciał stykać się z nią ramieniem), arkusze ocen. Cała historia życia dziewczyny. Bobbie zaczęła przeglądać jej formularz zgłoszeniowy.

Mary Eloise Worthington, urodzona w roku

1938. Matka: Eliza Worthington (brak stałego adresu zameldowania). Dalej znajdował się list napisany na papierze firmowym liceum ogólnokształcącego w Radley:

„Mary miała problemy z zadomowieniem się w naszej szkole, ale zważywszy na wybitne oceny otrzymywane przez nią ze wszystkich przedmiotów, jesteśmy przekonani, że w Piper’s Hall poczułaby się jak w domu. Nie mamy wątpliwości, że instytucja o tak wysokiej renomie pozwoliłaby jej talentom rozkwitnąć. Mary to nieśmiała, zamknięta w sobie młoda dama, której dobrze zrobiłaby zmiana otoczenia na wspierające rozwój środowisko szkoły z internatem”.

Bobbie parsknęła pogardliwie. Nic tak nie hamowało rozwoju osobistego dziecka jak posłanie go do szkoły z internatem. Bobbie nie nienawidziła swojej szkoły, ale mimo że zapewniano jej tu bezpieczeństwo, a czasem nawet zachętę do pracy, to nie mogła stwierdzić, że w Piper’s Hall dbano o jej rozwój.

Następna kartka zawierała list napisany innym charakterem pisma zaadresowany do ówczesnego dyrektora szkoły, pana Fiska:

„Szanowny Panie,  
piszę, aby poprosić o przeniesienie mojej córki Phyllis z jej obecnego pokoju położonego

w skrzydle Brontë. Od kiedy zamieszkała z młodą damą o imieniu Mary, z jej listów przebija coraz większe zdenerwowanie. Mówiąc wprost, Phyllis boi się owej dziewczyny i od momentu pojawienia się jej w szkole cierpi na problemy ze snem...”.

Dalsza część listu utrzymana była w podobnym tonie.

Ostatnia kartka zawierała napisany na maszynie przez pana Fiska list do Elizy Worthington:

„W nawiązaniu do naszych rozmów chcielibyśmy wyrazić ubolewanie wywołane faktem, iż nie udało nam się zapewnić bezpieczeństwa Pani córce. Wszelkie dowody wskazują na to, że wieczorem 17 września Mary opuściła skrzydło Brontë. Proszę zrozumieć, że prowadzimy szkołę, a nie zakład karny, i bez względu na nasze starania nie jesteśmy w stanie wiele zrobić, jeśli wychowanka Piper’s Hall postanowi opuścić teren naszej placówki. Nawiązaliśmy współpracę z policją i z tego, co wiem, poszukiwania Pani córki nadal trwają...”.

Na kartkę spadła łza i rozmazała stary tusz. Bobbie wytarła policzek. Biedna Mary. To wszystko miało potworny sens. Kenton Millar, celowo lub nie, zamordował Mary Worthington i jej nienarodzone dziecko. W rezultacie jakaś część niej

została uwieczniona w tym i każdym innym lustrze.

Po jej policzku spłynęła kolejna łza. Mary tkwiła w tym okropnym mroku, czekając, aż ktoś wypowie jej imię. Stali się dla niej latarnią morską wskazującą drogę z drugiego krańca czarnego oceanu. W podobny sposób Caine pomógł Bobbie wydostać się stamtąd.

Millar musiał ukryć gdzieś jej ciało. Bobbie zaczęła przerzucać pozostałe dokumenty, ale wiedziała, że mężczyzna nie był głupi i nie zostawiłby dowodów. Nie było tu żadnej wzmianki o zwłokach, co tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że kluczem do położenia kresu nawiedzeniom było odnalezienie miejsca pochówku Mary. „Myśl, mózgu, myśl!”. Próbowała wczuć się w położenie winnego zbrodni nauczyciela – co zrobiłaby z ciałem na jego miejscu?

Bobbie nie zauważyła, gdy otworzyły się drzwi.

– Lepiej, żebyś miała bardzo dobre wyjaśnienie tej sytuacji...

Doktor Price omiotła zdemolowane wnętrze gabinetu wzrokiem ostrym jak promienie lasera.

Zaskoczona Bobbie wypuściła dokumenty z rąk.

– Ale zacznijmy od tego, jak udało ci się wydostać z izolatki.

Bobbie miała tego wszystkiego serdecznie dość.

– Albo możemy porozmawiać o tym, że mnie

pani stamtąd nie wypuściła, chociaż szkoła mogła stać w płomieniach – odparła.

– Szach-mat. Wiedzieliśmy, że nic się nie pali. Skupiliśmy się na odnalezieniu osoby, która włączyła alarm. Domyślałam się, że odpowiada za to twój znajomy z Oxsley.

Bobbie spojrzała na nią ze złością. Ruda wiedźma nie była jej już w stanie zastraszyć.

– A teraz, zważywszy na fakt, że zależy od tego twoja przyszłość w Piper’s Hall, może raczysz się wytłumaczyć? Co tu wyprawiałaś?

– Skłamała pani.

Bobbie ledwo była w stanie się kontrolować, ale podniesiony głos mógł sprawić, że nie zostałyby potraktowana poważnie.

– Dobrze pani wiedziała, że w Piper’s Hall doszło do zaginięć, ale nie zrobiła pani nic, żeby je powstrzymać, i teraz Naya i Sadie zniknęły, a ja będę następna.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Właśnie że wiem, podobnie jak pani. Chodzi o Mary Worthington.

– Nigdy nie było tu nikogo takiego.

– Mogę tego dowieść! – krzyknęła Bobbie, wskazując na rozrzucone u swoich stóp dokumenty.

– Są tu wszystkie potrzebne dowody, chociaż widzę, że szkoła robiła, co mogła, żeby je ukryć.

Doktor Price oparła dłoń o biodro i obdarzyła ją uśmiechem.

– Roberto, muszę przyznać, że nigdy się nie poddajesz. Jesteś kreatywna, przedsiębiorcza, nieustępliwa. Istny z ciebie wzór wychowanki Piper’s Hall.

Bobbie zacisnęła szczęki.

– Mary Worthington zginęła dokładnie w miejscu, gdzie pani teraz stoi.

Wzrok doktor Price powędrował w kierunku ściany gabinetu oświetlonej przyćmionym blaskiem lampki.

– Rany boskie, coś ty zrobiła z moim lustrem?

– Niech mnie pani posłucha! – wrzasnęła Bobbie. – Kenton Millar zrobił jej dziecko, a potem zabił ją w tym pokoju! To był wypadek, ale i tak ponosi za niego odpowiedzialność.

Bobbie miała wrażenie, że temperatura w gabinecie spadła poniżej zera. Doktor Price postąpiła w jej kierunku, więc nie pozostało jej nic innego, jak cofnąć się w kąt.

– Coś ty powiedziała?

Pod wpływem świdrującego wzroku dyrektorki wściekłość Bobbie przygasła.

– Po... powiedziałałam, że były dyrektor szkoły pan Millar miał romans z Mary, jeszcze zanim objął tę funkcję, w 1954 roku.

Bobbie przycisnęła się do palmy w donicy stojącej pod ścianą. Nie miała gdzie uciekać, a doktor Price dosłownie przyparła ją do muru.

– Jak śmiesz? – Doktor Price oddychała ciężko.  
– Kenton Millar był jednym z najwspanialszych i najhojniejszych dyrektorów, jakimi może pochwalić się ta szkoła.

– Przysięgam, że to prawda. Gdy Mary oznajmiła mu, że jest w ciąży, zaczęli się kłócić, w wyniku czego zginęła. Musiał ukryć gdzieś jej ciało...

Doktor Price zacisnęła dłonie na jej barkach. Bobbie bała się jej o wiele bardziej niż Mary, bo przypominający imadło uścisk był jak najbardziej rzeczywisty. Nozdrza kobiety się rozszerzyły.

– Chyba wiedziałabym, gdyby mój ojciec kogoś zabił, prawda?

Żołądek Bobbie wykonał dobrze jej już znanego fikołka.

– C-co takiego?

– Moje nazwisko panińskie to Ellen Millar. Naprawdę próbujesz mnie przekonać, że mój ojciec kogoś zamordował? Radzę, żebyś dobrze zastanowiła się nad odpowiedzią...

Wargi Bobbie rozchyliły się, a potem zamknęły niczym pysk ryby wyjętej z wody. Doktor Price cała się trzęsa ze złości – kłykcie jej zbieleły, a na

czoło wyszły nabrzmiące żyły. Kenton Millar zabił, żeby utrzymać swój sekret w tajemnicy, i Bobbie zaczęła się zastanawiać, czy podobna motywacja mogła skłonić do morderstwa jego córkę.



## Rozdział 27. Ucieczka Bobbie

– Jak to możliwe, że jest pani córką Millara?

Bobbie miała trudności z przetrwaniem otrzymanej chwilę wcześniej informacji.

Doktor Price zmarszczyła brwi.

– To żadna tajemnica. Nie rozgłaszam tego na lewo i prawo, bo chcę pozostawić po sobie własną spuściznę, zamiast tkwić w cieniu ojca. W każdym razie był wielkim człowiekiem i wspaniałym pedagogiem, a to, co właśnie powiedziałaś, jest zwykłym oszczerstwem!

Wargi dyrektorki wykrzywiły się, a w jej oczach rozbłysła złość, jednak Bobbie zbyt wiele widziała, żeby się teraz ugiąć.

– Przykro mi, doktor Price, ale taka jest prawda. Po co miałabym zmyślać? – Jej głos zadrżał, ale się nie załamał. – Wiedziała pani, jak wiele dziewcząt zniknęło z Piper’s Hall. Nie wydało się to pani dziwne? To nie może być zbieg okoliczności. Wszystko sprowadza się do tego, co pani tato zrobił Mary. Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale ona nie może zaznać spokoju, bo nikt nigdy nie odnalazł jej ciała.

Doktor Price wbiła wzrok w podłogę, a jej oczy

poruszały się nerwowo, jakby próbowała rozpracować skomplikowane równanie algebraiczne.

– Proszę mnie puścić – poprosiła Bobbie łagodnym tonem. – Sprawia mi pani ból.

Kobieta uwolniła ją z uścisku, po czym opuściła bezwładnie ręce, jakby zrobione były ze spaghetti. Zgarbiła się, a potem klapnęła na obrotowe krzesło, które wyciągnęła spomiędzy rozbitego szkła i ziejącej pustką pozłacanej ramy.

– Boże. Czyli o to właśnie chodziło... Przez cały ten czas...

Wyglądało na to, że dyrektorka rozmawia sama ze sobą.

Kobieta ukryła twarz w dłoniach, a Bobbie cofnęła się na bezpieczną odległość i spytała:

– Słucham?

– Nie mogę w to wszystko uwierzyć.

– Doktor Price, błagam. Ona po mnie przyjdzie...

Kobieta przypominała balon, z którego zeszło powietrze.

– Tuż przed śmiercią mój ojciec był w bardzo kiepskim stanie. Na łożu śmierci gadał różne brednie, ale jedno się w nich powtarzało.

Zamilkła i pokręciła głową.

– Co takiego? – ponagliła ją Bobbie.

– Chciał się wyspowiadać. Prosił o księdza, któremu będzie mógł wyznać grzechy, zanim umrze. – Doktor Price stłumiła śmiech. – Nawet nie byliśmy katolikami! Wtedy myślałam, że majaczy w gorączce, ale teraz...

– Mary naprawdę była w ciąży, a on ponosi winę za jej śmierć – zapewniła Bobbie.

Doktor Price spojrzała jej prosto w oczy.

– Boże święty. Mówił też, że żałuje. Powtarzał to bez końca. Nie mieliśmy pojęcia, o co mu chodzi...

Po policzku kobiety spłynęła łza, która następnie rozbiła się o jej spódnicę.

Bobbie pokręciła głową. Sytuacja była okropna, ale nie zamierzała współczuć mężczyźnie, którego ofiarą padła bezbronna dziewczyna.

– Trochę się spóźnił z wyrzutami sumienia...

Doktor Price nic nie odpowiedziała.

– Czy powiedział cokolwiek, co mogłoby doprowadzić nas do jej ciała? – spytała Bobbie. – Zginęła tutaj, więc pewnie daleko jej nie zabrał.

– Nie mam pojęcia.

– Proszę, doktor Price, coś musiało zwrócić pani uwagę...

Bobbie urwała, bo dobiegł ją dźwięk miarowego kapania. Lampka stojąca na biurku zamigotała i zgasła.

– O nie.

Dyrektorka zmarszczyła brwi i próbowała włączyć lampkę.

– Dziwne... – zaczęła.

Na podłodze za jej plecami leżał większy od innych kawałek szkła – groźnie wyglądający trójkąt nierównoboczny, w którym odbijał się sufit.

Wystrzeliła z niego ociekająca krwią dłoń, a zaraz po niej wynurzył się czubek głowy. Bobbie wrzasnęła i odskoczyła od biurka. Doktor Price zerwała się z krzesła.

– Co się stało? Na co patrzysz?

– Nie widzi jej pani?

– Co ty, u licha, wygadujesz? Nikogo tu nie ma!

Mary precyzyjnie przeszła wąski odłamek lustra drugie ramię, którego kość wyskoczyła ze stawu z wilgotnym chrupnięciem. Stłuczone szkło zabrzęczało i zjawa znalazła się w pokoju. Poruszała się z nienaturalną prędkością, ochlapując dywan karmazynowymi kroplami, a jej stawy i kości trzeszczały i klekotały, jakby od dawna nie miała okazji z nich korzystać. Wynurzyła się cała z lustra i stanęła prosto.

Bobbie zaczęła się cofać, ale wpadła na krzesło.

– Ona tu jest! Tuż za panią! Musimy się stąd wydostać!

– Bobbie, nikogo tu nie ma.

W głosie doktor Price pobrzmiwał chłód wywołany zniecierpliwieniem.

Mary ruszyła w ich kierunku. Z jej palców ściekały krople krwi. Martwa dziewczyna poruszała się wolno, niepewnie, jakby odzwyczaiła się od stąpania po twardym gruncie. Bobbie zadrżała na wspomnienie wiecznego mroku panującego za lustrem.

– Błagam! – krzyknęła Bobbie. – Ona po mnie idzie!

Doktor Price chwyciła ją za ramię.

– Weź się w garść. Musimy porozmawiać o moim ojcu. Nie pozwolę, żebyś rozpowiadała na lewo i prawo o tym, co zrobił. Nie masz żadnych dowodów.

Dyrektorka odciągnęła ją od wyjścia w kierunku zbliżającej się w milczeniu Mary.

– Nie! – warknęła Bobbie.

Wyrwała się, a potem zrobiła coś, czego sama się nie spodziewała: popchnęła doktor Price w kierunku martwej dziewczyny. Kobieta była jeszcze bardziej zaskoczona niż ona i tylko rozdziawiła usta ze zdziwienia. Jak przystało na prawdziwą historię o duchach, doktor Price przeleciała przez Mary, jakby ta zrobiona była z dymu, a następnie znalazła się pośród rozrzuconych przez Bobbie dokumentów. But

dyrektorki poślizgnął się na rozrzuconych kartkach papieru i kobieta runęła prosto do wnętrza otwartej szafy. Krzyknęła, uderzając czołem o półkę, po czym osunęła się na podłogę.

Leżała bezwładnie z połową ciała wystającą z szafy. Jęknęła cicho, balansując na granicy przytomności.

Bobbie zaczęła się cofać, nie spuszczać wzroku z Mary. Problem polegał na tym, że Mary zagradzała jej drogę do wyjścia.

– Mary, poczekaj! – poprosiła Bobbie, starając się nie wpadać w panikę. – Wiesz w ogóle, gdzie cię ukrył?

Bobbie wpadła pupą na biurko i strąciła na podłogę kubek do kawy. Zaczęła szukać drogi po omacku.

Nadepnęła odzianą tylko w skarpetkę stopą na kawałek szkła i jej ciało przeszył rozdzierający ból. Poczowała go aż w kręgosłupie, a przed oczami zamigotały jej czerwone plamki. Bobbie zawyła i znowu zaczęła się cofać, ale weszła na kolejne odłamki lustra. Ból był przenikliwy, intensywny i promieniował na całe nogi. Oparła się o dziurę pośrodku lustra, którą sama zrobiła, a Mary w dalszym ciągu się do niej zbliżała. Bobbie uniosła prawą nogę, żeby oszacować straty. W podeszwie stopy tkwił pięciocentymetrowy kawałek szkła,

a biała skarpetka szybko zaczęła zmieniać kolor na czerwony. Zacisnęła zęby i wyciągnęła odłamek – teraz i ona chlapała krwią na dywan.

Ściana za jej plecami była jakaś dziwna w dotyku – zbyt krucha. Wykonano ją z drewna, ale pozostałe ściany gabinetu nie były drewniane. Nagle Bobbie dostrzegła zarys drzwi. To wcale nie była ściana, tylko ukryte za lustrem przejście. Oczywiście! Kolejny sekretny korytarz albo jedna z kryjówek dla duchownych, o których opowiadały legendy.

Zresztą nieważne. Bobbie z całej siły naparła na panel, który otworzył się do wewnątrz. Znajdująca się za drzwiami przestrzeń pogrążona była w kompletnym mroku, ale Mary dzieliły od niej już tylko centymetry. Splamiona krwią dłoń wyciągnęła się ku twarzy Bobbie, która tłumiąc krzyk, zrobiła unik, a następnie weszła do otworu w ścianie.

Ignorując ból w stopie (który przypominał obecnie żywy ogień), zatrzasnęła właz tuż przed nosem Mary. Zamknął się z kliknięciem, ale Bobbie nie była pewna, czy ukryte drzwi są w stanie zatrzymać duchy. Oparła się o nie plecami i próbowała dojrzeć coś w ciemności. Zza krawędzi panelu sączyło się do środka nikłe szare światło, które pozwoliło jej tylko zdać sobie sprawę, że stoi

na szczycie schodów.

Dotarło do niej, że to tędy Kenton Millar musiał wynieść ciało Mary. Nie było mowy, żeby nie wiedział o istnieniu tajnego przejścia za własnym lustrem. To ją przekonało. Jediną dostępną możliwością było ruszenie dalej w nadziei, że przez te wszystkie dekady nikt nie zamurował przejścia. Jeśli natknie się na ślepy zaułek, gra dobiegnie końca.

Bobbie powlokła się przed siebie na obolałych stopach, zostawiając na podłodze lepkie, przypominające keczup ślady.

Schody były strome, śliskie i zimne jak lód. Z każdym przepelnionym bólem krokiem powietrze robiło się coraz bardziej stęchłe. Bobbie po omacku szukała drogi w gęstniejącym mroku. Gdy jej stopy natrafiły w końcu na płaskie betonowe płyty, nic już nie widziała. Przypominało to przerażającą pustkę świata, w którym mieszkała Mary.

Echo spadających z sufitu kropli – tym razem prawdziwych – sugerowało, że przebywała w zamkniętej przestrzeni: tunelu albo jaskini, które w żaden sposób nie przypominały funkcjonalnych przejść dla służby. Sądząc po liczbie pokonanych przez nią stopni, musiała znajdować się gdzieś pod budynkiem szkoły.

Coś przebiegło jej po stopie. Krzyknęła



i strząsnęła z siebie stworzonko, które pisnęło gniewnie, a potem czmychnęło. W korytarzu roіło się od szczurów – Bobbie skrzywiła się, po czym ruszyła dalej. Próbowwała biec, ale była w stanie jedynie kuśtykać wsparta o ścianę. Miała nadzieję, że wędrówka ciemnym tunelem nie pójdzie jej w pięty. Parsknęła śmiechem. Czy ta myśl była faktycznie zabawna, czy popadała w histerię? Tak czy owak, rechot demonicznej lalki, który wydobył się z jej ust, był dość przerażający. „Uspokój się. Musisz się uspokoić i iść dalej”.

Bobbie zamarła. Przywarła do ściany, która na tej głębokości była obślizgła od wilgoci. Nawet jej nierówny oddech i szczękające zęby nie były w stanie zagłuszyć odgłosu chwiejnych kroków na schodach za jej plecami.

To nie szczury... po schodach szła Mary.

Histeryczny śmiech szybko przemienił się w szloch. Bobbie odepchnęła się od ściany i kontynuowała katorżniczy marsz. Dobrze chociaż, że lodowata podłoga tunelu znieczulała jej stopy. Starowała się iść na palcach, żeby nie wywierać nacisku na pokaleczone pięty i spody stóp. Kuśtykała tak szybko, jak tylko mogła, nie oglądając się za siebie.

Mary zbliżała się do niej przez mrok. Zobaczy ją dopiero, gdy na jej ramieniu zacisną się upiorne

palce.

Tunel wydawał się nie mieć końca. Zero zakrętów, tylko czerń. Bobbie zastanawiała się, czy przypadkiem nie umarła i trafiła do piekła, które było bezkresnym ciemnym tunelem.

Jej przyspieszony oddech wkrótce przeszedł w zadyszkę. Przystanęła na chwilę i dobiegł ją dźwięk szurających za jej plecami stóp. Dystans był stanowczo za mały. Bobbie rzuciła się przed siebie z wyciągniętymi rękami. Po kilku sekundach dostrzegła w oddali ceglana ścianę. Sam fakt, że była w stanie coś dojrzeć, świadczył o tym, że do tunelu wnikało światło. Odzyskawszy wigor, ruszyła dalej, ale chwilę później jej zapach wyparował: znajdowała się w ślepym zaułku. Nie, nie, to była ściana. Ściana z drabiną.

Bobbie doskoczyła do niej i zerknęła przez ramię. Jeśli w długim korytarzu coś się poruszało, to poza zasięgiem jej wzroku. Gdy podniosła oczy, dostrzegła światło sączące się przez właz znajdujący się na końcu wąskiego szybu. Wyjście. Poczowała, jakby najdłuższą noc jej życia przerwało w końcu nadejście świtu.

Złapała się szczebla drabiny znajdującego się na wysokości jej twarzy. Drewno było wilgotne i śliskie w dotyku, pokryte mchem albo pleśnią. Bobbie bała się, że drabina będzie przegniła, ale

okazała się dosyć solidna. Zaczęła się wspinać, stając na szczelach palcami stóp. Za każdym razem, gdy przenosiła ciężar ciała na jedną z nich, przeszywał ją ból, starała się więc podciągać przy użyciu ramion. Rwanie ran było nie do zniesienia, ale jeśli uda jej się wejść do wnętrza szybu, wydostanie się z tunelu i (taką miała przynajmniej nadzieję) odetchnie świeżym powietrzem.

Tuż koło drabiny rozległy się kroki i Bobbie dojrzała kątem oka, jak coś porusza się w nikłym świetle. Zaczęła wspinać się szybciej.

Zardzewiały właz nad jej głową był tuż-tuż, chociaż Bóg jeden wiedział, co znajdowało się po drugiej stronie. Bobbie złapała się kolejnego szczebla, żeby się podciągnąć.

Rozległ się nieprzyjemny trzask i ułamany szczebel został jej w dłoni. Upuściła go i zaczęła szukać czegoś innego, czego mogłaby się chwycić. Jednak gdy tylko przeniosła ciężar ciała na stopy, zawyła z bólu i odruchowo puściła drabinę.

Spadła. Szybko, niczym kamień rzucony w głąb studni. Jedyne, co jej pozostało, to czekać na twarde lądowanie. Koniec lotu na szczęście nadszedł szybko. Bobbie wyrznęła o podłogę z łomotem, a jej biedne stopy wzięły na siebie prawie całą siłę uderzenia. Z początku była zbyt zaskoczona, żeby zarejestrować ból. Leżała płasko

na plecach wpatrzona w szyb, mrugając oczami jak idiotka. Moment później go poczuła. Skaleczenia na stopach były niczym w porównaniu z cierpieniem, którego doświadczyły kostki jej nóg.

Ból sprawił, że przez chwilę nie mogła oddychać. Ani się poruszyć.

Na jej policzek kapnęło coś ciepłego jak łza. Potem kolejna. I jeszcze jedna.

Kap, kap, kap.

Bobbie obróciła nieznacznie głowę spoczywającą na zimnej kamiennej podłodze.

Stała nad nią Mary, z której palców ściekała krew prosto na twarz Bobbie.

– Nie... – wymamrotała.

Po wszystkim, co udało jej się osiągnąć. Po całej tej walce... jej wysiłki spełzły na niczym.

Zimna, pozbawiona emocji twarz Mary przysunęła się do jej twarzy. Bobbie czuła na skórze płytki nierówny oddech dziewczyny, której płuca wydawały się wypełnione płynem.

– Proszę... – Załkała.

Jej policzka dotknęła lodowata wilgotna dłoń. Wargi Bobbie musnęło zlepione krwią pasemko włosów. Odór oddechu dziewczyny był nie do zniesienia – zupełnie jakby jej wnętrzości uległy rozkładowi. Bobbie jęknęła i próbowała się wyrwać, ale nie miała drogi ucieczki. Mary

przygwoździła ją do podłogi i pochylała się coraz niżej. Bobbie pozostało zamknąć oczy i czekać na koniec.

## Rozdział 28. Opowieści z kryptu

– Bobbie?

Odważyła się uchylić powieki i ujrzała łypiącą na nią czaszkę. Wzdrygnęła się i momentalnie przypomniała sobie, że jest cała poobijana. Miała wrażenie, że jej ciało przemieniło się w jeden wielki siniak. Musnęła palcami coś gładkiego, twardego i bardzo przypominającego kość. Chwilę później zdała sobie sprawę, że istotnie obok niej leży kość. I to niejedna. Zdegustowana odtrąciła je, a potem poczuła, że ktoś pochyła się nad nią w półmroku.

Gdy usiadła, jej oczom ukazał się Caine. Przykucnął obok niej i pomógł jej się podnieść. Kostki Bobbie pulsowały bólem – na razie musiała zadowolić się pozycją siedzącą.

To musiała być halucynacja. Gdyby Caine nie był aż tak brudny, można by go wziąć za anioła. Ujął jej głowę w swoje silne dłonie i pocałował ją mocno w usta. Słowa nie były potrzebne. Żadne z nich nie wystarczyłoby, żeby opisać, jak się poczuła – a wiedziała, że on dzieli z nią te emocje. Może to właśnie było ich ponowne spotkanie w niebie, chociaż Bobbie spodziewałaby się, że

w raju ból powinien choć trochę zelżeć.

– Ty żyjesz – szepnęła.

– Ledwo – odezwał się inny znajomy głos.

Naya! Do oczu napłynęły jej łzy – ale tym razem były to łzy szczęścia. Naya przeżyła. Wszyscy przeżyli. Wydawało się to zbyt piękne i wykraczało poza jej najśmielsze nadzieje. Bobbie zakręciło się w głowie, a przed oczami zatańczyły jej płatki srebrnego brokatu.

Naya siedziała na niskich stopniach prowadzących do bogato zdobionych metalowych drzwi. Bobbie widziała je już wcześniej, tyle że z drugiej strony. Prowadziły do zapomnianego mauzoleum na cmentarzu przy kościele Świętego Pawła. Tulona przez Nayę Sadie była ledwo przytomna. Ależ byli głupi. Dwa dni wcześniej znajdowali się kilka metrów od Sadie i niczego nie zrobili.

– O mój Boże.

Bobbie nie mogła zdobyć się na nic więcej. Spróbowała wstać, żeby podejść do przyjaciółki, ale ból w kostkach okazał się nie do zniesienia.

– Nayu... ja...

Naya pokręciła głową na znak, że na serdeczne powitania przyjdzie czas później.

– Ona umiera, Bob. Tkwi tu od wielu dni.

Sadie wyglądała kiepsko – jej twarz straciła

dawny zdrowy wygląd, a oczy się zapadły.

Bobbie się rozejrzała. Znajdowali się w wilgotnej, porośniętej mchem komnacie wypełnionej bladym zielonkawym światłem promieni słonecznych przeciskających się przez pnącza i gałęzie drzew otulające grobowiec. Krople deszczu bębniły o dach. Środek pomieszczenia zajmował okazały kamienny sarkofag, a wzdłuż ścian ciągnęły się mniejszych rozmiarów trumny stojące w pięknie rzeźbionych wnękach.

– Gdy tutaj trafiłem i natknąłem się na Nayę, zacząłem cię wołać... – powiedział Caine.

– Słyszałam. – Bobbie zmiotła mu ręką pajęczynę z włosów. – Słyszałam, jak wymawiasz moje imię.

Brązowe oczy Caine'a zalśniły od łez.

– Myślałem, że zostałaś... w tamtym miejscu.

– Też tak myślałam o tobie...

– Ekhm! – wtrąciła się Naya. – Jesteście przeuroczy, ale co teraz zrobimy?

– Masz przy sobie telefon? – spytał Caine Bobbie.

– Nie, zostawiłam go na stoliku nocnym. Nie przyszło mi do głowy, żeby go zabrać.

Caine skinął głową.

– Też zostawiłem swój w waszym pokoju.

Bobbie przyjrzała się uważniej wnętrzu



grobowca. Wszędzie walały się kości. Ludzkie kości. Scena przypominała zbiorową mogiłę ze skeczu komediowego – jakieś pół tuzina czaszek szczyrzyło do siebie zęby niczym pijani studenci na imprezie. Naya miała na sobie bluzę z kapturem, która od około dziesięciu lat nie była już częścią oficjalnego mundurka szkolnego w Piper's Hall.

To wszystko miało sens.

– Pomożesz mi wstać? – poprosiła Bobbie Caine'a.

Podał jej dłoń i mimo że jej kostki, plecy i biodra eksplodowały bólem, pozwoliła mu pociągnąć się do góry.

– Wszystko okej? – spytał.

Ignorując ból, odparła:

– Nic mi nie jest. Musimy odnaleźć Mary.

Caine zmarszczył brwi.

– Co?

Bobbie omiotła wzrokiem koszmarnie wnętrze. Panowała tu ta sama upiorna atmosfera co w paryskich katakumbach, do których nieroztropnie zabrała ją mama, gdy Bobbie miała osiem lat. Przez kilka kolejnych tygodni śniły jej się potem ściany obłożone czaszkami.

– Ona gdzieś tu jest – stwierdziła, ale Caine nadal wpatrywał się w nią tępym wzrokiem, więc dodała:

– Kenton Millar niechcący zabił Mary i ukrył jej ciało.

– Niemożliwe! – wtrąciła Naya.

– Możliwe. Z gabinetu doktor Price prowadzi tu tajne przejście. Musi tu gdzieś być... no jasne!

Bobbie omiotła wzrokiem posadzkę krypty.

– Tam! – Pod postumentem statuy przedstawiającej szlochającą Maryję Dziewicę Bobbie dostrzegła częściowo ukrytą metalową kratę – tę samą, przez którą prawie udało jej się uciec.

Nad jej głową zapaliło się nagle tak wiele wyimaginowanych żarówek, że miała wrażenie, iż stała się obiektem zainteresowania grupki paparazzich.

– Millar też musiał korzystać z tego przejścia, dlatego zawsze spotykali się tu z Mary. Tunel ciągnie się pod polem aż na teren należący do kościoła. To naprawdę była kryjówka, a przynajmniej przejście, dla duchownych. Ukrywający się księża mogli dzięki niemu przemieszczać się niezauważeni między szkołą a kościołem.

– Czyli to miejsce widzieliśmy w snach? – spytał Caine, gdy Bobbie zaczęła przedzierać się przez kości.

– Tak. Las był najwyraźniej ich miejscem schadzek. Millar musiał wnieść jej ciało do tunelu,

a potem ukryć je tutaj. Mary wcale nie chciała nas zabić! Miałam rację! Ona po prostu potrzebuje pomocy. Piątego dnia przenosi cię tam, gdzie została schowana. Tu! Dotknięta przez Mary osoba była automatycznie transportowana do miejsca jej ostatniego spoczynku.

Naya spojrzała na leżące na podłodze ludzkie szczątki.

– Ale one wszystkie umarły, Bobbie.

– Wydaje mi się, że Mary nie mogła nic na to poradzić, w końcu to nie ona zamknęła grobowiec, prawda? Poza tym tamte dziewczyny nie wiedziały, czego szukać. A my wiemy.

Caine pokręcił głową.

– Czyli te zaginione dziewczyny... siedziały tu przez cały czas?

Bobbie westchnęła wyczerpana przeżyciami z tunelu – z trudem była w stanie mówić. Jednak musiała to wszystko zrozumieć.

– Tak. Pomyśl. Abigail i Taylor zniknęły z miejsc oddalonych stąd o wiele kilometrów. Może tak samo było w pozostałych przypadkach. Po co policjanci mieliby przeszukiwać cmentarz? Zresztą sam go widziałeś. Od lat nikt tu nie przychodził. Może tylko dzieciaki.

Im dłużej o tym myślała, tym jej teoria miała więcej sensu.

– Wiemy, że Millar przyprowadzał tu Mary, żeby się z nią zabawiać... Musiał więc mieć dostęp do klucza. Księża musieli mieć swój, co nie? Czy to nie brzmi logicznie? Naya... śniło ci się, że Mary znajduje się w jakimś ciemnym miejscu. Gdzie może panować większy mrok niż we wnętrzu trumny?

Bobbie rozejrzała się dookoła, zastanawiając się, który szkielet należał do Taylor Keane, a który do Abigail Hanson oraz od kogo Naya pożyczyła bluzę.

– Chodźcie, Mary musi gdzieś tu być.

Caine załamał ręce.

– Bobbie, którakolwiek z tych kości może należeć do niej! A my jesteśmy tu uwięzieni. Nawet jeśli uda nam się ją znaleźć...

– Musimy zapewnić jej godny pochówek! – warknęła Bobbie, nie dając za wygraną.

Spojrzała na leżące na posadzce szkielety.

– Na pewno nie zostawiłby jej po prostu na podłodze. Schował ją, na wypadek gdyby ktoś postanowił jej szukać. Sprawdźmy w trumnach. Założę się, że w którejś z nich znajdują się nadprogramowe zwłoki. Naya, pomóż nam.

Naya ułożyła głowę Sadie na kamiennym stopniu. Dziewczyna tkwiła tu już od trzech dni bez jedzenia, mając jedynie wodę, która kapiała

z sufitu. Jak długo można przeżyć bez jedzenia i picia? Sądząc po stanie Sadie, niezbyt długo. Bobbie bez ceregieli wyciągnęła z pierwszej lepszej wnęki trumnę, która z łomotem zsunęła się na podłogę. Była ciężka, ale drewno było stare i przegniłe. Widok gwoździ, którymi przytwierdzone było wieko, wywołał w niej chwilową panikę, ale zdała sobie sprawę, że ćwieki same wyłazą z rozmokłych desek. Zepchnęła wieko na posadzkę. We wnętrzu trumny szczyrzył zęby pojedynczy szkielet.

Po drugiej stronie krypty Caine i Naya otworzyli każde inną trumnę.

– Macie coś? – spytała Bobbie.

– Nie! – odkrzyknęła Naya, zasłaniając usta dłonią. – Boże, to jest chore!

– Szukajcie dalej.

– Tej nie mogę otworzyć – jęknął Caine.

– W takim razie Millar też nie był w stanie – stwierdziła Bobbie, a potem zamarła. – Chwileczkę. Zauważylibyśmy, gdyby majstrował przy którejś z trumien, prawda?

Caine i Naya się zatrzymali.

– No tak. – Caine otrzepał uda z kurzu. – Chyba.

– W takim razie...

Oczy całej trójki spoczęły na okazałym

sarkofagu stojącym pośrodku pomieszczenia.

– Nie ma w nim gwoździ – zauważył Caine, wypowiadając na głos myśli Bobbie.

– Pomóżcie mi.

Bobbie wiedziała, była wręcz pewna, że to będzie ten. Oczami wyobraźni widziała, jak zlany potem Kenton Millar niesie ciało Mary tunelem. Udaje mu się wtaszczyć je po drabinie do wnętrza mauzoleum. Nie chce ryzykować, że zostanie przyłapany na zakopywaniu zwłok, więc składa je w grobie gwarantującym największą dyskrecję – tym najstarszym.

Caine i Naya pospiesznie przeszli na jej stronę kamiennej trumny.

– Na trzy – zaproponował Caine, co przypomniało jej ich ostatnie grupowe odliczanie pięć dni wcześniej, przed lustrem w łazience.

– Raz, dwa...

Naparli na wieko. Było ciężkie, ale i tak lżejsze, niż Bobbie się spodziewała. Brzegi sarkofagu kończyły się wystającą krawędzią, więc zmuszeni byli lekko unieść kamienną płytę.

Całe ciało Bobbie ogarnięte było bólem, więc pozwoliła, by Caine i Naya wzięli na swoje barki większość wysiłku związanego z dźwiganiem, ale wieko i tak się uniosło.

– Pchamy! – zawołała i chwilę później udało im

się zsunąć granitową pokrywą z grobowca.

Bobbie zakryła usta dłonią. Naya wrzasnęła i odskoczyła do tyłu.

Zwłoki leżącej w sarkofagu Mary były idealnie zachowane. Ciało umazane było krwią. Zamknięte oczy sprawiały, że bił od niej spokój. Zupełnie jakby spała. U jej boku spoczywały lekko ściśnięte kości pierwszego lokatora trumny.

Powieki Mary uniosły się gwałtownie i teraz to Bobbie pisnęła, a następnie wczepiła się w ramię Caine'a, który odpowiedział tym samym. Mary uniosła ku nim dłoń. „Nie – pomyślała Bobbie. – Przecież to już koniec!”. Z ust Mary wydobyło się ciche westchnienie. Jej oczy z powrotem się zamknęły, a dłoń opadła. Ciało ogarnął spokój. Ulga i poczucie odzyskanej wolności.

Upływ sześćdziesięciu lat dogonił w końcu Mary i – zupełnie jak na filmach kręconych w przyspieszonym tempie na potrzeby programów przyrodniczych – twarz dziewczyny zapadła się, kości policzkowe zaczęły wystawać, a ciemniejąca z każdą chwilą skóra ciasno opięła czaszkę. Wargi rozchyliły się, układając w permanentny uśmiech, oczy zmieniły się w ziejące pustką otwory, a skóra obróciła się w pył. Czarne włosy wypadły i ułożyły się wokół czaszki niczym aureola.

Mary Worthington osiągnęła w końcu spokój.

– Bobbie, twoja twarz... – Caine ujął jej policzki w dłoń. – Blizny zniknęły.

Bobbie przytuliła się do jego piersi. Udało im się. Naprawdę im się udało. Już nigdy nie odstąpi go nawet na krok – Nai zresztą też. Uścisnęła dłoń przyjaciółki, żeby jej to zakomunikować.

– Bobbie, spójrz. – Caine odsunął ją od siebie.

– Na co?

– Zajrzyj do trumny.

– O Boże.

Naya niepewnie zajrzała do środka.

– Co to takiego?

Bobbie wskazała na wnętrze sarkofagu i sprawy momentalnie przybrały gorszy obrót. Na ścianie trumny można było dostrzec napis. W pobliżu kościstych palców Mary leżał – należący pewnie do jej współlokatorki – pierścionek zaręczynowy, którego dziewczyna użyła do wyrycia liter.

– Jezu Chryste... – Naya zbladła i odwróciła wzrok. – Przecież to oznacza...

Bobbie dokończyła za nią zdanie, ściskając przedramię Caine'a:

– Że jeszcze żyła, gdy ją tu wsadził.

– To okropne. – Wargi Caine'a przybrały przerażająco siną barwę. – Jak dużo czasu musiała spędzić w środku... bez jedzenia i wody? Jak długo można tak przetrwać?



Mary nie była w stanie samodzielnie unieść wieka, zwłaszcza ranna. Bobbie zamknęła oczy, żeby powstrzymać łzy towarzyszące rozwiązaniu ostatniej części zagadki.

– Nie wiem, ale domyślam się, że jakieś... pięć dni.

Pięć dni. Pięć dnia czekania na śmierć. Pięć dni na odnalezienie jej, zanim będzie za późno.

Bobbie przesunęła palcami po literach wyrytych przez dziewczynę w ostatnich dniach jej życia. Testament Mary Worthington. Nieskładne gorączkowe słowa:

NIKT W PIPER'S HALL MI NIE WIERZYŁ A JA TYLKO PRAGNĘŁAM BYĆ AKCEPTOWANA

Bobbie żałowała, że nie potrafi powiadomić Mary, że chociaż za życia była ignorowana, po jej śmierci ludzie naprawdę zaczęli w nią wierzyć. Wypowiadali jej imię przed lustrem, czekając, aż się pojawi. Tysiące osób w nią uwierzyło.

Przypomniały jej się wyssane z palca opowieści Judy o cygańskich klątwach, którym nie poświęciła wtedy uwagi, ale może biedaczka Mary naprawdę była przeklęta. Może chodziło o dziwaczne okoliczności związane z jej śmiercią albo jak twierdziła Judy, dziewczyna po prostu urodziła się inna. Bez względu na powody za każdym razem, gdy ktoś w Piper's Hall wypowiadał jej imię,

stawała się mimowolną niewolnicą zewu, którego efektów ubocznych nie była w stanie powstrzymać. Wymówienie jej imienia równało się nakręceniu zegara, który odmierzał czas pozostały do nieuchronnego finału.

A teraz ów cykl dobiegł końca.

\*\*\*

Gdy udało im się wreszcie przesunąć statwę – a nie było to wcale łatwe – otworzenie kraty znajdującej się pod stopami płaczącej Madonny okazało się względnie proste i ich oczom ukazały się drabina i tunel. Bobbie doszła do wniosku, że Millar zamaskował wejście do korytarza, na wypadek gdyby ciało Mary zostało pewnego dnia odnalezione – odkrycie przez policjantów tunelu prowadzącego prosto do pokoju nauczycielskiego nie byłoby mu na rękę. Na szczęście dla niej nie замуrował wejścia.

Bobbie nie umknęła ironia losu polegająca na tym, że Abigail, Taylor i pozostałe dziewczęta miały drogę ucieczki na wyciągnięcie ręki, ale odgoniła od siebie przygnębiające myśli. Musieli ocucić Sadie na tyle, żeby mogła przytrzymać się szyi Caine'a, który zniósł ją po drabinie na plecach. Ostatni szczebel był zniszczony, ale sypiąca się drabina i tak zdołała utrzymać ciężar obu ciał.

Następna zeszła Naya i Bobbie na chwilę została sama w krypcie.

– Niedługo wrócę – obiecała Mary. – Wszyscy poznają prawdę i dostaniesz grób z prawdziwego zdarzenia, przyrzekam.

To rzekłszy, Bobbie zaczęła wsuwać się w otwór w podłodze.

Jej głowa miała się już zanurzyć poniżej poziomu posadzki, gdy pomieszczenie zalało jaskrawe białe światło. Drzwi do mauzoleum otworzyły się ze skrzypnięciem i oślepił ją blask słońca. Czyżby nastał już ranek? Doktor Price musiała odzyskać przytomność i zarządzić poszukiwania. Bobbie zmrużyła oczy i zdjęła jedną dłoń ze szczebla drabiny, żeby je osłonić, po czym spojrzała prosto w światłość. Co prawda nikt nie pędził im na ratunek, ale ktoś opuszczał grobowiec.

Mary stała na progu i wyglądała prześlicznie. Krew zniknęła, a jej mundurek był czysty i schludny. Lekka bryza zdmuchnęła jej z twarzy czarne włosy, odsłaniając wydatne kości policzkowe i błękitne jak niebo oczy. Obróciła się i spojrzała na Bobbie, która zastygła w bezruchu na drabinie. To, co widziała, nie mogło być prawdą.

Stało się jasne, że okno pozwalające na wgląd w świat Mary działało też w drugą stronę. Dzięki

niemu Mary mogła ją widzieć, słyszeć i coraz lepiej poznawać. Wyglądała obecnie jak zwykła dziewczyna i Bobbie zaczęła się zastanawiać, czy zostałyby przyjaciółkami, gdyby żyły w tych samych czasach. Celem Mary nie było prześladowanie jej, tylko uzyskanie pomocy. Żadna z nich nie potrafiła znaleźć swojego miejsca w Piper's Hall, a dzieliło je tylko kilka dziesięcioleci.

Mary nie odezwała się ani słowem, jej wargi nie rozchyliły się nawet na milimetr, ale Bobbie czuła, że dziewczyna jest jej wdzięczna. Mary obróciła się i z lekkim uśmiechem na ustach wyszła z mauzoleum prosto w blask słońca.

## Rozdział 29. Po namyśle...

Piper's Hall na nowo otworzyła podwoje w poniedziałek. Czyż mogło być inaczej? Doktor Price zorganizowała największą kampanię PR-ową w swojej karierze. Deszcz całkiem ustał, a zza chmur wychyliło się bładniebieskie zimowe niebo. Lśniący szron usztywnił trawnik przed budynkiem, gdzie z bmw i mercedesów wysiadały uczennice; gdy dziewczęta żegnały się z opiekunami, ich oddechy zmieniały się w komiksowe dymki.

W korytarzach szkoły rozbrzmiał jęk zbiorowego rozczarowania. Gdy w gazetach pojawiły się krzykliwe nagłówki, wszyscy spodziewali się, że szkoła pozostanie zamknięta przynajmniej przez tydzień lub dwa, ale zarówno doktor Price, jak i członkowie rady zarządzającej szkołą stanowczo stwierdzili, iż nie ma takiej potrzeby, bo ponure znalezisko na cmentarzu przy kościele Świętego Pawła nie ma z Piper's Hall nic wspólnego.

Bobbie, która rzecz jasna nigdzie nie wyjeżdżała, siedziała w strefie relaksu w towarzystwie Nai. Jej kostki były na szczęście tylko zwichnięte, a nie złamane. Nogi miała

zabandażowane niczym mumia i doskwierał jej już tylko niewielki ból, ale i tak nadal korzystała z kuli opartej o podłokietnik sofy.

Pomimo obietnicy złożonej Mary zmienili swoją wersję historii. Nie mieli wyboru. Bobbie z początku mówiła tylko prawdę, ale bez względu na to, w jakie ubierała ją słowa, w uszach zmęczonych i zirytowanych policjantów brzmiała jak szaleństwo. I tym właśnie była.

W końcu historia przybrała następującą treść: Sadie uciekła ze szkoły przez tajne przejście, utknęła w mauzoleum, a potem Caine i Naya także zostali tam uwięzieni, gdy próbowali ją uratować, aż w końcu całą trójkę uwolniła Bobbie. W tę bajeczkę też nikt tak naprawdę nie wierzył, ale przynajmniej nie było w niej mowy o martwej dziewczynie, która wyłazi z lustra.

Prawdziwe śledztwo skupiło się na odnalezionych ludzkich szczątkach. Zgodnie z najnowszą teorią seryjny morderca przez dziesiątki lat czyhał na dziewczęta z Piper's Hall, a ich ciała ukrywał w krypcie.

Mary Worthington uznano za pierwszą ofiarę owego zbrodniarza. Nie była to prawda, ale przynajmniej historia życia dziewczyny miała teraz jakiś finał.

Mama

Taylor

Keane

wystąpiła

w wiadomościach. Wyglądała na szczęśliwą, że otrzymała w końcu wyjaśnienia dotyczące zaginięcia córki. Keane'owie mogli ją wreszcie pochować.

Doktor Price nie przyznała się do niczego – nawet do wiedzy na temat tunelu. Być może mówiła prawdę. Możliwe, że gdy jej ojciec został dyrektorem, zadbał o to, by istnienie tajnego przejścia nigdy nie wyszło na jaw. Ale doktor Price i tak potrafiła kłamać w żywe oczy. Bobbie obserwowała, jak na twarzy kobiety pojawia się uśmiech Kota z Cheshire, gdy ścisnęła dłonie bogatych rodziców, zapewniając ich, że nie mają powodów do obaw. Bobbie opowiedziała policji o Kentonie Millarze, ale jego udział w tej sprawie nie został podany do wiadomości publicznej. Na razie. Z tego, co się orientowała, to właśnie on był głównym podejrzanym w związku z odnalezieniem zwłok. Bobbie cieszyła się, że ma tego haka w zanadrzu, na wypadek gdyby dyrektorka wypomniała jej obecność Caine'a w szkole czy szarpaninę w gabinecie. Dopóki dziennikarze kręcili się wokół Piper's Hall niczym sępy, Bobbie miała nad kobietą przewagę.

– Cześć, cześć.

Kellie Huang podeszła do nich energicznym krokiem i upuściła na podłogę torebkę firmy

Hermès, jakby ta wcale nie kosztowała małej fortuny.

– Co z Sadie? Wszyscy mówią, że to wy ją uratowaliście.

Wokół nich zebrało się jeszcze kilka innych dziewczyn żądnych najświeższych plotek.

– Nic jej nie będzie – odparła Naya, rozkoszując się sławą. – Jest poważnie odwodniona, ale podpięli ją pod kroplówkę i prawdopodobnie z końcem tygodnia dojdzie do siebie.

– Dzięki Bogu! – Kellie przycisnęła dłoń do piersi. – Co ona w ogóle robiła na cmentarzu? Ma szczęście, że przeżyła. Gdyby nie wasza odwaga...

Przechodzące akurat za plecami niewielkiego zgromadzenia Grace i Caitlin przewróciły oczami.

Bobbie miała trzy długie dni, żeby przygotować się na nieuniknioną lawinę pytań. Wymyśliła około pięćdziesięciu możliwych wyjaśnień, z których każde brzmiało dosyć wiarygodnie (w końcu była pisarką): Sadie miała spotkać się w miasteczku z kochanką; chciała wystraszyć ich po wygłupach przed lustrem; poszła kupić od kogoś trawkę. Wszystkie one mogły chwycić, ale to miejska legenda wpędziła ich w tarapaty, więc Bobbie odparła po prostu:

– Nie mam pojęcia. Będziesz musiała spytać Sadie, gdy poczuje się lepiej.



– Ściemniasz – odezwała się wyniosłym głosem Grace, której najwyraźniej nie podobało się, że nie znajduje się w centrum uwagi. – Działo się coś totalnie dziwnego. Krwotoki z nosa, skradanie się po nocy, spraszanie chłopców do pokoju. Szkoda, że nie widziałyście Bobbie w czwartek rano. Dobijała się naćpana do łazienki i trzeba ją było zamknąć w izolatce. Pomalowała sobie całą twarz czerwonym flamastrem. Dziwadło.

– Przymknij się – warknęła Naya, rzucając jej gniewne spojrzenie.

– Bardzo przepraszam, ale jestem przewodniczącą szkoły i nie będziesz mi mówić, co mam robić. Od razu wiedziałam, że chodzi o narkotyki.

Działając w pełni racjonalnie, Bobbie wzięła do ręki kulę, wstała z kanapy i przyglądała sweter, który dostała dzień wcześniej od Caine'a. Następnie śmiałym krokiem podeszła do Grace i wykręciła jej rękę za plecy.

– Au! Co ty wyrabiasz? – pisnęła przewyższająca ją wzrostem dziewczyna.

Stały teraz przed lustrem, które Bobbie wyniosła z Naya z pokoju w środowy wieczór. W szkłe widniało ich wspólne odbicie. Przez tłumek przebiegł szmer. Stojące najbliżej nich dziewczyny cofnęły się o krok, a Bobbie zaczęła się

zastanawiać, ile prawdy tkwiło w najświeższych plotkach.

Wywołana musi się pojawić.

Bobbie rozmyślała przez chwilę. Może faktycznie Mary była jej winna przysługę.

– Przyjrzyj się sobie dobrze, Grace. Kogo widzisz? – spytała w końcu spokojnym głosem.

– Co? Puszczaj mnie, ty wariatko.

– Wiesz, kogo ja widzę? Spragnioną uwagi małą księżniczkę, która zdaje sobie sprawę, że jej rządy dobiegają końca. To już ostatni rok, Grace, i co potem? Gdy opuścisz Piper's Hall, będziesz nikim. Po ukończeniu szkoły okaże się, że jesteś tylko średnio inteligentną, dosyć ładną blondynką z niezłymi nogami, ale całkowicie pozbawioną poczucia humoru. Powodzenia. Daj znać, gdzie cię to w życiu doprowadzi.

Zgromadzone dziewczęta albo parsknęły śmiechem, albo bezskutecznie starały się ukryć rozbawienie, albo oniemiały z zaskoczenia.

„Boże, słyszałyście ją? To było prześmieszne! Chyba jej życie niemiłe...”.

Grace Brewer-Fay zatkało. Oblała się purpurą i wyszarpnęła rękę z uścisku Bobbie. Ale Bobbie jeszcze z nią nie skończyła.

– Właściwie to powinnam ci ją zabrać. – Wyciągnęła dłoń ku klapie żakietu Grace i odpięła

odznakę przewodniczącej szkoły. – Mam przecucie, że doktor Price w pełni poprze ten zamach stanu. Koniec z elitkami. Na zawsze.

– Amen! – zawołała Naya i zaczęła wiwatować.

Kellie Huang i kilka innych dziewczyn przyłączyły się do owacji.

Bobbie Rowe, nowa przewodnicząca szkoły, przypięła odznakę do swetra swojego chłopaka, po czym uniosła brew, wyzywając Grace, by stawiała jej czoło.

\*\*\*

Wieczorem Bobbie wymknęła się na spotkanie z Caine'em. Ale może „wymknęła się” to nie do końca odpowiednie określenie, bo pokuśtykała po prostu do głównego wejścia i opuściła szkołę tuż pod nosem doktor Price. Było mało prawdopodobne, żeby dyrektorka próbowała ją zatrzymać.

Dom Caine'a był tak zwyczajny, jak to tylko możliwe, i Bobbie strasznie się to spodobało. Bliźniak z piaskowca znajdował się na osiedlu wypełnionym identycznymi budynkami. W samym centrum znajdował się owalny trawnik, na który ludzie wyprowadzali psy, zbierali po nich kupy, po czym wracali do domów. Na prawie każdym podjeździe stał zaparkowany mini cooper albo – jak u Caine'a – volkswagen. W oczy rzucały się też

kabrioletki w jaskrawych kolorach.

Mama Caine'a pracowała na nocnej zmianie w szpitalu, więc mogli spędzić czas tylko we dwoje. Jutro rano z Nowego Jorku przylatywała mama Bobbie, żeby spędzić z córką cały tydzień w Hampstead, a potem wrócić na premierę sztuki. Dziewczyna nie była pewna, kiedy będzie miała okazję ponownie zobaczyć się z Caine'em, więc chciała rozkoszować się każdą chwilą. Caine przyniósł do salonu swoją kołdrę i mieli zamiar obejrzeć wszystkie filmy z udziałem Avengersów we właściwej kolejności, począwszy od *Hulka*. Bobbie podejrzewała, że dojdą co najwyżej do *Iron Mana*, zanim usną albo zaczną się całować.

Rozległo się piśnięcie mikrofalówki i Caine poszedł nałożyć popcorn do miski, czemu towarzyszyły przekleństwa, gdy oparzył się w palce. Z kuchni dolatywała lekka woń spalenizny – Caine musiał zbyt długo prażyć kukurydzę. Wniósł miskę do pokoju z zakłopotaną miną.

– Proszę, popcorn gotowy. Chcesz dietetyczną colę?

– Mhm.

– Coś jeszcze?

– Chyba nie.

Bobbie zmarszczyła brwi.

Caine usiadł obok niej i przykrył ich nogi kołdrą.

– Coś się stało? Jakaś cicha jesteś.

Faktycznie coś się stało. Przez cały dzień towarzyszyło jej dziwaczne wrażenie, że o czymś zapomniała, miała coś na końcu języka. Dręczył ją uporczywy lęk, że jakimś cudem Kentonowi Millarowi wszystko mogło ujść na sucho.

– Pewnie jestem po prostu zmęczona – odparła w końcu.

Caine w okamgnieniu przejrzał ją na wylot.

– Albo...?

Bobbie bała się, że ubranie jej obaw w słowa mogłoby je ziścić, ale zamartwianie się zaczynało doprowadzać ją do szaleństwa. Zeszłej nocy prawie nie zmrużyła oka.

– Oj, nie wiem. Nie mogę przestać myśleć o Bridget i Judy.

Caine zmarszczył brwi.

– Co z nimi? Rozmawiałaś z Bridget?

– Nie. Osoba, która odebrała telefon, oświadczyła, że jej stan się pogorszył...

– Aha. To cię tak martwi?

Bobbie zaczęła bawić się rąbkiem koca.

– Pamiętasz, jak Bridget zabroniła nam wypuszczać Mary z klatki?

– No tak...

– Judy twierdziła, że Mary była inna niż reszta dziewcząt... nawet tuż przed śmiercią miała w sobie coś dziwnego, krążyły o niej plotki. No i ten list...

– Jaki list?

Bobbie usiadła prosto.

– W gabinecie doktor Price znalazłam list napisany przez mamę współlokatorki Mary, która twierdziła, że od pojawienia się Mary w Piper’s Hall jej córce śnią się koszmary. – Bobbie poczuła, jak zaciska się jej gardło. – A co jeśli wcale nie oswobodziliśmy Mary, tylko wypuściliśmy ją z klatki?

Caine spojrział na nią sceptycznym wzrokiem, więc kontynuowała.

– Sam stwierdziłeś w szpitalu, że pokazujemy ludziom to, co chcą zobaczyć. Może widzieliśmy tylko to, co chciała pokazać nam Mary.

Złowieszcze słowa zawisły w powietrzu i przez chwilę Bobbie widziała panikę czającą się w oczach Caine’a. Chwilę później otrząsnął się i wysunął usta do pocałunku. Ich wargi zetknęły się ze sobą.

– Bobbie, już po wszystkim. Ludzie nie są źli bez powodu. Już po wszystkim – powtórzył.

Bobbie rozluźniła się w jego ramionach i próbowała skupić na filmie. Pewnie, że miał rację. Nie było innej możliwości.

– Przyniosę więcej coli – oznajmił Caine, zrywając się z kanapy.

Bobbie ostrożnie ułożyła zabandażowane nogi na stoliku do kawy, strącając na podłogę lokalny dziennik. Gazeta otworzyła się na stronie ze zdjęciem dobrze znanego jej miejsca: wnętrza grobowca.

– Piszą o nas w gazecie?! – zawołała.

– Tak, to znaczy o tej całej historii! – odkrzyknął Caine z kuchni. – Wybacz, miałem ją wyrzucić do kosza.

– Nie, w porządku, chętnie na to zerknę.

Bobbie obróciła gazetę w dłoni. Główne zdjęcie przedstawiało oklejone policyjną taśmą mauzoleum, z którego wynurzali się policyjni specje od medycyny sądowej ubrani w białe kombinezony. Na mniejszej fotografii widać było zbliżenie wiadomości wyrytej przez Mary na ścianie trumny:

NIKT W PIPER'S HALL MI NIE WIERZYŁ A JA TYLKO PRAGNĘŁAM BYĆ AKCEPTOWANA

Bobbie uniosła brew. W pomieszanych wielkich i mniejszych literach było coś szalonego. Sprawiały dziwaczne wrażenie, nawet zważywszy na stan, w jakim była pisząca je dziewczyna. Gdy znajdowali się w krypcie, Bobbie wyobrażała sobie jedynie strach Mary, ale obecnie dostrzegała

w tych słowach gniew – prawdziwą wściekłość. Kto jak kto, ale Mary Worthington miała aż nadto powodów do złości.

Nagle Bobbie zamarła i wbiła wzrok w zdjęcie. Przypomniła jej się list ze szkoły w Radley, w którym chwalono Mary za wzorowe oceny. Tego typu dziewczyna nie powinna mieć problemów z poprawną pisownią.

„Pokazujemy ludziom tylko to, co chcą zobaczyć”.

Lekki uśmiech na ustach wychodzącej z grobowca Mary.

Bobbie poczuła w oczach pieczenie wywołane przez łzy. Nie łzy współczucia, tylko strachu. „Co ja najlepszego zrobiłam? Wypuściłam ją na wolność”. Wielkie litery układały się w całkiem nową wiadomość:

KREW ZA KREW



## Tydzień później

Piątek, 13 listopada

### **Policja poszukuje pasażerki rozbitego samochodu**

Policja apeluje do osób mających informacje na temat pasażerki samochodu, w którym zginęła ciesząca się uznaniem dyrektorka szkoły.

Dr Ellen Price (49), dyrektorka szkoły dla dziewcząt Piper's Hall, położonej w okolicach Coombe, poniosła śmierć na miejscu, gdy prowadzone przez nią bmw zjechało z drogi ciągnącej się wzdłuż wybrzeża. Naoczni świadkowie twierdzą, że na tylnym siedzeniu samochodu znajdowała się ranna nastolatka, jednak na miejscu wypadku nie znaleziono jej ciała. Przedstawiciele policji wyrazili głęboką troskę o bezpieczeństwo dziewczyny.

Wiek zaginionej pasażerki ustalono na 14–19 lat. Dziewczyna miała długie, proste, ciemne włosy, a ubrana była w mundurek uczennicy Piper's Hall. Jeden ze świadków doniósł, że dziewczyna była cała we krwi, jeszcze zanim doszło do wypadku, co może sugerować, że kobiety jechały w kierunku najbliższego szpitala.

---

<sup>1</sup> Tłum. M. Sieduszewski.

<sup>2</sup> H. Melville, *Moby Dick, czyli biały wieloryb*, tłum. B. Zieliński, Zielona Sowa, Kraków 2004, s. 20.